

TALIB ŚWIRSKI
WYRZUCONY

PIOTR KIMLA / STEPHEN M. WALT
WSZYSTKIE DEFICYTY TRUMPA

KORUPCYJNY UKŁAD
GAWŁOWSKIEGO

DANIEL WÓJTOWICZ
DROGIE MGNIEŃ HOCKNEYA



STRACONIE 10 LAT

31

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 5.07-30.08.2025

2 sierpnia: Francesca Tandoi Trio

9 sierpnia: Piotr Wojtasik Quintet Premiera Inscape

16 sierpnia: New Bone Quintet Premiera Sorrow

23 sierpnia: Nduduzo Makhathini Trio

30 sierpnia: EABS The Very Best

Warszawa, Rynek Starego Miasta, godz. 19⁰⁰

www.jazznastarowce.pl

facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

JAZZ ART
FUNDACJA



Współorganizatorzy i partnerzy



Partnerzy



Partnerzy



Partnerzy



eprasa.pl 7f01f121d0

Bodnar zaczął, Żurek dokończy



Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Nic nie jest wieczne. Zwłaszcza w polityce. Terminy przydatności partii są coraz krótsze. Za każdy błąd trzeba prędzej czy później zapłacić. W przypadku PiS pogrywanie interesem państwa i losem jego obywateli trwało tak długo, bo polityczna konkurencja nie potrafiła się ogarnąć. Trwała w letargu, jakby ją prezes K. zahipnotyzował. Gdy anti-PiS stał się władzą, miano rozliczyć złodziejskie rządy dojnej zmiany. Na razie za wiele z tego nie wyszło, więc sporo wyborców pokazało koalicji plecy. Jest jednak szansa, że wróca.

Nareszcie prezes Kaczyński będzie mógł poznać prawdziwy sens słów, które opisują jego partię. Przypomni sobie, co naprawdę znaczą prawo i sprawiedliwość. Bo to on, przy udziale prezydenta Dudy i ministra Ziobry, wywrócił do góry nogami praworządność. Zasady, na których opiera się każdy system demokratyczny, zastąpiono neopraworządnością. Czymś, co miało gwarantować bezkarność rządcom nazwanym dojną zmianą.

Rachunek za powszechne złodziejstwo, afery, przestępcze układy jest długi. Pora więc na rozliczenie sprawców. Równie surowe jak ich czyny. Ku pamięci tych, których może kusić łatwy dostęp do majątku państwowego. Bezkarność dojnej zmiany oznaczałaby szybki powrót tej szarańczy. Ośmieleni nieskutecznością koalicji w rozliczaniu przestępstw stali się, zwłaszcza po wyborze

Nawrockiego, tak butni, że nie tylko zapowiadają szybki powrót na stare stanowiska, ale dodatkowo bezwzględna zemstę na wszystkich, którzy grzebią przy ich złodziejskiej przeszłości.

Dowodem bezczelności tego układu jest choćby poseł Horała, który już straszy ministra Żurka, że będzie pierwszym, który wyleci z rządu. Tak jakby miał na to wpływ. A przecież to Beata Szydło mówiła, że uczciwi nie mają czego się bać. Skąd więc tak powszechny w PiS lęk przed prokuratorem i sędziami? No skąd?

Adam Bodnar był dobrym ministrem w tych fatalnych dla praworządności czasach. Spuścizna po Kaczyńskim, Ziobrze i Dudzie to bagno wypełnione pułapkami. Zniszczyli, a przynajmniej mocno nadkruszyli, niezależne sądownictwo. Państwo prawa sprowadzili do prawa Kaczyńskiego, który przez osiem lat mógł wszystko. Ale wszystko robił rękoma pomagierów. Bardzo dbał, by nie zostawiać śladów. Prof. Bodnar zaczął przywracanie praworządności z prokuratorami i sędziami często jeszcze tak powiązanymi z pisowskim układem, że sabotowali wszystkie jego działania sanacyjne.

Po wyważonym, pilnującym legalizmu działaniu Bodnara przyszedł sędzia Żurek. Wyborcy koalicji liczą na jego skuteczność w rozliczeniu dojnej zmiany. I na determinację w naprawianiu sądownictwa.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Stracone 10 lat**
Słaba prezydentura Andrzeja Dudy
- 14 Talib PiS dostał po nosie**
Świrski odwołany, ale nie przegrany
- 16 Skazaniec polityczny**
Surowy wyrok za korupcję
- 18 Krasnystaw**
– niewykorzystany potencjał
Miasto pustoszeje
- 22 Bitwa o wielką kasę**
Abp Jędraszewski wie,
gdzie stoją konfitury
- 42 Wielojęzyczni**
– rozmowa z Natalią Wieczorek
i Aleksandrem Sikorskim

OPINIE

- 26 Stephen M. Walt**
Dlaczego Donald Trump
wciąż zdradza swoich wyborców?

ZAGRANICA

- 28 Wszyscy ludzie Zełenskiego**
Prezydent Ukrainy traci w oczach świata
- 32 Prawo do godnej śmierci**
Korespondencja z Włoch
- 36 Święty Graal wraków wciąż na dnie**
Legendarny galeon zlokalizowany

SPORT

- 40 Czerwony gwiazdociąg**
Nasi strzelali, trafiali, zwyciężali

KULTURA

- 45 Drogie mgnienia Hockneya**
Paryska wystawa zapiera dech
- 48 Żegnaj, smutku**
– rozmowa z Robertem Gonerą
- 51 Kulturalia**
- 66 Marzycielki**

PSYCHOLOGIA

- 52 Uzależnieni gonią za mirażem**
– rozmowa z dr Ewą Woydytło-Osiatyńską

OBSERWACJE

- 56 Światowy fenomen**
Tureckie seriale to hit eksportowy

ZWIERZĘTA

- 59 Bociany na świeczniku**
W ptasim świecie nad Narwią

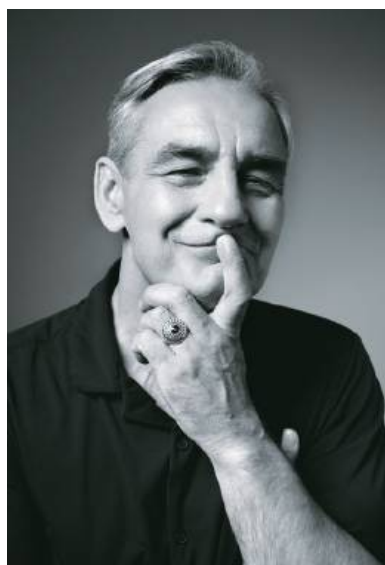
FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Bodnar zaczął, Żurek dokończy
- 25 Jan Widacki**
A Marszałek by powiedział...
- 31 Andrzej Romanowski**
Mój prezydent Lech Kaczyński
- 35 Roman Kurkiewicz**
Duda, Duda i po Dudzie
- 39 Tomasz Jastrun**
Duże oczekiwania, małe zmiany
- 55 Wojciech Kuczok**
Zakwaterowanie



KRASNYSTAW – NIEWYKORZYSTANY POTENCJAŁ

Miasto pustoszeje



48

KULTURA

ŻEGNAJ, SMUTKU

– rozmowa
z Robertem Gonerą



BOCIANY NA ŚWIECNIKU

W ptasim świecie nad Narwią

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS



f Proszę się cofnąć do przodu

Problem z Platformą Obywatelską i jej opracowywaniem oraz wdrażaniem programów socjalnych jest taki, że w programach socjalnych jest wiarygodna mniej więcej tak jak Mateusz Morawiecki obiecujący milion elektrycznych samochodów na polskich drogach w 2025 r. Wyborcy, którzy chcą państwa opiekuńczego, pamiętają bowiem dobrze, że lata rządów PO i PSL to był czas zaciskania pasa i odsyłania głodnych ludzi po szczaw i mirabelki



oraz stosowania zmiany pracy i zaciągania kolejnych kredytów jako remedium na wszystkie bolączki obywateli. Z drugiej strony trzonem wyborczym są ludzie, którzy państwa aż tak bardzo opiekuńczego nie chcą. A każdy taki pomysł wprowadzenia tego (tfu!) socjału powoduje palpitacje serca oraz nerwowe rozglądanie się po scenie politycznej, czy jest jeszcze ktokolwiek, kto będzie tu reprezentował ich interesy, czyli ultraliberalne podejście do gospodarki. Partia, która ma w nazwie obywatelskość, tak naprawdę jest antyspołeczna, antypracownicza i, jak pokazały ostatnie lata, przypomina sobie o najuboższych obywatelach tylko przed wyborami. A po wyborach wymyśla się ustawy o wydłużeniu wieku emerytalnego do 67. roku życia albo wprowadza lub podnosi podatki.

Michał Czarnowski

Roman Kurkiewicz pisze: „Wszyscy wiemy, że wydarzenie »rekonstrukcja« jest reakcją na nienajlepsze notowania rządu i krążącą nad nim czarną frazą: nic nie robia”. Czy ta rekonstrukcja nie jest czasem spektaklem dla widzów, którzy mogą tylko bić brawo (bo jajkami rzucać nie wolno)?

Józef Brzozowski

f Jak prawica fałszuje historię PRL

45 lat. Dwa pokolenia ludzi pracujących na rzecz poprawy jakości życia milionów Polek i Polaków. Czas likwidacji analfabetyzmu, mechanizacji rolnictwa, elektryfikacji (w tym kolei), skutecznego zagospodarowania Ziemi Odzyskanych. Czas rozwoju przemysłu. Budowa nowych osiedli mieszkaniowych. Okres renesansu polskiego sportu. Czas



pierwszego udanego przeszczepu serca i lotu pierwszego Polaka w kosmos. Budowa pięknych ośrodków wypoczynkowych, z których korzystały całe rodziny – w tym piszący te słowa.

Damian Paweł Strączyk

Cieszę się, że moje dzieciństwo i młodość przypadły na czas PRL. Współczuję współczesnym dzieciom, które mają smutne i nudne dzieciństwo, i młodym ludziom niemającym (poza tymi z bogatych i ustawionych partyjnie rodzin) szansy na dobre wykształcenie, rozwój kariery zawodowej, a nawet na własne mieszkanie.

Elżbieta Wypych

f Pułapki nacjonalizmu

Znakomity wywiad z posłem Tadeuszem Samborskim. Nie ma miejsca na rozważania odrażające bandziorów z UPA.

Łukasz Jastrzębski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Rock łączy pokolenia, czyli rozpoczęcie Pol'and'Rock Festival. Lotnisko Czaplinek-Broczyń, 31 lipca 2025 r.

W czerwcu **797 tys. osób** zarejestrowało się w urzędach pracy jako bezrobotni.

Od września 2023 r. MON zawarło umowy z USA na kwotę 15,08 mld dol. A to tylko w ramach programu Foreign Military Financing.

60,4% Polaków jest przeciw strzeżeniu granic przez Ruch Obrony Granic Roberta Bąkiewicza (sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej”).

Tylko **146 tys. związków małżeńskich** zawarto w 2023 r. To drugi najniższy wynik po wojnie. Mediana wieku pana młodego wyniosła ponad 31 lat, a panny młodej ok. 29 lat (**GUS**).

Zbudował imperium i stracił funkcję przewodniczącego rady nadzorczej spółki Cyfrowy Polsat. Spór o sukcesję między Zygmuntem Solorzem i jego dziećmi jest coraz ostrzejszy.

Już w ok. **180 gminach w Polsce obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu nocą**, m.in. w Gdańsku, Krakowie, Bydgoszczy, części Zakopanego i Wrocławia, a ostatnio także w Giżycku.

3,3 mln razy wyjeżdżały do pacjentów karetki w 2024 r. Ratownicy interweniowali w 3,1 mln przypadków (**Fundacja Świadomy Medyk**).

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie tymczasowo wstrzymał realizację budowy głęboko-wodnego terminalu kontenerowego w Świnoujściu z powodu skargi niemieckiej organizacji BLV.

Niecałe 44 mln ton węgla wydobyto w polskich kopalniach w 2024 r.

Najmniej od 1949 r. Od kilku lat zatrudnienie w górnictwie oscyluje w granicach 75 tys. pracowników.

Marcin P., prezes zarządu spółki Cinkciarz.pl, jest poszukiwany listem gończym. Szkody wyrządzone klientom firmy przekraczają 112 mln zł.

Dania jest kolejnym państwem skandynawskim, które **wprowadziło obowiązkową służbę wojskową kobiet**. Ma trwać 11 miesięcy. Norwegowie zrobili to w 2025 r., a Szwedzi w 2017 r.

Zwiększają się różnice między młodymi kobietami a ich rówieśnikami. 20% więcej dziewczyn niż chłopców zdaje maturę. Studia kończy 70% więcej kobiet. Częściej się doksztalcają, więcej czytają.

Ponad 41% dorosłych Polaków skarży się na zaburzenia snu.

W Polsce żyje ponad **3 tys. żubrów**, na świecie ok. 12 tys. A jeszcze w 1923 r. na świecie żyły tylko 54 żubry czystej krwi.

Codziennie rano sprzedaje się w Polsce **1,3 mln małych butelek alkoholu**, tzw. małpek, i prawie **3 mln piw**.

Studia w Uniwersytecie Warszawskim może **rozpocząć 21 562 studentów**, w tym 16 tys. na studiach stacjonarnych. Największym zainteresowaniem cieszyły się zarządzanie, ekonomia i psychologia. Najtrudniej było się dostać na kierunek lekarski (24 kandydatów na jedno miejsce), na Business and Management (ponad 22) oraz na orientalistykę-japończykę (ponad 20).

PRZEBŁYSKI

Pechowy posłaniec

Człowiek, który wie wszystko i nie waha się o tym mówić. Sławek Sierakowski, ciągle młody 46-latek, jest szczęściarzem. I pechowcem w jednym. Jak to?

Szczęściarz, bo w liczbie ekskluzywnych stypendiów, jakie zaliczył, nie ma w Polsce konkurentów. Był stypendystą German Marshall Fund, wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, uniwersytetów Yale, Princeton i Harvarda oraz Robert Bosch Academy w Berlinie. Zazdrościmy. Choć zarazem wiemy, że nie ma darmowych obiadów.

A pechowiec? Był na wielu protestach. Od Białorusi do Hongkongu. Pamiętamy, jak się skończyły. Miejscowi zostali. Wielu jeszcze siedzi z długimi wyrokami. Posłańców demokracji nie wspominają najlepiej. Ale oni na oku mają już inne kraje.



Rektor komendant od Ziobry

Dość powszechne jest narzekanie na poziom absolwentów uczelni. I słusznie. Bo czegoż mogą uczyć w wyższych szkołach niczego albo gotowania na gazie? Studentki mają tam jeszcze gorzej, bo muszą uciekać przed wykładowcami – dewiantami mylącym uczelnie z agencjami towarzyskimi. Jak to było w Akademii Wymiaru

Sprawiedliwości (AWS), powołanej w 2018 r. przez Zbigniewa Ziobrę. Tamże po zeznaniach 28 osób pogoniono dr. hab. Jarosława Szczepańskiego. W kuźni politycznych kadr dla partyjki Ziobry za wyższą ocenę pan doktor dawał dziewczynom trzy klapsy w pupę. I proponował dużo więcej czułości. Na czele tej uczelni stoi rektor komendant dr Michał Sopiński. Jeszcze rektor. Bo AWS ma być zlikwidowana i zastąpiona Akademią Służby Więziennej. Jeśli prezydent podpisze ustawę likwidacyjną, to skończy się ten kuriozalny eksperyment z rektorem komendantem.

Za zieloną kanapą VeloBank

Glupio, głupiej, VeloBank. Tak można najkrócej opisać kampanię wizerunkowo-produktową tego banku.

Tym, którzy jeszcze oglądają telewizję, reklamy VeloBank wdzierają się do domów. Bez zaproszenia. Namolnie. Raz po raz. Tak jakby z VeloBanku spadał na nas złoty deszcz i kasa rozdawana prawie za darmo. W amerykańskim banku (80,2% udziałów ma amerykański fundusz SEC Cerberus Capital Management) prawie za darmo oznacza pożyczkę gotówkową 9,9% na dowolny cel. W USA taką ofertę by wyśmiali, ale co szkodzi spróbować z Polakami. Słyszeli przecież, że nad Wisłą ciemny lud kupi, bo „amerykańskie”.

VeloBank pojawił się w Polsce we wrześniu 2022 r., gdy Bankowy Fundusz Gwarancyjny przeprowadził restrukturyzację Getin Noble Bank SA. W styczniu tego roku Wojewódzki Sąd Administracyjny orzekł, że było to niezgodne z prawem. Czyli wątpliwa jest podstawa prawną przejęcia przez VeloBank najwartościowszych części Getinu.

VeloBank ściga zlotówkowych klientów byłego Getinu dziesiątkami telefonów, nęka wezwaniami. I stuzłotowymi karami za dzień zwłoki w spłacie kredytów. Takie są kulisy reklam z piękną zieloną kanapą, na której siedzi znana aktorka.





PYTANIE TYGODNIA

Co mnie ostatnio najbardziej rozbawiło?

AGNIESZKA MATAN,

stand-uperka, improwizatorka, aktorka

Jechałam pociągiem linii Gdańsk-Warszawa. Wakacje, dużo ludzi, dużo dzieci. Jedna dziewczynka głośno śpiewała różne przeboje przedszkolne. Jednak jej tata, w obawie, że zostaną wykluczeni przez społeczeństwo, użył koronnego argumentu: „Bądź grzeczna, bo cię pani zabierze”. A następnie wskazał na mnie. Rozbawiło mnie to, bo nie wiem, co takiego mam w twarzy, że można mną postraszyć dziecko. To już się zdarzało wcześniej, więc szanowni rodzice, nie rzucajcie słów na wiatr, bo w końcu będę musiała tak zrobić. Przy kolejnej propozycji aby zabrać dziecko, po prostu wstanę i je wezmę. Pójdziemy sobie do Warszawy, będziemy jeść wszystkie zakazane przez was rzeczy i głośno śpiewać. Aż w końcu porwane przeze mnie dziecko samo mi zagrozi, żeby się uspokoiła, bo mnie (i tutaj wskazuje na kolejnego pasażera) ktoś zabierze. Może to jakiś nowy sposób na podróżowanie?

ALEK ROGOZIŃSKI,

pisarz, dziennikarz

Często śmiesz mnie sytuacje w sklepach. Niedawno byłem świadkiem tego, jak dwoje ludzi, na oko w okolicach trzydziestki, robiło zakupy w sieciówce odzieżowej. Stali już przy kasie, kiedy ona nabrała wątpliwości wyrażonych słowami: „Ale tę sukienkę to chyba już kiedyś kupiłam...”.

Jej partner zaproponował, żeby zrobić zdjęcie i wysłać do jej mamy, jak rozumiałem, mieszkającej razem z nimi. Cyknęli więc fotkę, przy okazji zrobili też zdjęcia innych rzeczy, bo trochę ich nabrali. Po czym ów partner przeczytał SMS od mamy: „Sukienka wisi w szafie, ta druga różowa szmata też, a te twoje gacie właśnie uprałam!”. Trudno w takiej chwili zachować powagę. I nie współczuć państwu sklerozy.

ARKADIUSZ „JAKSA” JAKSZEWICZ,

stand-uper, animator kultury

Wybrałem się ostatnio na piękny festiwal muzyczny na starej stacji kolejowej w lesie. Jechałem przez całą Polskę, aby nad ranem dotrzeć na miejsce i załapać się jeszcze na pierwsze wspólne ognisko. Było około godziny piątej nad ranem. Dosiadł się do nas pewien człowiek po trzydziestce, z piwem w ręku. Wyglądał jak prawdziwy hipis. Powiedział, że przyjechał na festiwal rowerem. Zapytałem więc, gdzie ma ten rower. Hipis odparł, że w sumie to trzyma rower w samochodzie. Zapytałem, gdzie jest w takim razie samochód. Odparł, że auto stoi na parkingu obok. Zapytałem więc, skąd przyjechał. Odparł, że jest tutejszy, po czym stwierdził, że chce mu się spać i idzie do domu na piechotę. Mrugnąłem i zniknął.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

STRAZONE 10 LAT

Duda przyzwyczaił nas, żeby od prezydenta zbyt wiele nie oczekiwać. I że może nim być byle kto

Robert Walenciak

Wreszcie koniec. Kończy się nam prezydentura Andrzeja Dudy. I dobrze, że się kończy, bo była dla polskiej demokracji czasem straconym.

Gdy Andrzej Duda obejmował urząd, inne było postrzeganie pozycji prezydenta RP i inne oczekiwania wobec niego. Myśleliśmy, że prezydent to postać godna, poważna, górująca na scenie politycznej. Najważniejszy Polak! Dziś nikt tak prezydenta RP nie postrzega. Poprzeczka oczekiwań ustawiona jest dużo niżej. 10 lat Dudy zrobiło swoje. Od prezydenta RP niczego już nie chcemy i niczego po nim się nie spodziewamy. Wiemy, że jego rola w polityce to być hamulcowym. Przeszkadzaczem. Podpisuje ustawy albo je wetuje. Jest adwokatem jednej politycznej strony. Tyle! Dla zwolenników strony liberalno-lewicowej jest postacią miałką, długopisem Kaczyńskiego, Adrianem czekającym na machnięcie ręką prezesa. Dla zwolenników PiS – również postacią z trzeciego szeregu. Dobrą, gdy podpisuje. Gdy nie podpisuje – złą.

Nikt nie traktuje go jako osobowości, wokół której powinna krążyć polityka, wokół której mogą być definiowane polska racja stanu, nasz interes i życie narodu. Ba! Nikt nawet nie traktuje go jako punktu odniesienia po stronie prawicowej – tej, która go na najwyższy urząd wyniosła. Tam też jest mało ważny. Duda był w kącie i został w kącie. Mimo różnych zachowań – raz podłych, raz głupich. Nieliczne przebyte tego nie zmieniły.

Tak straciliśmy 10 lat.



Z Jarosławem Kaczyńskim na obchodach szóstej rocznicy katastrofy smoleńskiej. Warszawa, 10 kwietnia 2016 r.

Wyciągnięty z kąta

To już prehistoria, ale warto o tym pamiętać. Duda został wybrany na kandydata na prezydenta RP w ciemnych dla PiS czasach, kiedy wydawało się, że partia Kaczyńskiego na zawsze została zepchnięta do roli opozycji. Wystarczająco silnej, by straszyć Polaków, ale za słabej, by wygrać wybory i rządzić.

Jesienią 2014 r. Kaczyński szukał kandydata, który powalczyłby w drugiej turze z Bronisławem Komorowskim i nie przyniósł wstydu. Wiemy, jakie kandydatury rozważał – profesorów Piotra Glińskiego i Andrzeja Nowaka (bo miał do nich słabość), Janusza Wojciechowskiego (bo znakomicie się prezentował w programach Elżbiety Jaworowicz jako sprawiedliwy sędzia), no i gdzieś na końcu krążyło nazwisko Dudy.

Ostatecznie padło na niego. Wewnętrzne badania podpowiadały, że najlepszym kontrkandydatem Komorowskiego byłby ktoś, kogo można by uznać za jego przeciwieństwo – młody, w miarę dynamiczny, symbolizujący otwarcie na nowe pokolenia i nowe czasy. A jednocześnie trochę konserwatywny i z rodziną.

Duda tu pasował, więc Kaczyński, bez większego entuzjazmu zdecydował, że to będzie on. Początkowo nikt nie dawał mu szans. Ale później

w latach 80., w czasach Solidarności” – opowiadał. „Dlatego mówię dziś do ludzi o różnych poglądach, o różnym światopoglądzie, wierzących i niewierzących: proszę o wzajemny szacunek, byśmy szanowali swoje prawa oczywiście bez narzucania ich innym, ale byśmy umieli te prawa nawzajem szanować. Proszę, żebyśmy umieli szanować się nawzajem. Mówię o tym zwłaszcza tutaj, w sali sejmowej, mówię do polskich polityków, mówię to także do sie-

Szybko mogliśmy się przekonać, że albo Andrzej Duda nie rozumiał tego, co mówi, albo cynicznie nas oszukiwał. Wszystko bowiem poszło na opak.

Nigdy nie budował wspólnoty, nie szukał wspólnego języka z Polakami spoza prawicowej bańki. Ba, na podziałach, na szczuciach na tych innych, słabszych, opierał swoje kampanie. Tę drugą, w roku 2020, na szczuciach na osoby LGBT. A ataki na sędziów, na Adama Strzembosza? Zawsze twardo stał po stronie prawicy. Dwa razy przyszło mu działać w ramach kohabitacji – zawsze był przeciwnikiem rządu. Twardym, bez jakichkolwiek niuansów. A co do Unii Europejskiej, Duda wykrzykiwał, że to wyimaginowana wspólnota.

Łatwo przedstawić jego profil polityczny: żołnierz PiS, który ma wypełniać postawione przed nim zadania. I taki pozostał. Służalczy wobec Kaczyńskiego, mimo że parokrotnie mu się postawił.

Nigdy nie budował wspólnoty, nie szukał wspólnego języka z Polakami spoza prawicowej bańki.

to się zmieniło. Wpłynęło na to kilka czynników, takich jak: dobra praca sztabu PiS – Duda odwiedził wszystkie powiaty, wszędzie rozmawiał z ludźmi; nieudolność sztabu Komorowskiego, pycha i niemrawość jego sztabowców, no i narastający w społeczeństwie trend – coraz większa niechęć do skostniałej Platformy, nastroje oczekiwania na zmianę, przeestroje oczekiwania na zmianę, przeestroje oczekiwania na zmianę.

No i się udało.

Zabójca słowa

W polityce jest tak, że lider wyznacza pole działań, mówi, co robi, a potem obietnice w mniejszym lub większym stopniu realizuje. Kłopot z Andrzejem Dudą polegał na tym, że te dwa obszary – zapowiedzi i czynów – zupełnie się nie pokrywały. Tak było od samego początku jego prezydentury i w zasadzie tak jest do dziś. Mamy polityka, który sprawia wrażenie, jakby nie przywiązywał wagi do słów, tylko uważał je za ozdobnik różnych uroczystych imprez.

Szczególnie jaskrawo widać to na przykładzie inauguracji Andrzeja Dudy. W swoim pierwszym prezydenckim przemówieniu wspominał, że podczas spotkań wyborczych długo rozmawiał z ich uczestnikami. I co słyszał? „Jednym z podstawowych oczekiwań jest to, byśmy zaczęli odbudowywać wspólnotę. Ludzie marzą o takiej wspólnocie, jaka wśród Polaków powstała

bie. Chciałbym, żebyśmy budowali wzajemny szacunek, bo to szacunek musi być podstawą wspólnoty. A tylko wtedy, gdy będziemy wspólnotą, jesteśmy w stanie naprawić Polskę”.

Podkreślał wówczas też, że wierzy w dobre współdziałanie z rządem (wtedy jeszcze Platformy), z Sejmem i Senatem. I dodawał: „Wierzę w sprawy zewnętrznych w dobre współdziałanie z Parlamentem Europejskim i z naszymi przedstawicielami na ważnych stanowiskach w UE”.

Zabójca konstytucji

Ale postawił mu się później, w sprawach lex Czarnek i lex TVN. Dlaczego – o tym dalej. Na razie ▶



Spotkanie powtórnie ułaskawionych Kamińskiego i Wąsika w Pałacu Prezydenckim, 24 stycznia 2024 r.

► skupmy się na sprawach najważniejszych. A najważniejsze było, że Duda okazał się główną postacią przemiany ustrojowej, która w Polsce nastąpiła i którą śmiało można nazwać zamachem stanu.

Chodzi o faktyczną likwidację niezależności Trybunału Konstytucyjnego. 8 października 2015 r. podczas ostatniego posiedzenia Sejm VII kadencji wybrał pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Trzech w miejsce tych, którym kadencja kończyła się w październiku, i dwóch niejako na zapas – za tych, którym kadencja kończyła się w grudniu.

Wybuchła awantura, Duda pozornie stał z boku, ale nie zaprosił żadnego z wybranych wówczas sędziów do pałacu, by przyjąć ich zaprzysiężenie. Zresztą, jak się wydawało, wszystko skończy się dobrze, gdyż dominować zaczęła opinia, że Sejm nie powinien wybierać sędziów na zapas. Czyli że dwóch sędziów „grudniowych” powinien powołać nowy Sejm, wybrany 25 października 2015 r., zdominowany przez PiS. To wszystko, nikt w to nie wątpił, przegłosować miał Trybunał Konstytucyjny na posiedzeniu wyznaczonym na 3 grudnia.

Okazał się główną postacią przemiany ustrojowej, którą śmiało można nazwać zamachem stanu.

Ale kierownictwo PiS zdecydowało, że żadne rozwiązania tego typu nie wchodzi w grę. 2 grudnia 2015 r. Sejm – głosami postów PiS – uznał, że cała piątka sędziów, ta z 8 października, wybrana została bez mocy prawnej, i wybrał pięciu nowych. Uchwały o powołaniu pięciu nowych sędziów zostały opublikowane w Monitorze Polskim wieczorem 2 grudnia 2015 r., dwie godziny po zakończeniu głosowań w Sejmie. A w nocy z 2 na 3 grudnia, przed godz. 1.00, Andrzej Duda przyjął od nich ślubowanie.

Tak oto „narodziło się”, obok dwójki sędziów, tych grudniowych, wybranych prawidłowo, trzech sędziów dublerów. Tę smutną rolę przyjęli Henryk Cioch, Lech Morawski i Mariusz Muszyński.

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, to z 3 grudnia, zostało więc zlekceważone. Premier Beata Szydło odmówiła jego wydrukowania. A gdy poproszono Dudę, by do niego się zastosował, czyli przyjął ślubowanie od trzech sędziów legalnie wybranych jeszcze w październiku, ten odparł, że przecież już zaprzysiężł sędziów i w Trybunale jest komplet.

Duda opierał swoje kampanie na podziałach i szczuciu na tych innych, słabszych.

Tak oto PiS, rękami Dudy, zmienił ustrój kraju. Nie mamy więc już Trybunału Konstytucyjnego, którego orzeczenia byłyby niezależne i respektowane.

W ten sposób złamana została konstytucja i wymontowany bezpiecznik, który nie pozwalał władzy przyjmować ustaw niekonstytucyjnych. A potem już poszło. „Czy prezydent Andrzej Duda łamał konstytucję?”, zastanawiał się w rozmowie z dziennikarzem „Rzeczpospolitej” prof. Adam Strzembosz. I odpowiadał: „Wielokrotnie. Ja kiedyś sobie

i Sprawiedliwość, akceptujący dublerów, PiS ruszyło na trzecią władzę. Modus operandi tego ataku był stały. Najpierw mieliśmy kampanię wymierzoną w środowisko sędziowskie, relacje, że jakiś emerytowany sędzia ukradł coś w sklepie itp., emitowane w telewizji opinie ludzi, że w Polsce nie ma szybkich i sprawiedliwych sądów. Cała nagonka. Oto środowisko ludzi złych, zdemoralizowanych,

zepsutych i źle pracujących, których tylko twarda ręka PiS przywróci do porządku. Żeby pod hasłem naprawy chwycić sędziów za twarz. A potem Zbigniew Ziobro proponował „reformę” i „uzdrowienie” sądów, czyli nowe prawo – o sądach powszechnych, o Sądzie Najwyższym i o Krajowej Radzie Sądownictwa. Różne to były ustawy w różnych latach, ale tak nieudolnie napisane, że ciągle trzeba było coś nowelizować, także w ustawach, które jeszcze nie weszły w życie. Jeden z takich pakietów Duda nawet zawetował – oburzało go, że władzę nad Sądem Najwyższym ma zyskać prokurator generalny, czyli Zbigniew Ziobro, jego osobisty nieprzyjaciel.

Odfórzmy na bok spór Dudy i Ziobry, dwóch zazdrosnych o polityczną karierę kolegów z Krakowa. Spójrzmy na owoce tych wszystkich działań. A owoce były zgnile. Ustawy, jak choćby ta zmieniająca zasady wyboru członków KRS albo o Izbie Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego, były ewidentnie sprzeczne z konstytucją. Nie było co do tego wątpliwości, o czym mówili nawet ci, którzy konstytucję pisali. Ale gdy ustawy trafiały na biurko Dudy, ten je podpisywał. Był częścią pisowskiego ciągu technologicznego, za pomocą którego próbowano podporządkować sędziów. Ciąg: Sejm, Senat, Prezydent, Trybunał Konstytucyjny.

Opór sędziów okazał się dla ludzi PiS niemiłą niespodzianką. I doprowadził ich do furii. Następstwem były insynuacje, że to „kasta” i „komunistyczni sędziowie”,

liczyłem – doliczyłem do 13 i machnąłem ręką”.

Mieliśmy zatem prezydenta, dla którego dobro jego partii było najwyższym prawem. Tak zresztą zaczął prezydenturę – ułaskawiając 16 listopada 2015 r. byłych szefów CBA, Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, oraz dwóch innych funkcjonariuszy biura. Ułaskawił, choć wyrok – za przekroczenie uprawnień w aferze gruntowej – jeszcze się nie uprawomocnił.

Zabójca sądów

Po likwidacji niezależności Trybunału Konstytucyjnego, a był to proces rozłożony na miesiące, gdy w miejsce ustępujących sędziów wchodzili wybrani przez Prawo



Zdjęcie, które przeszło do historii. Oficjalna wizyta w Białym Domu, 18 września 2018 r.

oraz pretensje, że nie siedzą cicho. Duda przedrzeźniał niedawno w radiu Adama Strzembosza. Wołał przy tym: „Jeżeli to środowisko m.in. nie opamięta się i nie zrobi samoresetu, to skończy się na tym, że trzeba będzie wszystkich tych ludzi wyrzucić ze stanu sędziowskiego, bez prawa do stanu spoczynku. Podkreślam to. Być może przyjdzie wreszcie taki dzień, że trzeba będzie po prostu to zrobić”. A żeby być jeszcze bardziej przekonującym, dodał: „Niedawno jeden człowiek powiedział do mnie bardzo brutalnie: »Wie pan, dlaczego w Polsce jest tyle zdrady i warcholstwa bezczelnego? Ponieważ dawno nikogo nie powieszono za zdradę«. To straszne, ale w tych słowach jest prawda”.

Prezydent, który ubolewa, że nikogo nie powieszono „za zdradę”? Pisaliśmy już, że Andrzej Duda często nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.

Adrian na zawsze

Głupie słowa i niemądre zachowania. Skąd się wzięły? Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie jest prosta: Andrzej Duda to człowiek o dość wąskich horyzontach, w ciągu 10 lat

nie wyszedł poza klepanie pisowskiego przekazu. To oczywiście wystarcza, by na jednym czy drugim festynie wygłosić jakąś mądrość, potaćczyć, pofotografować się, ale przecież żeby być prezydentem RP, takim na sto procent, to za mało.

Opór sędziów okazał się dla ludzi PiS niemiłą niespodzianką i doprowadził ich do furii.

Andrzej Duda jest więc Adrianem z kabaretu. Mało lotnym, ale wiernym. I tak właśnie traktowanym przez prezesa. Zresztą wystarczy Dudy posłuchać. Na zaprzysiężeniu Beaty Szydło mówił do obecnego na uroczystości Jarosława Kaczyńskiego: „Z całą pewnością jest pan wielkim politykiem, wielkim strategiem, ale dodam jeszcze jedno: z całą pewnością jest pan wielkim człowiekiem. Jest pan wielkim strategiem, bo podjął pan ogromne ryzyko, gdy ostatecznie razem z władzami PiS zdecydował pan, że będę kandydatem na prezydenta. (...) Trzeba być wielkim człowiekiem i patriotą, absolutnie przekonanym do realizacji swojej idei budowy silnej Polski, którą ma PiS, żeby mimo oczywistych

własnych ambicji oddać pałeczkę władzy w ręce ludzi, z którymi do tej pory pan blisko współpracował. Jestem dla pana pełen podziwu”.

To poczucie, że jest się małym trybikiem w wielkiej wizji Wielkiego Prezesa, zostało w Dudzie do końca. Był traktowany przez Kaczyńskiego źle. Krąży opowieści jego urzędników, jak Kaczyński wchodził i przy wszystkich machał na Dudę ręką, bo chce z nim porozmawiać na osobności. Są nagrania pokazujące, jak lekceważąco go traktuje. I to wszystko niewiele w ich wzajemnych relacjach zmieniło. Jest mistrz i jest uczeń. A że mistrz czasami na ucznia się gniewa, tej relacji przecież nie zmienia.

Przymilny charakter Dudy mogliśmy też obserwować w działaniach na arenie międzynarodowej, w stosunkach z Donaldem Trumpem i Wołodymirem Zełenskim. Ludzie z kancelarii prezydenta lansowali też, że ma z wymienionymi wspaniałe kontakty i wiele może. Życie zweryfikowało te opowieści. Przyjaźń z Zełenskim załamała się, gdy wybuchł konflikt o ukraińskie zboże i zaczęły narastać polskie naciski w sprawie ekshumacji na Wołyniu. Zażyłość okazała się jednostronna. Podobnie w kwestii Trumpa. Gdy kupowaliśmy

w USA samoloty albo gdy w kampanii wyborczej Trump potrzebował głosów Polonii, Duda mógł liczyć na poklepywanie po ramieniu. A teraz...

Zostały pamiątkowe zdjęcia.

Skąd te weta?

No dobrze, powie ktoś, ale skąd teza, że Duda jest sklejonny z PiS i bałwochwalczo wierny wobec Kaczyńskiego, skoro parę razy zdarzyło mu się wetować ustawy ważne dla PiS, wzbudzając furję na Nowogrodzkiej.

Tymczasem gdy prześledzimy te weta i przypomnimy okoliczności, w których nastąpiły, rzecz będzie mniej oczywista. Jako pierwsza rzuca się w oczy sprawa ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa ▶

► i Sądzie Najwyższym, które Duda zawetował 24 lipca 2017 r. Przypomnijmy sobie, co wówczas się działo. Mieliśmy uliczne demonstracje w obronie sądów, opozycja puchła od poparcia. Druga rzecz: nastąpiło apogeum nieszanowania Dudy w samym PiS. Długopis – tak powszechnie go nazywano. Każdy w Pałacu Prezydenckim wiedział, że

Oto weta. Wielkie wizje nim nie kierowały. Bo cóż tymi wetami osiągał? Pokazał w swoim obozie, że jest osobą ważną, ustąpił żonie, zrobił ukłon w stronę tych najsilniejszych, Amerykanów. To nie jest gra lidera wielkiego obozu, który wchodzi w zwarcia, by przeprowadzić własne rozwiązanie, to raczej gierki średniej kategorii urzędnika, który lawiruje

nieważny, ważne jest podstawianie nogi polskiej dyplomacji. Po drugie, zapiekłość wymyka się logice. Duda nie podpisał nominacji Michałowi Łabendzie, ambasadorowi w Kazachstanie. To zawodowy dyplomata, a Kazachstan zna świetnie, bo tam studiował. Dodajmy jeszcze jedno – w 2018 r. został wysunięty na ambasadora w Egipcie. I wówczas Duda nominację mu podpisał. A teraz odmawia. Wtedy Łabenda był dobry, teraz jest zły?

Charakter? Brak

Prof. Jadwiga Staniszkis mówiła o Dudzie tak: „Na tle Dudy polscy prezydenci, nawet Komorowski, byli bardziej myślący, bardziej świadomi odpowiedzialności i po prostu w jakimś sensie przyzwoitsi”. „Osądzam surowo Dudę, gdyż uważam, że jest karykaturą prezydenta, aktorem, który gra prezydenta”. „On ma zagwarantowaną kadencję i mógłby zachowywać się w sposób – nie chcę używać słowa »przyzwoity« – ale odpowiedzialny, godny. To, że tak się nie dzieje, jest chyba związane z jakimś brakiem charakteru”.

Prof. Adam Strzembosz: „Czy prezydent Andrzej Duda łamał konstytucję? Wielokrotnie”.

gdy podpisze tak niepopularną ustawę, na zawsze pograży się w roli bezwolnego prezydenta.

Wreszcie trzeci element, bardzo ważny – ustawy zabierały Dudzie część kompetencji dotyczących sędziów i oddawały je w ręce ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, czyli Zbigniewa Ziobry. Duda stanął więc przed pytaniem: czy ma pokornie zgodzić się, by odebrano mu pakiet kompetencji i przekazano je akurat temu, którego osobiście nie znosił? Musiał zatem złożyć weto, jeśli chciał, by w obozie polskiej prawicy choć trochę z nim się liczone. Walczył o swoją pozycję. Przy okazji utarł nosa Ziobrze. I tyle. Szerszej myśli państwowej tu nie było.

A lex Czarnek? Dziennikarze już o tym pisali. To żona prezydenta Agata Duda wymogła na nim weto, choć wcześniej obiecał Czarnkowi, że ustawy podpisze. Agata Duda uczyła w liceum, wiedziała, jakie to będzie nieszczęście, gdy kurator typu Barbara Nowak zacznie nam urządzać szkoły. A żonie Andrzej Duda sprzeciwić się nie chciał.

Lex TVN to też łatwy do wytłumaczenia przypadek. Tu odezwali się Amerykanie, którzy zawsze bronią interesów swoich firm. Różnymi kanałami. Andrzej Duda stanął przed prostym dylematem: czy iść z nimi na wojnę, czy nierealną chęć dokuczenia amerykańskiemu koncernowi Discovery firmować własną twarzą? Byłaby wielka sensacja, gdyby Duda po naradach w gronie swoich ministrów podpisał tę ustawę.

między różnymi panami, no i lubi pokazać, ile może.

Ten poziom i tę mentalność mogliśmy zaobserwować w ostatnich miesiącach, w czasie kohabitacji. Do prerogatyw prezydenta należy mianowanie i odwoływanie ambasadorów, więc od lat sprawy szefów placówek załatwiane są w trójkącie: szef MSZ, premier, prezydent. Taki układ przynosi naturalne napięcia. Żeby daleko nie szukać, w czasach PiS mieliśmy wręcz wojnę między MSZ kierowanym przez Witolda Waszczykowskiego a Kancelarią

Prof. Jadwiga Staniszkis: „Osądzam surowo Dudę, jest karykaturą prezydenta”.

Prezydenta. Waszczykowski głośno skarżył się, że prezydent miesiącami przetrzymuje nominacje ambasadorskie.

Ale to wszystko okazało się niczym w porównaniu z tym, co dzieje się obecnie. Bo dziś prezydent nie podpisuje żadnych nominacji, więc minister Sikorski musi wysyłać szefów placówek w randze chargé d'affaires. Upór Dudy jest tym dziwniejszy, że jego poprzednicy potrafili się dogadywać w sprawie ambasadorów. Dobrze dogadywał się z rządem Donalda Tuska chociażby Lech Kaczyński, kompromisy były zawierane. Ale nie u Dudy. Bo jest tak zapiekły, że nie podpisuje nominacji w zasadzie nikomu, kogo Sikorski mu przedstawia. En bloc. To, po pierwsze, nie służy Polsce. Okazuje się, że interes kraju jest dla Dudy

„U prezydenta drażni mnie takie demonstrowane zadowolenie z siebie przy jednoczesnej niesamowitej służalczości czy oportunizmie wobec oczekiwań PiS”.

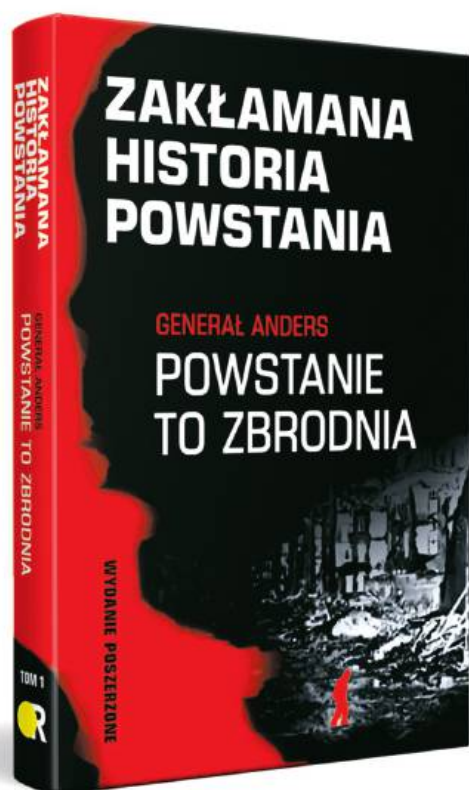
To opinie jeszcze z 2018 r. Niestety, w kolejnych latach nic się nie zmieniło, te opinie nic nie straciły na wymowie. Duda mógł opowiadać dziennikarzom, że cały czas się uczy i uczy, ale to przecież blef, bo jeżeli na fotelu prezydenta okrzepł, nabrał pewności siebie, to i tak zmieniło go to w niewielkim stopniu. Nie wyszedł z trzeciego szeregu, choć okazji ku temu nie brakowało.

Poza tym przyzwyczaił nas, żeby od prezydenta zbyt wiele nie oczekiwać. I że może nim być byle kto.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzelad.pl

Prawdziwa historia powstania warszawskiego

- FAKTY, DOKUMENTY, RELACJE ŚWIADKÓW
- BEZ FAŁSZERSTW, ZMYŚLEŃ I MITÓW



Tom I 60 zł



Tom II 70 zł

E-book
tylko 29 zł



Pakiet
110 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Talib PiS dostał po nosie

Maciej Świrski: Trzeba być gorącym jak rozgrzany do czerwoności miecz

Robert Walenciak

Latem 2010 r., gdy w centrum uwagi był spór o krzyż smoleński na Krakowskim Przedmieściu, Maciej Świrski napisał o sobie: „Jestem talibem, bo tak jak prawdziwi talibowie jestem przywiązany do mojej wiary i tradycji, fundamentu polskiej cywilizacji. Innej drogi jak radykalizm religijny nie ma. Trzeba być gorącym jak rozgrzany do czerwoności miecz”.

Potem tłumaczył, że słowa te oznaczają, że należy twardo bronić swojej wiary. I że taki właśnie jest – twardo broniący. A Patrykowi Michalskiemu z Wirtualnej Polski w niedawnej rozmowie objaśniał z emfazą: „Żeby walczyć o Polskę, trzeba mieć trzy cechy: twardą dupę, skórę nosorożca i jaja ze stali”.

Prowadził prace KRRiT według własnego widzimisię i ze wszystkimi się skonfliktował.

W czasach PiS taka deklaracja była jak przepustka do lepszego świata. Wśród licznych posad, które wtedy dostał, Świrski może wymienić stanowisko wiceprezesa Polskiej Fundacji Narodowej, dotowanej przez 17 spółek skarbu państwa. Wyposażona w miliony PFN miała propagować Polskę w świecie, ale pamiętamy ją z licznych skandali. Chociażby z kampanii bilbordowej prowadzonej w... Polsce (!) pod nazwą „Sprawiedliwe sądy”. Za ponad 8 mln zł rozkręcono przeciwko sędziom kampanię krytykowaną jako przykład kłamstwa i manipulacji.

Aferą innej skali była umowa, którą PFN zawarła z amerykańską White House Writers Group. Za równowartość 27 mln zł firma miała stworzyć

profile o Polsce w mediach społecznościowych oraz organizować spotkania. Spotkania się odbyły, a profile miały znikomą oglądalność. Ale, zdaje się, mało komu to przeszkadzało.

Świrski prowadził też szeroką działalność społeczną. Był m.in. prezesem Reduty Dobrego Imienia oraz inicjatorem powstania Społecznego Trybunału Narodowego. Trybunał ten wydawał społecznie wyroki infamii na byłych działaczy komunistycznych. Ogłaszano je w siedzibie Polskiej Agencji Prasowej, gdzie Świrski był wiceprzewodniczącym (a potem przewodniczącym) rady nadzorczej. Podczas pierwszego posiedzenia trybunał ogłosił infamię, czyli utratę czci i dobrego imienia, Bolesława Bieruta i Stefana Michnika, podczas drugiego orzekł infamię Władysława Gomułki i Zbigniewa Dominy.

W zasadzie było więc rzeczą naturalną, że tak oddany sprawie żołnierz zostanie doceniony. 15 września 2022 r. został wybrany przez Sejm, z rekomendacji Prawa i Sprawiedliwości, w skład Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na sześcioletnią kadencję. A 10 października tegoż roku objął stanowisko jej przewodniczącego.

I się zaczęło.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji to dziś ciało pięcioosobowe. W jej skład wchodzić dwie osoby powołane przez Sejm (Maciej Świrski i Agnieszka Glapiak), dwie przez prezydenta RP (Hanna Karp i Marzena Paczuska) oraz jedna przez Senat (prof. Tadeusz Kowalski). W realu wygląda to tak, że z jednej strony jest czwórka reprezentantów PiS,

z drugiej reprezentant strony liberalnej, czyli prof. Kowalski. KRRiT była więc ciałem jednorodnym.

Świrski przystąpił do działań. Rozpoczął się czas ataków KRRiT na media, oczywiście te nieprawicowe. Przewodniczący opóźniał przedłużenie koncesji TVN czy TOK FM, nakładał też kary. Najgłośniejsze było o karze dla Radia Zet za informację, że amerykańskie służby przewiozły przez Polskę Wołodymira Zełenskiego bez wiedzy służb polskich. Świrski uznał, że ta informacja to fake news, sprzeczny „z prawem, polską racją stanu i dobrem społecznym”, nie przedstawiając na to żadnych dowodów. I nałożył na stację karę w wysokości 476 tys. zł. Ostatecznie po rozprawach sądowych Radio Zet uniknęło kary. Wyrok sądu w tej sprawie i jego uzasadnienie były dla Świrskiego miażdżące. Ale przecież to go nie zatrzymało.

Tak oto w Polsce zaczęto budować nowy ład medialny. Stacje niepokorne wobec władzy zwalczano karami finansowymi, groźbą odebrania koncesji i procesami sądowymi. Stacje prawicowe miały z kolei szybką ścieżkę w kwestii otrzymania koncesji i miejsca na multipleksach. Jednym było nadzwyczaj trudno, drugim – wyjątkowo łatwo. To, by całkowicie arbitralne działania Świrskiego zaczęły zmieniać Polskę, było kwestią czasu.

A potem mieliśmy wybory i zmiany w TVP. Świrski nie uznał decyzji ministra Bartłomieja Sienkiewicza i zablokował pieniądze z abonamentu, które powinien przekazać mediom publicznym. Działał więc na ich szkodę, zresztą całkowicie świadomie. Wniosek o Trybunał Stanu dla Świrskiego był w tej sytuacji oczywisty. Został on złożony w maju 2024 r. Grupa posłów zarzuciła



25 lipca 2025 r. Sejm opowiedział się za pociągnięciem Macieja Świrskiego do odpowiedzialności konstytucyjnej przed Trybunałem Stanu.

przewodniczącemu naruszenia prawa w trzech różnych segmentach, mianowicie chodziło o:

- blokowanie ok. 300 mln zł z abonamentu dla publicznego radia i telewizji,
- blokowanie koncesji dla nadawców prywatnych (TVN, TVN 24, Radio TOK FM i Radio ZET),
- niewykonywanie badań statystycznych dotyczących oglądalności stacji telewizyjnych w Polsce.

Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej Sejmu, która prowadziła później postępowanie, przesłuchała ok. 90 świadków. W efekcie 12 czerwca 2025 r. przyjęła sprawozdanie wskazujące na rozpatrzenie przez Sejm wniosku o postawienie przewodniczącego Świrskiego przed Trybunałem Stanu. Jej przewodniczący Zdzisław Gawlik (KO) mówił, że na podstawie zebranego materiału dowodowego stwierdza się, iż szef KRRiT dopuścił się 10 z 11 zarzutów przedstawionych we wstępnym wniosku.

25 lipca 2025 r. Sejm opowiedział się za pociągnięciem Świrskiego do odpowiedzialności konstytucyjnej przed Trybunałem Stanu. Konsekwencją tej decyzji jest jego zawieszenie w obowiązkach

przewodniczącego KRRiT. By więc nie sparaliżować prac Krajowej Rady, pozostała czwórka jej członków odwołała go 28 lipca z funkcji przewodniczącego. Nową przewodniczącą KRRiT została Agnieszka Glapiak, współpracowniczka byłego ministra obrony Mariusza Błaszczaka.

Ale to nie było proste.

Jeszcze przed głosowaniem w Sejmie Świrski przekonywał, że Sejm nie miał prawa głosować w jego sprawie. W rozmowie z Wirtualną

Świrski nie może uczestniczyć w pracach rady, ale może pobierać 17,8 tys. zł miesięcznie plus dodatki.

Polską twierdził, że w Polsce dokonał się zamach konstytucyjny, a członkowie rządu powinni trafić do więzienia. W związku z tym ogłosił, że nie uznaje orzeczenia Sejmu. W konsekwencji nie zamierzał ustępować ze stanowiska przewodniczącego.

Ale nawet jeśli nie zamierzał, to pozostali członkowie mieli dość jego wojen i zachowania. Świrski jako przewodniczący prowadził prace rady według własnego widzimisię i ze wszystkimi się skonfliktował. Interia opisywała, że gdy podczas jednego

z posiedzeń rady próbowano zmienić regulamin, tak żeby prawo zwoływania posiedzeń miał także wiceprzewodniczący, Świrski natychmiast się rozłączył, przerywając spotkanie.

Po głosowaniu w Sejmie pozostali członkowie nie zamierzali więc iść z nim na wojnę z parlamentem, wołać o zamachu konstytucyjnym ani się barykadować. Układ w KRRiT jest stabilny – był 4:1, bez Świrskiego będzie 3:1. Dlatego PiS szybko odpuściło jego obronę. Agnieszka Glapiak jest gwarantką, że interesy tego ugrupowania nadal będą w radzie szanowane. A może nawet lepiej chronione, bo KRRiT nie będzie wdawać się w awantury z góry skazane na przegraną.

Świrski na te argumenty początkowo nie reagował. Chciał walczyć. Mimo że od tygodni w gronie politycznych przyjaciół przekonywano go do ustąpienia. Gdy rada przegłosowała jego odwołanie i wybrała ze swojego grona na przewodniczącą Agnieszka Glapiak, szybko napisał sprzeciw wobec tej decyzji. Napisał i nagle – zupełnie przypadkowo – otrzymał znak. Drukarka, z której korzystał, niespodziewanie się zepsuła. Zatem później napisał, że podporządkowuje się tej decyzji w imię wyższych celów.

W gruncie rzeczy traci niewiele. Będąc w zawieszaniu, nie może uczestniczyć w pracach KRRiT, ale może pobierać regularnie pensję – 17,8 tys. zł miesięcznie plus dodatki.

Trybunał Stanu też mu nie grozi, skoro jego przewodniczącą z mocy prawa jest I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, która ma w nim pełnię władzy. Może więc zrobić wszystko, wniosek umorzyć, odrzucić go, miesiącami kompletować skład orzekający... Świrskiemu nic tu nie grozi. Może błyszczeć w prawicowych mediach i rozprawiać, niczym Macierewicz 2.0, o spiskach i atakach.

Tak właśnie wygląda Polska.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

SKAZANIEC POLITYCZNY

Senator Stanisław Gawłowski został skazany na pięć lat więzienia za przestępstwa korupcyjne

Andrzej Sikorski

Wyrok jest niezwykle surowy, biorąc pod uwagę kontekst, jaki sprawie nadał wpływowy polityk Koalicji Obywatelskiej. A zdaniem Stanisława Gawłowskiego była to intryga uknuta przez ludzi PiS na zlecenie Tadeusza Rydzyska!

W rozmowie z „Rzeczpospolitą” (30 lipca 2018 r.) Gawłowski mówił: „Wiele lat temu, jako przewodniczący rady nadzorczej w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i jednocześnie sekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska, interesowałem się dotacją przeznaczoną dla ojca Rydzyska na tzw. geotermię toruńską, wyjaśniałem wszystkie procedury, które zostały złamane w tamtym czasie, i po tych już wszystkich dyskusjach zarząd NFOŚ zdecydował o cofnięciu dotacji. Rydzyk, a później Jan Szyszko i obecny prezes Narodowego Funduszu Kazimierz Kujda zgłosili mnie do prokuratury, że złamałem prawo, cofając dotację dla Rydzyska... (...) Rzeczywiście to jest praprzyczyna. Bo wtedy usłyszałem od jednego z ważnych biskupów, dzisiaj kardynała, że będę tego żałował, że Rydzyk mi nie odpuści, że muszę działać zgodnie z prawem, on to rozumie, ale że będę tego żałował, bo on będzie się mścił na mnie. Dzisiaj... Jak słyszałem potem od dziennikarzy, jak PiS wygrał w 2015 r., w 2016, że PiS szuka haków na mnie, to naprawdę, proszę mi wierzyć, myślałem, że to jest żart. Od wielu dziennikarzy to słyszałem, że zabierają się za mnie, myślałem, że to jest żart. Dzisiaj już wiem, że nie”.

Proceder przestępczy

Jeśli wierzyć tej narracji, PiS musiało bardzo się postarać, aby uszyć

tak grubą sprawę, która miała początek w 2013 r. Rządziła wtedy koalicja PO-PSL, a Gawłowski był posłem i sekretarzem stanu w Ministerstwie Środowiska. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego drogą operacyjną zdobyła informację, że coś podejrzanego dzieje się w Zachodniopomorskim Zarządzie Melioracji i Urządzeń Wodnych. W gabinecie dyrektora Tomasza P., działacza PO i znajomego Gawłowskiego, założono podsłuch.

Nagrane rozmowy były wstrząsające. Okazało się, że przetargi na prace melioracyjne warte ok. 150 mln zł ustawiano za łapówki. Aresztowany dyrektor pękł i zaczął sypać

Razem z Gawłowskim na ławie oskarżonych zasiadało kilkadziesiąt osób.

układ korupcyjny. Przyznał, że przyjął 200 tys. zł (za ustawienie wartego 20 mln zł przetargu na budowę wrót sztormowych w Mielnie) od przedsiębiorcy z Darłowa, Krzysztofa B., jednocześnie lokalnego działacza PiS i dobrego znajomego Gawłowskiego.

Układ korupcyjny był ze wszechmiar demokratyczny. Krzysztof B., mimo że stał po drugiej stronie politycznej barykady, spotykał się towarzysko z Gawłowskim. Podejmował go w swoim plażowym barze, a nawet zabierał na przejażdżki motorówką i skuterem wodnym (miał wypożyczalnię sprzętu nad morzem). Panowie byli niemal nierozłączni, do czasu aż biznesmen trafił do aresztu. Początkowo Krzysztof B. przyjął postawę honorową, licząc, że Gawłowski wyciągnie go z kłopotów.

Zmienił zdanie w 2016 r., gdy PiS doszło do władzy. Wtedy zeznał, że Gawłowski przyjął od niego co najmniej 400 tys. zł łapówki w zamian za przychyłność i poparcie oraz pomoc w zdobywaniu wielomilionowych kontraktów od Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie. Polityk PO miał także nakłaniać Krzysztofa B. do wręczenia dyrektorowi Tomaszowi P. wspomnianych 200 tys. zł.

Gawłowskiego obciążył też jego stary przyjaciel Bogdan K. z Kołobrzegu, który również wygrywał przetargi melioracyjne. Wiceminister miał przyjąć od niego 100 tys. zł w gotówce, a także jako łapówkę apartament w Chorwacji o wartości ponad 48 tys. euro. W zamian dygnitarz państwowy miał oferować mu to samo, co Krzysztofovi B., czyli przychyłność, poparcie i pomoc w zdobywaniu kontraktów. Aby ukryć i zalegalizować łapówkę, chorwacki apartament kupili fikcyjnie teściowie pasierba Gawłowskiego.

Mimo że Stanisław Gawłowski nie miał formalnego wpływu na ustawianie przetargów w Zachodniopomorskim Zarządzie Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie, to jako poseł i wiceminister środowiska był cichym patronem układu korupcyjnego, wspierając zaprzyjaźnionych biznesmenów. A jego polityczne koneksje były potężne. Dyrektor Tomasz P. zeznał, że „od 2008 r. w województwie zachodniopomorskim nikt nie mógł dostać zależnej od polityków posady bez zgody Gawłowskiego”.

Senator KO został skazany nie tylko za przestępstwa korupcyjne, ale też za ostrzeżenie Tomasza P. przed ABW oraz za plagiat swojej pracy doktorskiej. Oprócz kary więzienia sąd orzekł wobec Gawłowskiego



Sąd orzekł wobec Stanisława Gawłowskiego także przepadek majątku – 650 tys., 180 tys. zł grzywny i 10 lat zakazu zajmowania stanowisk kierowniczych w instytucjach państwowych.

przepadek majątku w wysokości 650 tys., zapłatę 180 tys. zł grzywny, a także 10-letni zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych w państwowych instytucjach i spółkach.

Szeroka ława skazanych

Razem z Gawłowskim na ławie oskarżonych zasiadało kilkadziesiąt osób. Oprócz wymienionych była też żona polityka, która za udział w machinacjach z apartamentem została skazana na rok więzienia w zawieszeniu. Podobne kary dostali przedsiębiorcy, którzy nieprawidłowo realizowali inwestycje, i kierownicy budów zatwierdzający te nieprawidłowości. Przyjaciół Gawłowskiego, biznesmen Bogdan K., usłyszał wyrok trzy i pół roku bezwzględnego więzienia. Natomiast Krzysztof B. skorzystał ze słynnego art. 60 Kodeksu karnego. Stanowi on, że „na wniosek prokuratora sąd stosuje nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet może warunkowo zawiesić jej wykonanie w stosunku do sprawcy współdziałającego z innymi osobami w popełnieniu przestępstwa, jeżeli ujawni on wobec organu powołanego do ścigania przestępstw

informacje dotyczące osób uczestniczących w popełnieniu przestępstwa oraz istotne okoliczności jego popełnienia”. Biznesmen usłyszał wyrok dwóch lat więzienia w zawieszeniu. Łagodnie potraktowany został też były dyrektor zachodniopomorskiego zarządu melioracji Tomasz P., którego skazano na trzy i pół roku w zawieszeniu.

Podczas ogłaszania wyroku Stanisław Gawłowski siedział przybity ze spuszczoną głową. Ale po wyjściu z aresztu w 2018 r., w którym spędził trzy miesiące (i potem przez cały proces), był wyjątkowo butny. Miał czelność porównać się do ofiar stalinowskich prześladowań, a nawet do jednego z ojców polskiej niepodległości, Wincentego Witosa.

„Jeżeli Polska dalej będzie niezależnym państwem... demokratycznym państwem prawa, to jestem spokojny o to, co się później ze mną będzie działo. Jeżeli PiS-owi uda się przejąć sądy i złamać sędziów, no to rzeczywiście bójcie się, Polacy, bo PiS-owi dokładnie na tym zależy. (...) Ja oczywiście zajmuję się polityką, chociaż nie sądziłem, że w XXI w. w Polsce człowiek, który zajmuje się polityką, może być narażony na tego

typu przykrości. Więcej, że cała jego rodzina może być narażona. Bo to są mechanizmy rodem z okresu stalinowskiego. (...) Przypominam, że w historii Rzeczypospolitej zdarzały się już takie przypadki skazywania ludzi za przestępstwa pospolite tylko dlatego, że zajmowali się polityką. Najbardziej słynny i sławny przykład z okresu międzywojennego to Wincenty Witos. Do dzisiaj przecież nieoczyszczony z zarzutów pospolitego przestępstwa. A został skazany w sfigowanym procesie brzeskim”, wymądrzał się Gawłowski.

Temida nie jest ślepa

Choć akt oskarżenia przeciwko politykowi przygotowała prokuratura Zbigniewa Ziobry, to proces prowadził i wyrok wydał doświadczony sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie Grzegorz Kasicki, którego trudno posądzać o polityczną stronniczość. Kasicki ma przeszło 30-letnie doświadczenie orzecznicze oraz opinię prawnika niezależnego i profesjonalisty. Słynne z wydawania surowych wyroków w sprawach kryminalnych. Za rządów PiS bronił praworządności, krytykując upolitycznienie wymiaru sprawiedliwości. W styczniu 2024 r. minister Adam Bodnar powołał Kasickiego na rzecznika dyscyplinarnego ad hoc. Sędzia przejął (od tzw. egzekutorów Ziobry, czyli Piotra Schaba i jego zastępców) i umorzył niezasadne dyscyplinarki, które miały charakter opresyjny, wytaczane sędziom niezależnym, m.in. Waldemarowi Żurkowi i Pawłowi Juszczyżnowi.

Grzegorz Kasicki w ustnym uzasadnieniu wyroku (przemawiał przez ponad trzy godziny) rzeczowo odniósł się do zebranego materiału dowodowego, w tym do zeznań oskarżonych i świadków. „Opaska na oczach Temidy nie oznacza, że jest ona ślepa. Oznacza, że na ławie oskarżonych każdy jest równy: stolarz, polityk, bogaty, biedny, stary, młody”, powiedział sędzia. Warto, aby senator Stanisław Gawłowski i inni politycy oskarżeni o przestępstwa kryminalne przyjęli to do wiadomości, zamiast kreować się na ofiary represji politycznych. ■

Krasnystaw – niewykorzystany potencjał

Amerykański film miał rozstawić miasto.
Na razie turystów nie przybyło

Anna Wyrwik

– Od lat mieszkańcy powtarzają nieco krzywdzącą opinię, że Krasnystaw to rondo między Zamościem, Chełmem i Lublinem. Niestety, jest w tym trochę prawdy – mówi dr Konrad Grochecki z Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.

Faktycznie, gdy popatrzyć na mapę, Krasnystaw znajduje się w środku trójkąta, który tworzą te trzy miasta. Leży na drodze z Lublina do Zamościa, a droga ta, jak w Ameryce: szeroka, z poboczem, za poboczem rów, potem barierki i dopiero dalej chodnik. Też szeroki. Ciągnie się ta droga, tak że widać ją aż po horyzont, a na niej samochody, bo na Lubelszczyźnie panuje wykluczenie komunikacyjne, więc każdy musi mieć samochód. Lubelszczyzna, nasza mała Ameryka, gdzieś z dala od Zachodniego i Wschodniego Wybrzeża, coś w rodzaju Arkansas czy Karoliny Południowej. I gdy w Ameryce królują wysoki sztyl KFC czy Wendy's, to przy zjeździe do Krasnegostawu pnie się wysokie po samo niebo żółte M od McDonalda, a obok czerwone kontury orła z Orlenu.

– W ciągu ostatnich lat centrum miasta przeniosło się z rynku do miejsca, gdzie powstały markety – dodaje Konrad Grochecki.

Tak, najpierw przy zjeździe z głównej drogi są markety, wszystkie, które być powinny. A potem jest miasto. Bloki o wyblakłych kolorach, małe kioski z blachy, czynne bądź już nie. W blokach zaś lokale usługowe, apteka, Lewiatan, „Sukienki na różne okazje”, a przed lokalami ludzie sprzedają ubrania z wieszaków, rzeczy spod namiotów i kurczaki z różna. Jest



Wioletta Pyzik pochodzi stąd i jest pisarką.



Konrad Grochecki pokazuje podziemną trasę turystyczną.



Maja Wal, kustoszka w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie.

stomatologia kompleksowa i „Art. spożywcze”, piekarnia, krzyż „Króluj nam Chryste” i zakład pogrzebowy „Wenus” w kiosku – przed nim siedzą dwie panie w letnich strojach i dyskutują. Wszystko to po dwóch stronach szerokiej ulicy. Jak w Ameryce.

Kakoj krasnyj staw!

Na końcu zaś stoi kościół – na końcu mojej drogi, bo tam parkuję na kocich łbach, tuż pod kościołem św. Franciszka Ksawerego.

– Jest kilka legend o tym, skąd się wzięła nazwa miasta – opowiada Konrad Grochecki, gdy chodzimy po muzeum, którego siedzibą jest budynek zabytkowego kolegium jezuitckiego, przylegającego do kościoła. – Według jednej Władysław Jagiełło przejeżdżał tędy z królową Sonką Holszańską, która na widok pięknego stawu powiedziała: „O, kakoj krasnyj staw!”. Według drugiej to Władysław Jagiełło miał zobaczyć piękną drogę i powiedzieć: „O, kakaja krasnaja staw’ja”.

Oglądamy zbiory, a najstarsze pochodzą ze schyłkowego paleolitu, czyli między 14 tys. a 8 tys. lat p.n.e. Biżuteria, narzędzia, naczynia. Konrad Grochecki mówi, jak na bazie zbiorów można świetnie uczyć historii, opowiadać i edukować. Ale dziś ludzie w Krasnymstawie niespecjalnie interesują się swoją kulturą i przeszłością. A ta zaczęła się 1 marca 1394 r.

– Krasnostaw ulokowano na prawie, rzecz jasna, niemieckim, konkretnie magdeburskim. Wcześniej był tu Szczekarzew, ruski gród, który funkcjonował już w XIII w. – chodzimy po muzeum, opowieści o historii miasta Konrad Grochecki przeplata z legendami, jak ta o stawie, który tu był, ale go już nie ma, a wraz z nim zapadł się kościół i jego dzwony biją codziennie o północy. Opowiada o tym, jak w XVI w. w mieście więziony był Maksymilian III Habsburg.

– Znalazłem list, w którym przeczytałem, że książę grał tu w palle malle. Kojarzysz tę markę papierosów?

– Pewnie.

– Stąd ich nazwa. Od XVI- i XVII-wiecznej gry w piłkę. Grano specjalnym młotkiem, coś jak późniejszy krykiet.

Grochecki pokazuje mi podziemną trasę turystyczną i opowiada o podziemiach miastach, rozległych i głębokich nawet na 16 m, ale niestety niewykorzystanych. Jak wiele rzeczy w tym mieście, bo słowa „niewykorzystany potencjał” niosą się po Krasnymstawie jak echo.

Następnie oglądamy sztukę. Prace ludzi stąd albo takich, którzy kiedyś tu się zatrzymali. Jak Antoni Teslar – malarz z Małopolski przebywał w mieście w czasie II wojny światowej i namalował „Panoramę Krasnegostawu od strony łąk”. Snopki zboża, niebo i kościół. Czego więcej trzeba? „Lubelszczyzna – najbardziej

artystyczną kogoś stąd – mówi Maja Wal, kustoszka w Dziale Sztuki Dawnej i Sakralnej Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie. Pytam ją o odbiór sztuki współczesnej w mieście.

– Być może wernisaże gromadziłyby większą liczbę gości, gdyby nie to, że zazwyczaj odbywają się w godzinach pracy urzędów miejskich i powiatowych, tak aby ich przedstawiciele mogli się wybrać na wydarzenie w ramach wyjścia służbowego. To smutne – mówi Maja Wal. – Odbiór wystawy był i jest bardzo pozytywny. Iga Chmielewska tworzy narrację, z którą wiele osób może się utożsamić, choć należy znać pewne



Elżbieta mówi, że po godz. 17 miasto jest jak wymarłe.

polska z ziem ojczystych”, pisała pochodząca też stąd poetka Anna Kamieńska. O pamięć o niej od lat dba inna poetka związana z miastem, Marzena M. Podkościelna.

W Polsce to z Matką Boską ostrożnie

Wielu krasnostawian i krasnostawianek wybyło w świat. Jedna z młodszych to Iga Chmielewska, która w Krakowie tworzy – jak sama o nich mówi – „Bardzo brzydkie rysunki”, a konkretnie grafiki-komiksy z ironicznymi komentarzami do współczesnego świata. Złożyły się one na „Bardzo Brzydką Wystawę”.

– Chciałam pokazać w krasnostawskim muzeum działalność

kody kulturowe i orientować się w niuansach współczesnego świata, by w pełni zrozumieć przekaz rysunków. Sprawa komplikuje się, gdy sztuka nie mówi wprost.

Maja Wal wspomina, jak na wystawie litografii Henri Matisse’a jedna ze zwiedzających spytała: „Po co pokazywać obrazki z Ikei?”. Z kolei na otwarciu innej wystawy artystka Magda Grabińska-Serek o jednym ze swoich obrazów powiedziała „Matka Boska Laserowa”, bo chodziło o sposób prowadzenia linii w obrazie, który przypominał wiązki laserowe. Ktoś skomentował to słowami: „W Polsce to z Matką Boską ostrożnie...”. Maja Wal wyjaśnia, że są to sytuacje wyjątkowe, ale i tak większym zainteresowaniem cieszy się sztuka ▶



Anna, właścicielka sklepu przy Kościelnej.

Unijne pieniądze widać gołym okiem, choćby na rynku.



► tradycyjna. Podkreśla też, że do muzeum przychodzą szkoły i odbywają się lekcje muzealne, czyli edukacja.

„Prawdziwy ból”

– Nie było mnie wtedy w mieście. Wiedziałam tylko, że coś było nagrywane. Potem dowiedziałam się, że to był reżyser z Ameryki. Babkę tu chyba miał. I Oscara za to dostał, prawda? – zastanawia się właścicielka sklepu na ul. Kościelnej.

Ameryka pojawiła się w Krasnymstawie wiosną 2023 r. w osobie Jesse’ego Eisenberga, aktora i reżysera z Nowego Jorku.

Konrad Grochecki mówi mi o wielokulturowości miasta. Dziś za bardzo jej tu nie widać, ale gdy poszukać, można znaleźć ślady i kościołów, i cerkwi, i żydowskiej mykwy oraz bożnicy. Pokazuje mi stare zdjęcia krasnostawskich krawców żydowskich, którzy wyglądają jak gang z Chicago z lat 30. I opowiada, jak Żydzi uciekali przed wojną w świat. Uciekł Awot Jeszurun, izraelski poeta, który już wiele lat po wojnie pisał: „Dwa tysiące lat zajęło mi z Krasnegostawu do Tel Awiwu. / Dwa tysiące lat zajęło mi z Tel Awiwu do Krasnegostawu”. – W Krasnymstawie przed wojną Żydzi stanowili ok. 20% ludności – dodaje Grochecki. – Oczywiście najwięcej było ich w pobliskiej Izbicy, gdzie stanowili 90%. Jednak do nas też ludzie czasem

przyjeżdżają w poszukiwaniu swoich korzeni.

Film „Prawdziwy ból” (który zdobył Oscara dla Kierana Culkina za drugoplanową rolę męską, a do tego nominację dla Eisenberga za scenariusz oryginalny) opowiada o dwóch kuzynach, którzy przyjeżdżają do Polski na tour śladami Żydów, a kończą na krasnostawskim podwórku domu, w którym mieszkała ich babcia. Podwórko z planu znajduje się właśnie na ul. Kościelnej.

– Zamknęli ulicę na kilka godzin i nikogo nie wpuszczali – opowiada Elżbieta, która od 10 lat prowadzi tu sklep. – Oglądałam film. Może być. Choć słyszałam dużo negatywnych komentarzy. Starsze osoby mówiły, że za bardzo się wygłupiali.

Rozmawiamy o mieście, a Elżbieta wzdycha, że ciężko, bo drogo, ceny w górę, opłaty w górę i wszystko się zamyka. A ludzi tu wcale. Ani miejscowych, bo – jak mówi Elżbieta – każdy tylko za pracy do domu i po godz. 17 miasto nie żyje. Ani turystów, bo wcale po tym filmie ich tu nie przybyło.

– Czasami tylko widzę, że zdjęcia sobie tam robią – wskazuje ręką w stronę filmowego podwórka.

Podwórko jak podwórko, wyróżnia je tylko to, że Ameryka przyjechała tu kiedyś z kamerami, a tak to

komórki z drewnianymi drzwiami po prawej, balkon, na którym stał sąsiad z synem, po lewej, a na końcu drewniane drzwi, przed którymi bohaterowie kładli kamyczki. Do tego zdezelowane audi, stary volkswagen, seat alhambra i porsche, które w filmie nie grały.

– Film wyszedł świetny! – cieszy się z kolei Anna, właścicielka innego sklepu przy Kościelnej. – Jesteśmy zachwyceni! Mówi, że jej w Krasnymstawie mieszka się bardzo przyjemnie: mała, zamknięta społeczność, z widzenia wszyscy się znają, solidarność społeczna działa i to jest jej miejsce na ziemi. – Niestety, młodzież ucieka do większych miast – potwierdza. – Nie ma na to siły. Zakłady pracy nam się pokurczyły.

Niewyparzona Pudernica

Chodzę po mieście i mijam tanią odzież z Wielkiej Brytanii, „Odzież zachodnią”, psiego fryzjera i ze trzy kebaby na rynku. Myślę sobie, że kebaby i groomerzy to jakiś powiew Zachodu. Znak, że jesteśmy w wyższej lidze. Gdy kiedyś nasza odzież zaczęła jeździć ciężarówkami na

wschód jako „zachodnia”, to będzie już liga mistrzów.

Tymczasem na rynku, prócz kebabów i (uwaga!) szwaczki, mamy ładny budynek, w którym kiedyś mieścił się magistrat, i drugi, gdzie urzędował sejmik krasnostawski, a także zamknięty do godz. 14 sklep z pamiątkami, fontannę oraz budkę z lodami i napojami, a przed nią kilka stolików.

– Kebabów mnóstwo, ale nie ma kawiarni, by się spotkać – mówi Wioletta, gdy siadamy przy jednym z nich.

Wioletta Pyzik pochodzi stąd i jest pisarką. Mówi, że piąta powieść w drodze. Oprócz tego jest influencerką o ksywce Niewyparzona Pudernica, ma kanały we wszystkich social mediach i mnóstwo obserwujących. Opowiada m.in. o Krasnymstawie.

– Robię materiały o tym, co widzę wokół, o ludziach, miejscach, o tym, co się dzieje. Gdy byłam małą, w mieście było obskurnie. Ale mieszkało więcej ludzi. Wiesz, było inaczej. Na pewno wszystko wypiękniało. Pieniądze unijne widać gołym okiem. Choćby ten rynek... – rozglądamy się. Wioletta dodaje: – Ludzie narzekają, że wybetonowane, ale było gorzej. Krzaki i żule w krzakach. Taka prawda. Unia daje kasę, by to wszystko wyglądało ładnie.

Rozmawiamy o plusach i minusach Krasnegostawu. Najpierw minusy, czyli mnóstwo niewykorzystanego potencjału (echo). A ludzie na wszystko narzekają, ale nic z tym nie robią. Wioletta mówi, co ona robi.

– Niedawno założyliśmy ze znajomymi Stowarzyszenie TuDZIEJE. Zdążyliśmy już przeprowadzić zbiórkę charytatywną i zorganizować miejskiego grilla, na którego przyszło sporo ludzi. Z innymi znajomymi mamy ekipę Ziomki od złotu, z którą organizujemy koncerty charytatywne. Wszystko ogarniamy w kilka osób. Zapraszamy coraz lepszych artystów. Ludziom się podoba, bo to hip-hop, a nie disco polo, jak zawsze. Do tego są konkursy, pokazy samochodów, driftu. Pojawiają się sponsorzy. Były już trzy edycje i zaczyna nam się z tego robić festiwal.

Tu czas inaczej płynie

Chodzimy po mieście. Wioletta pokazuje mi Dworek Starościński, według wielu najładniejsze miejsce w Krasnymstawie, siedzibę Centrum Integracji Społecznej, w którym zapaleni pracują, by reintegrować społecznie i zawodowo osoby długotrwale bezrobotne. Teraz mają 50 podopiecznych wykonujących na rzecz miasta prace porządkowe i remontowo-budowlane. Jest i grupa poligraficzna od projektowania i drukowania gadżetów reklamowych. W sierpniu przy centrum zostanie jeszcze otwarta kawiarnia. – CIS-y działają w myśl zasady „praca zamiast zasiłku” – mówi kierownik

Mieszkańcy powtarzają, że Krasnystaw to rondo między Zamościem, Chełmem i Lublinem. Trochę prawdy w tym jest.

Marek Piwko. – Pomagamy ludziom nauczyć się nowego zawodu i zmienić swoje życie.

Pytam go o miasto. – Przytulne – mówi. – Wszyscy się znają. Idąc ulicą, na pewno spotka się kogoś znajomego. Nikt nie jest anonimowy. To plus i minus – zamyśla się. – Krasnystaw to miasto dobre do życia. Nie ma tego pędu. Mam do pracy dwie minuty, a moi koledzy w Warszawie dojeżdżają po półtorej godziny. Czas inaczej tu płynie.

A co do filmu „Prawdziwy ból”, Piwko mówi, że nazwa „Krasnystaw” jest dzięki niemu w obiegu, więc gdy ktoś będzie jechał i ją zobaczy, może skreśli z obwodnicy.

Chmielaki

– Miasteczko filmowe stało przy dworku – pokazuje mi Wioletta. – Ludzie się tym nie interesowali. Dopiero gdy film osiągnął sukces, zaczęli mówić: „Jesse od nas”. Narzekali jednak, że twórca coś źle pokazał, bo bohaterowie jadą starą taksówką, a facet na balkonie nie umie mówić po angielsku. A oni potrafią? Człowiek 60+ nie zna angielskiego w Krasnymstawie – śmieje się. – Narzekają. Wszystko źle. A bo Żyd, a bo teraz przyjadą, „polskie

ulice, żydowskie kamienice” itd. Oczywiście nie wszyscy tak mówią, ale jest tu wiele osób zamkniętych w swoim świecie i żyjących tym, co pokazują w propagandowej telewizji.

Film filmem, ale Krasnystaw nie z filmu jest znany najbardziej.

– Kefir, kible (w okolicy jest firma Cersanit – przyp. AW) i Chmielaki.

Chmielaki Krasnostawskie to najstarszy piwny festiwal w Polsce. W latach 70. powiat krasnostawski należał do największych producentów chmielu w kraju, więc ludzie postanowili zorganizować święto chmielarzy. Pierwsze Chmielaki odbyły się w 1971 r.

– Gdy są Chmielaki, zamyka się całe miasto – mówi Wioletta i już cieszy

się na czwarty tydzień sierpnia, bo zapowiedziało się wiele browarów i muzycy znani w całej Polsce.

53. kilometr

Wioletta mówi, że gdy ktoś w Polsce pyta ją, gdzie leży Krasnystaw, odpowiada formułką: „Miasto przelotowe między Lublinem a Zamościem na 53. kilometrze w stronę Zamościa”.

I z tego 53. kilometra wyjeżdżam, mijając raz jeszcze markety, na które Elżbieta narzekała, że kiedyś wieś przyjeżdżała na zakupy do Krasnegostawu, a teraz nie przyjeżdża, bo są te markety i trudno jakkolwiek biznes w mieście prowadzić. Wjeżdżam na drogę, skąd do Lublina jest 53 km, a do Zamościa 35 km. A tak to wszędzie daleko, jak mówiła Anna, do gór daleko, do morza daleko.

Znak „Krasnystaw” wystający ze zboża informuje tych z przeciwnej strony, że wjeżdżają do gminy, a ja wyjeżdżam, samochodem rzecz jasna, bo wykluczenie komunikacyjne. Po prawej pola, po lewej pola, droga się ciągnie szeroka przed oczami. Nic tylko wypadałoby włączyć jakieś „On The Road Again” Williego Nelsona.

Anna Wyrwik

Bitwa o wielką kasę

Abp Jędraszewski walczy nie tylko z lewactwem i Unią Europejską, ale też z duchownymi i wiernymi

Andrzej Sikorski

Wszystko zaczęło jesienią 2023 r., a dokładnie w poniedziałek 13 listopada. Wtedy odbyło się pierwsze posiedzenie nowego Sejmu i tego też dnia metropolita krakowski sporządził list do ks. Dariusza Rasia, w którym wezwał go „po ojcowsku do złożenia rezygnacji z urzędu proboszcza parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Krakowie”. Zdaniem Jędraszewskiego Raś miał się dopuścić wielu nieprawidłowości w zarządzaniu jedną z najbogatszych parafii w Polsce, która – oprócz bazyliki Mariackiej tłumnie odwiedzanej przez turystów – administruje licznymi nieruchomościami, w tym kamienicami, hotelem i pensjonatem.

Ks. Dariusz Raś uchodzi za człowieka kard. Stanisława Dziwisza. Nie jest tajemnicą, że hierarcha ten nie przepada za Jędraszewskim, a frakcje obu dostojników zwalczają się. Raś był osobistym sekretarzem kardynała, a potem ten powierzył mu (w 2011 r.) funkcję proboszcza parafii mariackiej. Duchowny jest bratem Ireneusza Rasia, wpływowego krakowskiego posła (mandat dzierży nieprzerwanie od 20 lat), który polityczną karierę zaczynał u boku braci Kaczyńskich w Porozumieniu Centrum, potem kontynuował ją w PiS, a po „zdradzie” przeszedł na stronę PO. W ostatnich wyborach do Sejmu został posłem z listy Trzeciej Drogi i sekretarzem stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki. W oczach Jędraszewskiego posiadanie podejrzanego politycznie brata nie stanowi powodu do dumy...

Nie mów fałszywego świadectwa

Wśród zarzutów wobec proboszcza znalazły się takie jak: nierzetelnie prowadzona dokumentacja, braki

inwentaryzacji dóbr parafii czy protokołów liczenia gotówki. Arcybiskup miał też pretensje o to, że ks. Raś, pozyskując dotacje na renowacje zabudów będących we władaniu parafii, nie uzyskał wcześniej jego zgody na wystąpienie o takie dofinansowanie. Podobnie duchowny postępował, przyjmując darowizny, zakładając lokaty oszczędnościowe, kupując i sprzedając samochody. Zdaniem metropolity Raś „ustawił” konkurs na organistę w bazylice Mariackiej, tak by pracę zdobył jego kandydat. Nieprawidłowości miały też dotyczyć zatrudnienia innych pracowników.

Oprócz braku „dbałości i czuwania nad majątkiem kościelnym” Jędraszewski dołożył „zarzut braku prawości moralnej”. Raś ubierał się nieregulaminowo, nosząc jednocześnie infułę, pectorał, pierścień i pastorał. „Powyżej opisane postępowanie Księdza jest powodem poważnej szkody i zamieszania w kościelnej wspólnocie, wykazuje nieudolność, która czyni proboszcza nieużytecznym w wypełnianiu jego zadań oraz pokazuje złe zarządzanie dobrami doczesnymi, z wielką szkodą dla Kościoła, której nie można zaradzić w inny sposób”, wyłożył arcybiskup proboszczowi i dał mu 15 dni na opuszczenie urzędu.

W obronie ks. Rasia wystąpili członkowie rad parafialnych (duszpasterskiej, ekonomicznej oraz muzyki kościelnej) działających przy bazylice Mariackiej. Chcieli się spotkać z abp. Jędraszewskim, ale ten nie znalazł dla nich czasu. Napisali więc list do hierarchy. Zarzuty wobec Rasia nazwali „bezzasadnymi kalumniami”, a kontrolę pracy proboszcza ustawką. Komisja kontrolerów, którą naślął Jędraszewski, była złożona „z trzech księży magistrów teologii oraz jednej osoby zajmującej się kwestiami danych osobowych

w Kurii, pod przewodnictwem byłego wikarego Bazyliki Mariackiej w latach 2017–2020, ks. mgr. teologii Łukasza Michalczewskiego”. Zdaniem wiernych kontrola ograniczyła się do trzykrotnych godzinnych wizyt w parafii bez żądania jakichkolwiek wyjaśnień. „Już choćby sam sposób i forma przeprowadzenia kontroli może świadczyć o tym, że Komisja była od początku głównie nastawiona na to, aby wykazać nieistniejące w rzeczywistości rzekome uchybienia w zakresie sprawowania zarządu nad Parafią”, stwierdzili wierni. Jako dowód przytoczyli wcześniejsze inspekcje, które wypadły wzorowo.

Obajtek krakowskiej kurii

Kluczową rolę w sprawie odgrywa wspomniany ks. Łukasz Michalczewski (zwany Obajtkiem krakowskiej kurii), uważany za jednego najwierniejszych ludzi arcybiskupa, o którym mówi się, że trzęsie archidiecezją. Michalczewski uchodzi za kolekcjonera kościelnych posad. Jest m.in. ekonomem archidiecezji, rzecznikiem metropolity, pełnomocnikiem Arcybractwa Miłosierdzia, członkiem Rady Kapłańskiej, członkiem Rady Duszpasterskiej, kapelanem Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie, członkiem Rady Fundatorów Fundacji Pomocy Osobom Niepełnosprawnym w Stróżach, koordynatorem zespołu przygotowującego uroczystości kościelne oraz administratorem strony internetowej diecezji.

Członkowie rad parafialnych nie zostawili na Michalczewskim suchej nitki. W liście do Jędraszewskiego napisali, że jako wikariusz parafii mariackiej brał udział w pracach Duszpasterskiej Rady Parafialnej i znał „sposób sprawowania zarządu nad Parafią, gdyż nic przed nim nie było ukrywane”. Wtedy Michalczewski nie



Abp Marek Jędraszewski w Niedzielę Palmową przed katedrą wawelską. Kraków, 13 kwietnia 2025 r.

miał żadnych zastrzeżeń co do sposobu zarządzania parafią przez księdza Rasia. Mało tego! „W czasie swojego trzyletniego pobytu w Parafii nie wniósł on jednak niczego istotnego do funkcjonowania Rady, nie proponował żadnych rozwiązań innych niż te, które były już historycznie ukształtowane (...). W okresie pełnienia swoich obowiązków wikariusza nie przejawiał jakichkolwiek kwalifikacji, które upoważniałyby go do szafowania ocenami z zakresu prawa, ekonomii oraz sposobu zarządzania (...)”, napisali członkowie rad, a są wśród nich ekonomiści i prawnicy.

Jędraszewski nie przejął się jednak głosem wiernych. W 2024 r. papież Franciszek co prawda wstrzymał dekret hierarchy o odwołaniu Rasia, ale z powodu choroby, a potem śmierci, nie doprowadził sprawy do końca. Sprytny arcybiskup postanowił wykorzystać zamieszanie związane z wyborem nowego papieża i dzięki układom w kurii rzymskiej (m.in. z nuncjuszem apostolskim Antoniem Guidem Filipazzim) sprawił, że Dykasteria ds. Duchowieństwa (odpowiednik ministerstwa ds. kadr) zatwierdziła jego

dekret o odwołaniu niepokornego proboszcza. Nowym administratorem parafii mariackiej Jędraszewski mianował (w czerwcu br.) swojego zaufanego stronnika – ks. Mariusza Słoninę, dyrektora Caritasu Archidiecezji Krakowskiej i szefa Wydziału Charytatywnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Podobno ks. Raś nie dał za wygraną i wystąpił do Watykanu rekurs (odwołanie).

Nie sposób przewidzieć, jaka będzie ostateczna decyzja Watykanu w sprawie ks. Rasia, ale nie jest tajemnicą, że Jędraszewski poczynił wiele starań, aby zabezpieczyć swoje wpływy w archidiecezji, w tym nad kościelnym majątkiem. Hierarcha od roku powinien być już na emeryturze, ale papież jeszcze nie wyznaczył jego następcy. Jędraszewski postanowił to wykorzystać, idąc na rympał. Swoich zaufanych księży ulokował na najważniejszych stanowiskach w kurii. Oprócz wspomnianego Łukasza Michalczewskiego są to Grzegorz Kotala i Rafał Wilkołek. Ten pierwszy jest kanclerzem kurii, członkiem Rady Kapłańskiej, Kolegium Konsultorów i zespołu

przygotowującego uroczystości archidiecezjalne. Z kolei Wilkołek jest kapelanem metropolity.

Dobra doczesne

W podobny sposób jak parafię mariacką (inicjując kontrolę i narzucając zarząd komisaryczny) Jędraszewski chciał przejąć Kapitułę Katedralną na Wawelu – kolegium kapłanów archidiecezji krakowskiej o tysiącletniej historii. Kapituła ma liczne nieruchomości (w tym kamienice w centrum Krakowa), a hierarcha planował je przekształcić w przedsiębiorstwo hotelowo-restauracyjne. Kapituła jednak odwołała się do Watykanu i skutecznie zablokowała wrogie działania.

Na celowniku arcybiskupa znalazło się też Arcybractwo Miłosierdzia (komisarzem został ks. Michalczewski), świecka organizacja kościelna, czerpiąca ogromne zyski z wynajmu licznych nieruchomości. Michalczewski stanął także na czele zarządu Grupy FR3, która zajmowała się obsługą Światowych Dni Młodzieży. W jej skład wchodzi: Wydawnictwo św. Stanisława BM, dwie księgarnie oraz agencja kreatywna TBC Project. Spółka administruje również nieruchomościami. Na stronie internetowej tak zachwala swój dobytek: „Nieruchomości mieszkalne znajdują się w wielu pięknych dzielnicach Krakowa – ich najemcy i lokatorzy doceniają walory estetyczne i komfort użytkowania. Nieruchomości dzierżawione, zlokalizowane w atrakcyjnych punktach miasta, dają szerokie możliwości rozszerzania działalności biznesowej i zapewniają świetne wyniki finansowe”.

Choć Jędraszewski nadal sprawuje urząd, uwił już sobie emerytalne gniazdko. Resztę życia spędzi na plebanii św. Floriana, zwanej krakowskim Castel Gandolfo. Zabytkowa trzykondygnacyjna rezydencja, otoczona hektarowym ogrodem i wysokim murem, położona jest w ścisłym centrum miasta. Aby zrobić miejsce dla Jędraszewskiego, z willi w trybie natychmiastowym wykwaterowano mieszkańców (w tym dotychczasowego proboszcza), a w budynku przeprowadzono remont generalny. ■

Żegnamy generała Waldemara

Kościuszkowcy i członkowie Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców żegnają generała broni Waldemara Skrzypczaka. Człowieka wyjątkowego. Generała, który nie tylko dowodził – ale prowadził, który nie tylko służył ojczyźnie – ale był jej wierny w każdej chwili życia.

Żegnamy Waldemara – przyjaciela Kościuszkowców, towarzysza broni, człowieka wielkiego serca i nieugiętej odwagi.

Dla jednych był generałem, weteranem wielu misji, strategiem, autorytetem. Dla drugih – mentorem, nauczycielem, obrońcą żołnierskiej prawdy. A dla nas, Kościuszkowców – generałem Waldkiem. Człowiekiem, na którego zawsze można było liczyć. Który nie bał się mówić tego, co myśli, nawet gdy było to trudne. Wierzył, że wojsko to nie tylko rozkaz, ale przede wszystkim

odpowiedzialność, i że mundur zobowiązuje nie tylko w czasie służby, lecz i po niej.

Walczył o godność żołnierza, o prawdę historyczną, o Polskę silną, bezpieczną, świadomą zagrożeń i swojej roli w tym niebezpiecznym świecie. Był bezkompromisowy wobec fałszu. I lojalny wobec tych, którzy naprawdę służyli sprawie. Wiedział, co znaczy ryzyko, i podejmował je nie dla siebie, ale dla innych.

Był przykładem tego, jak żyć uczciwie, jak służyć z honorem, jak być wiernym swoim ideałom.

Generale Waldemarze, dziękujemy za służbę dla Rzeczypospolitej, za przyjaźń, za Twoją odwagę i rozważę.

Spoczywaj w pokoju.



Kościuszkowcy

LIST

✉ Jak zadziwiliśmy inne nacje

W numerze 29. „Przeglądu”, który kupiłem, nie mogąc doczekać się zaprenumerowanego egzemplarza, znalazłem artykuł „1955 – dwa tygodnie radości. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów”. Festiwal odbył się w Warszawie 10 lat po wyzwoleniu miasta, które po lewej stronie Wisły prawie w całości zostało zrujnowane.

„Cały naród buduje swoją stolicę” to nie tylko hasło, to ówczesny stan działania Polski i Polaków, który zadziwiał inne nacje. Podczas tej dekady odbudowano wiele zabytkowych części miasta – to te widoczne na zdjęciach w artykule. Wzniesiono wiele nowych domów, głównie na obszarach o niskiej przedwojennej zabudowie. Jednak zasadnicze spotkania, występy i odczyty odbywały się w Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina i na placu Defilad.

Obszar pomiędzy Al. Jerozolimskimi oraz ulicami Marszałkowską, Świętokrzyską i Emilii Plater był prawie w całości zrujnowany i wypalony przez stacjonujące tam po powstaniu warszawskim wojsko niemieckie. Zaprzyjaźniony wówczas z nami Związek Radziecki jako swój wkład w odbudowę Warszawy zaproponował zbudowanie na jej obszarze kompleksu mieszkań dla 20 tys. osób lub właśnie takiego obiektu, który miał zapewniać najpotrzebniejsze w tym czasie pomieszczenia dla nauki,

kultury i wypoczynku. Decyzję o przyjęciu drugiej opcji podjęła Rada Warszawy w 1952 r. Budowę rozpoczęto niezwłocznie i w ciągu trzech lat ją ukończono wraz z zagospodarowaniem okolicznego placu. Pałac oddano warszawiakom 21 lipca 1955 r., a więc tydzień przed zaplanowanym festiwalem. W tym czasie zakończono też budowę i oddano do użytku usytuowany obok dworzec kolejowy Warszawa Śródmieście.

W pałacu, zgodnie z założeniem, znalazły dla siebie miejsce: Polska Akademia Nauk wraz z towarzyszącymi jej instytucjami, Sala Kongresowa na 3 tys. miejsc, trzy teatry, w tym jeden dla dzieci w części młodzieżowej, trzy kina, część sportowa z pełnym wyposażeniem, w tym 50-metro-

wy basen z wieżą o wysokości 10 m, ponadto Muzeum Techniki, sale restauracyjne i wystawiennicze oraz wiele innych placówek.

Byłem w tym czasie studentem drugiego roku politechniki. Na Warszawę i na to, co się w niej działo, patrzyłem z Pragi, bo nasze mieszkanie na ul. Pańskiej zniknęło pod pl. Defilad, jak i część ulicy.

A V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów to nie tylko dwa tygodnie radości, lecz kolejne tygodnie, miesiące i lata, gdy Warszawa piękniała z dnia na dzień, a my, jej mieszkańcy, cieszyliśmy się z widocznego postępu i coraz lepszego życia kulturalnego, jak i osobistego. (...)

Edward Iparski



Z Galicji



Jan Widacki

Histeria w sprawach imigrantów zapoczątkowana została przed laty przez Kaczyńskiego, który twierdził, że przywloką ze sobą zarazki nieznanych mu chorób i pierwotniaki. Już mniejsza o zarazki, ale te pierwotniaki! Samo to brzmiało złowrogo, szczególnie dla rodzimych pierwotniaków. Temat okazał się chwytliwy, a strach przed imigrantami świetnie nadawał się do administrowania, dając to, co wielu politykom jawi się jako wartość nadrzędna: wzrost słupków poparcia! Imigranci, biali z Ukrainy lub Białorusi, czy kolorowi z Afryki albo Azji, ku radości rodzimych narodowców zastąpili nieobecnych niemal w Polsce Żydów. Z kolei ogólny rasizm mógł zastąpić dotychczasowy wybiórczy, jakkolwiek by było, antysemityzm, a właściwie mało porywającą jego współczesną polską odmianę, czyli „antysemityzm bez Żydów”. Chociaż Braun robił, co mógł, a Mentzen w programowej piątce umieścić Żydów. W swoim, jak sądził, konserwatywnym programie (gdyby jeszcze wiedział, na

film Agnieszki Holland „Zielona granica”. Było to żałosne i obrzydliwe. Współrządzająca lewica zapomniała, że istotą lewicy jest obrona słabszych i wymagających pomocy. Czy może więc dziwić poparcie dla niej w granicach 7%? Ostatnie wydarzenia – wspomniany uzurpatorski Ruch Obrony Granic i towarzysząca mu narracja, w tym głupie wypowiedzi prezydenta Dudy, ułaskawienie przez niego nieroba i awanturnika Bąkiewicza, narracja legalizująca kłamstwo obrony granic przed wymyślanym niebezpieczeństwem „najazdu imigrantów”, wreszcie organizowane przez Konfederację marsze przeciw imigrantom – stworzyły atmosferę przyzwolenia na rasizm, nacjonalizm, a wręcz faszyzm. Tym bardziej niebezpieczne, że prezentowane pod fałszywymi, lecz chwytliwymi hasłami „obrony granic” oraz „ochrony wiary i polskości”.

Prawica organizuje te jawnie głoszące rasizm i nacjonalizm marsze. Akty agresji wymierzonej w cudzoziemców o odmiennym kolorze, a nawet tylko odcieniu skóry

A Marszałek by powiedział...

czym konserwatyzm polega!) pisał: „Nie chcemy w Polsce Żydów, homoseksualistów...”. Co prawda z braku Żydów w Polsce antysemityzm koncentrował się raczej na Żydach z Brukseli, ale nie było to specjalnie porywające dla mas. Na szczęście pojawili się migranci.

Środowiska prawicowe szczuły na imigrantów, straszły nimi, kłamiąc, że popełniają najokropniejsze przestępstwa (wiemy, że popełniają ich mniej niż Polacy), że pochlaniają środki z opieki społecznej, zajmują miejsca w kolejkach do lekarzy, a co najgorsze – szerszą islam! To znów kłamstwo, bo żadnych przywilejów, zwłaszcza nadanych im kosztem prawdziwych Polaków, nie mają. Na ogół pracują na takich stanowiskach, których Polacy przyjąć nie chcieli, i płacą podatki – w przeciwieństwie do nieroba Bąkiewicza, który w wieku prawie 50 lat jest utrzymywany jeszcze przez rodziców i dochodu narodowego nie przysparza. W dodatku ten Bąkiewicz ma chęć tworzyć bojówki, które pod nazwą Ruchu Obrony Granic przywłaszczają sobie uprawnienia organów państwowych i mają nas rzekomo chronić przed przybyszami, którzy są tu nielegalnie.

W czasie gdy skrajna prawica nakręcała antyimigrancką histerię, rząd w najlepszym razie milczał i nie reagował. Umizgiwał się do prawicowego elektoratu, jakby wierzył, że przeciągnie go na swoją stronę. Tymczasem tracił wyborców. Ludzie patrzyli ze zgrozzeniem, jak prominentnym politykom Koalicji Obywatelskiej z dnia na dzień po wygranych wyborach przestał się podobać

stały się powszechnością. Podczas gdy oni coraz częściej są łżeni, obrażani, wypraszani z tramwajów i autobusów przez nacjonalistycznych chamów, przekonanych, że realizują szlachetną misję obrony polskości („Polska dla Polaków!”), gdy zapowiadane są kolejne takie marsze, rząd milczy, milczy też Kościół. Milczy. Jeden kard. Ryś napisał w tej sprawie list pasterski w obronie imigrantów i przeciw rasizmowi. Jeden! Na 154 biskupów Polsce! Skoro prawica zapowiada kolejny marsz przeciw imigrantom, rządząca na razie większość powinna wyraźnie od takiej retoryki i takiego działania się odciąć, przyjmując zdecydowane stanowisko w formie uchwały sejmowej. Pokazać społeczeństwu, że głos prawicy nie jest jedynym głosem klasy politycznej w tej kwestii. Nie wierzę jednak, by taka uchwała powstała, ani nawet w to, że z takim projektem wystąpią posłowie Lewicy.

W Krakowie ostatnio miejscowy KOD wspólnie z kilkoma organizacjami młodzieżowymi zorganizował manifestację przeciw nacjonalizmowi i rasizmowi. Zebrało się... ok. 100 osób. Był weteran prawdziwej Solidarności Edek Nowak, przyszła posłanka Lewicy Daria Gosek-Popiołek. Poza nią nie było żadnego krakowskiego parlamentarzysty rządzącej koalicji. Nie było też prezydenta miasta Aleksandra Miszańskiego ani żadnego z jego licznych zastępców. Wstyd!

W takim razie dopowiem to, co zapowiedziałem w tytule. A Marszałek by powiedział, że naród wspaniały, tylko ludzie... ■

Dlaczego Donald Trump wciąż zdradza swoich wyborców?

Nie ma potrzeby przedstawiać Czytelnikom sylwetki Stephena M. Walta. Kilukrotnie już gościł na łamach „Przeglądu”. Ostatnio (28 kwietnia) można było zapoznać się z jego bardzo ostrą krytyką administracji Donalda Trumpa zatytułowaną „Jak zrujnować kraj. Przewodnik krok po kroku”. Nie tylko godna odnotowania, ale przede wszystkim uważnej lektury jest najnowsza książka Walta „The Hell of Good Intentions. America’s Foreign Policy Elite and the Decline of U.S. Primacy” (Piekło dobrych intencji. Elita amerykańskiej polityki zagranicznej i upadek prymatu USA).

Tekst, którego fragmenty prezentujemy (ukazał się 21 lipca br. w witrynie Foreign Policy całość: foreignpolicy.com/2025/07/21/trump-betray-base-foreign-policy-epstein-putin-ukraine-iran-syria-war/), jest próbą wyjaśnienia gwałtownych zmian w polityce zagranicznej USA, zachodzących podczas drugiej kadencji Trumpa. Ściślej rzecz biorąc, Walt analizuje trzy możliwe odpowiedzi na nurtujące wszystkich pytanie o ciągle wolty amerykańskiej administracji pod egidą obecnego prezydenta. Wolty, które obecnie zdają się iść w poprzek oczekiwaniom zwolenników ruchu Trumpa Make America Great Again. Wszyscy wszakże rozumiemy, że za moment sprawy mogą wyglądać zupełnie inaczej.

Stephen M. Walt

(...) Donald Trump obiecuje Kijowowi zwiększenie pomocy wojskowej – zachęcał nawet Wołodymyra Zełenskiego do bezpośredniego ataku na Moskwę (wycofał się później ze swoich słów, gdy sprawa wyszła na jaw) – zamiast zawrzeć porozumienie z prezydentem Rosji Władimirem Putinem i zakończyć wojnę w Ukrainie „w ciągu 24 godzin”, co obiecywał w trakcie kampanii wyborczej, lub ostatecznie wstrzymać wszelką pomoc USA dla Ukrainy. Trump nie deklaruje poziomu wsparcia porównywalnego z administracją Bidena i są powody, aby wątpić, czy ta nowa polityka jest czymś trwałym, ale mamy do czynienia z uderzającą zmianą, która wywołała ostrą krytykę ze strony lojalnych dotąd przedstawicieli MAGA, takich jak kontrowersyjna kongresmenka Marjorie Taylor Greene czy były doradca Trumpa Steve Bannon. Podobnie, zamiast wycofać się z Europy i stanowczo zwrócić ku Azji – czego od dawna domagają się tacy urzędnicy jak zastępca sekretarza obrony Elbridge Colby – Trump zaczął nagle zdradzać nową sympatię do NATO. Nie porzuca także Bliskiego Wschodu. Tak jak wszyscy jego niedawni poprzednicy pozwala Izraelowi robić tam wszystko, co ten zechce. Jednak w ubiegłym miesiącu zdecydował się na wojnę

z Iranem na prośbę Izraela, wydając amerykańskim siłom rozkaz zbombardowania tego kraju i podejmując nieudaną próbę zniszczenia irańskiego programu nuklearnego. (...) Na koniec Trump niedawno zgodził się, aby Nvidia wznowiła sprzedaż zaawansowanych chipów do Chin, co może sugerować, że wycofuje się z wcześniejszych prób powstrzymania chińskiego postępu technologicznego za pomocą kontroli eksportu.

Nie twierdzę, że Trump się zmienił. (...) Wciąż prowadzi osobiste wendety wobec tych, których postrzega jako swoich wrogów. Wykazuje

amerykańską politykę zagraniczną ponownie bierze górę nad prezydentem – mimo jego wysiłków, by go sobie podporządkować. (...) Establishment udaremnił większość działań Trumpa w trakcie jego pierwszej kadencji, gdyż nie rozumiał on, jak funkcjonuje rząd, nie miał jasnej strategii przełamania jego oporu ani zespołu lojalnych urzędników, gotowych konsekwentnie realizować jego wizję. (...) Zgodnie ze swoim zwyczajem Trump obwinił o własne liczne porażki tzw. *deep state* (głębokie państwo) i obiecał, że da sobie lepiej radę, jeśli dostanie drugą szansę.

Donald Trump jest kiepskim menedżerem – nie potrafi dawać podwładnym jasnych i spójnych instrukcji.

ponadto coraz poważniejsze symptomy pogarszającej się sprawności umysłowej i z zadowoleniem stoi na czele najbardziej skorumpowanej administracji w historii Stanów Zjednoczonych. Będąc w zaawansowanym wieku, nie ma co liczyć na to, że stanie się inną osobą. Ale jego ostatnie działania nie licują z polityką zagraniczną, którą obiecywał i której oczekiwali jego zwolennicy.

Jak można wytłumaczyć te zmiany? Dostrzegam co najmniej trzy możliwości. Jednym z dość oczywistych wyjaśnień jest to, że establishment reprezentujący

Tym razem Trump próbował pokonać establishment, mianując na kluczowe stanowiska rządowe i ważne funkcje fotogenicznych lojalistów, takich jak sekretarz obrony Pete Hegseth, czy łatwych do zmanipulowania oportunistów, jak sekretarz stanu Marco Rubio lub dyrektorka Wywiadu Narodowego Tulsi Gabbard.

Umieszczenie posłusznych wykonawców poleceń na szczycie najważniejszych resortów nie przyniosło jednak oczekiwanych rezultatów. Po pierwsze, Trump jest kiepskim menedżerem – nie potrafi dawać podwładnym jasnych i spójnych instrukcji. Po

drugie, zgodnie z obawami wielu, Hegseth okazał się niewykwalifikowanym i nieskutecznym urzędnikiem, popełniającym wiele błędów, a jego biuro – wedle byłego współpracownika – jest obrazem chaosu. Z kolei Rubio to ideolog o wyraźnych neokonserwatywnych inklinacjach. Nie sprzeciwi się Trumpowi otwarcie, ale będzie go popychał w niebezpieczną stronę. (...)

Podsumowując: aby rzeczywiście zmierzyć się z establishmentem, prezydent musiałby obsadzić kluczowe stanowiska inteligentnymi, doświadczonymi, kompetentnymi ludźmi. Następnie opracować z nimi spójną strategię odzwierciedlającą zespół pryncypiów odmiennych od dotychczasowych. Trump miał już dwie okazje, by to zrobić (kompletując administrację w trakcie pierwszej oraz drugiej kadencji – P.K.). Obie zaprzepaścił.

Drugim, bardziej pochlebnym (dla Trumpa – P.K.) wyjaśnieniem jest to, że prezydent dostosowuje się do rzeczywistości. Odkrył, że jego rzekoma przyjaźń z Putinem nie wywarła żadnego wpływu na rosyjskiego przywódcę, i nie zamierza on zakończyć wojny tylko dlatego, że Trump sobie tego życzy. Trump może nie podzielać poglądu byłego prezydenta Bidena, że Putin to zło, które musi być ostatecznie pokonane, ale obecnie widzi, że rosyjski prezydent nie podejmie poważnych negocjacji, dopóki będzie przekonany o możliwości ostatecznego zwycięstwa. (...) Wznowienie pomocy USA dla Ukrainy ma na celu wywarcie na Putina presji, aby zawarł porozumienie, chociaż obiecany poziom wsparcia okaże się prawdopodobnie niewystarczający, by cel ten osiągnąć. Niemniej jednak na gruncie tego wyjaśnienia ostatnie działania Trumpa dowodzą, że się uczy, a nie że nadal działa pod wpływem „głębokiego państwa”.

Podobna historia wyłania się w kontekście Bliskiego Wschodu. Trump, tak jak Biden, nigdy nie zamierzał wywierać poważnych nacisków na Izrael. Oto powód, dla którego ludobójcza wojna w Gazie trwa przy aktywnym wsparciu Stanów Zjednoczonych. Iran nigdy nie zamierzał zgodzić się na wysuwane

przez Trumpa i Rubia żądanie, aby Teheran całkowicie zrezygnował ze wzbogacania uranu. Ponieważ wysiłki dyplomatyczne utknęły w martwym punkcie, premier Izraela zdołał przekonać Trumpa, że naloty mogą raz na zawsze zlikwidować irański program nuklearny i przypieczętować regionalną dominację Izraela. Wojna nie przyniosła jednak spodziewanych rezultatów, a Izrael jest zbyt małym państwem, by faktycznie stać się hegemonem w regionie. Jednak w tym – trzeba podkreślić – życzliwym wyjaśnieniu (działań prezydenta USA – P.K.) Trump w sposób pragmatyczny dostosował amerykańską politykę do zmieniającej się sytuacji w regionie, nie przystając na żądania przedłużenia kampanii powietrznej czy zwiększenia obecności wojsk lądowych.

Trump nie umie oddzielić interesu narodowego od własnych interesów.

Jeśli chodzi o Chiny, to być może prezydent i jego doradcy zdali sobie sprawę, że totalna wojna gospodarcza z Pekinem poważnie zaszkodzi gospodarce USA, a i tak nie powstrzyma postępu technologicznego Państwa Środka. Gdyby tak było, to zniesienie zakazu eksportu chipów Nvidii oraz negocjowanie jakiegoś tymczasowego porozumienia handlowego ma sens.

Chciałbym wierzyć, że właśnie to wyjaśnienie jest trafne. Że oto Trump próbuje dostosować się do zmiennych okoliczności. Zakłada ono jednak poziom spójności i istnienie strategicznej wizji, którą trudno dostrzec. (...)

Pozostaje trzecia opcja. Ostatnie zmiany w polityce zagranicznej Trumpa wynikają głównie z jego ego. Wysyła więcej broni do Ukrainy nie dlatego, że na nowo przejął się utrzymaniem przez nią niepodległości, ale dlatego, że działania Putina zaczęły stawiać go w złym świetle. Uznaje NATO za sojusz, który jest „w porządku” dopiero po tym, jak jego sekretarz generalny Mark Rutte zanurzył go w morzu pochlebstw godnym średniowiecznego dworu.

Zaangażował się w bezsensowną wojnę na Bliskim Wschodzie, ponieważ wysadzanie rzeczy w powietrze zdawało się stanowić dowód na to, że to on trzyma stery – bez względu na końcowe efekty. W ten obraz wpisuje się także labilne podejście Trumpa do cel. Lubi je, gdyż skupiają na nim uwagę. (...)

Dla niektórych komentatorów – takich jak Janan Ganesh z „The Financial Times” – brak spójnego światopoglądu Trumpa i jego obsesja na własnym punkcie są lepsze niż dogmatyczny ekstremizm charakterystyczny dla wyborców MAGA. Jego brak prawdziwych przekonań i trwałych preferencji (poza zafiksowaniem na punkcie ceł i deficytu handlowego) sprawia, że łatwiej mu zmienić kierunek, gdy wymaga tego sytuacja. Nie jestem

jednak tego taki pewien. Ponieważ Trump nie potrafi oddzielić interesu narodowego od własnych interesów, jest fatalny w ocenie ludzkich charakterów i podatny na pochlebstwa. Amerykańska polityka zagraniczna pod jego rządami okazuje się jeszcze bardziej chaotyczna, bardziej sprzeczna wewnętrznie i szkodliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Ameryka mogła sobie na to pozwolić, gdy była jedynym supermocarstwem, choć zapłaciła wysoką cenę za swoje błędy. (...) W epoce, w której USA mają najpoważniejszego rywala w całej swojej historii jako światowej potęgi, impulsywny i nieprzewidywalny lider, który rządzi przy pomocy ludzi wybranych ze względu na lojalność, a nie kompetencje, to jednak gotowy przepis na katastrofę. Amerykanie mogą jedynie żywić nadzieję, że rację miał kanclerz Niemiec Otto von Bismarck, gdy ponoć powiedział: „Opatrzność darzy szczególnymi względami pijaków, głupców oraz Stany Zjednoczone Ameryki”. Prawdopodobnie kraj będzie tych względów potrzebował.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Wszyscy ludzie Zełenskiego

Próba podporządkowania NABU i SAP to największy błąd w politycznej karierze prezydenta Ukrainy

Grzegorz Rudnik

Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła 22 lipca br. (przy 263 głosach za i 13 przeciw) ustawę likwidującą niezależność Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU) i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP) poprzez podporządkowanie ich Prokuratorowi Generalnemu (PG). Wieczorem tego samego dnia ustawę podpisał prezydent Zełenski. Po kilku godzinach została opublikowana i weszła w życie.

Gwarant ukraińskiej konstytucji oświadczył, że było to niezbędne ze względu na konieczność walki z rosyjską agenturą. Przyjęcie ustawy poprzedziły rewizje w miesz-

„Russia Today” i czołowi kremlowscy propagandyści.

Pisano o szerzącej się w ukraińskich elitach korupcji, o blokowaniu krytyki przez ludzi Zełenskiego, wyśmiano rewelacje o panoszących się w NABU rosyjskich agentach, w końcu zaczęto zadawać pytania, czy niedawny „bohater narodowy Ukrainy” nie staje się tyranem. I czy w związku z tym dalsze finansowe wspieranie Kijowa ma sens.

The Kyiv Independent, anglojęzyczny portal medialny w Brukseli, którego treści są w belgijskiej stolicy uważnie czytane, zatytułował materiał: „Zełenski właśnie zdradził ukraińską demokrację – i wszystkich, którzy o nią walczą”. Polityco opublikowało serię artykułów, których sens

wycofał i zapewnił, że natychmiast skieruje do Rady Najwyższej Ukrainy projekt ustawy, który przywróci niezależność NABU i SAP. Tak też się stało.

Korupcja epickich rozmiarów

Pod względem rozmiarów korupcji Ukraina może rywalizować tylko z Rosją. W październiku 2024 r. w Chmielnickim zatrzymana została Tetiana Krupa, szefowa Regionalnego Centrum Ekspertyz Medyczno-Społecznych. W jej mieszkaniu znaleziono prawie 6 mln dol. w gotówce.

Tetiana Krupa wydawała fałszywe zaświadczenia o niepełnosprawności mężczyznom, którzy chcieli uniknąć mobilizacji. W jej biurze śledczy znaleźli 100 tys. dol., sfalszowane dokumenty medyczne oraz listy „uchylających się od poboru” z fikcyjnymi diagnozami. Podczas przeszukania pani Tetiana wyrzuciła przez okno torbę zawierającą równowartość ponad 450 tys. euro.

Wśród jej „klientów” znalazło się 51 prokuratorów z regionu chmielnickiego, którzy uzyskali fałszywe zaświadczenia o niepełnosprawności, co pozwalało im uzyskać rentę inwalidzką oraz uniknąć mobilizacji. Jak podliczono, łączna kwota, jaką otrzymali stróża prawa z tytułu tych świadczeń, wyniosła co najmniej 1,2 mln euro!

Wybitne korzyści osiągnęli też szefowie Terytorialnych Centrów Rekrutacji (TCK) w Boryspolu i Buczy pod Kijowem, którzy zgarnęli ponad 1,2 mln dol., „pomagając” chętnym uniknąć mobilizacji. Brali po 35-37 tys. dol. za „usługę kompleksową”, która obejmowała przygotowanie fałszywych zaświadczeń medycznych oraz

Zachodnie media coraz częściej pytają, czy „bohater narodowy Ukrainy” nie staje się tyranem. I czy dalsze finansowe wspieranie Kijowa ma sens.

kaniach należących do funkcjonariuszy obu antykorupcyjnych instytucji, przeprowadzone przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU). Czego szukano? Na pewno nie dowodów na agenturalną działalność na rzecz Kremla.

Następnego dnia w kluczowych miastach Ukrainy doszło do największych od rozpoczęcia przez Rosję agresji w 2022 r. protestów przeciwko działaniom administracji prezydenta Zełenskiego. Policja nie interweniowała. Być może dlatego, że wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ku zaskoczeniu Bankowej – tak Ukraińcy nazywają biuro prezydenta, które mieści się w Kijowie przy ulicy o tej nazwie – w mediach zachodnich pojawiły się publikacje, których nie powstydziliby się

można sprowadzić do jednego zdania: „Podstępny wróg Ukrainy to jej własne kierownictwo”.

Z kolei dziennikarze „The Financial Times” dowodzili, że „Zełenski spadł ze swojego demokratycznego piedestału”. Niemiecki „Bild” cytuje wypowiedź ministra spraw zagranicznych Johanna Wedephula, który wyraził obawę, że działania ukraińskich władz mogą wpłynąć na europejskie aspiracje Kijowa.

Niemal identyczne treści znalazły się w materiałach „The Washington Post”, „The Wall Street Journal”, „Le Monde”, „The Economist”, BBC, a nawet Al Dżaziry.

Dyscyplinującą rozmowę z Zełenskim odbyła przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Po dwóch dniach prezydent się



23 lipca 2025 r. w wielu miastach Ukrainy doszło do masowych protestów przeciwko decyzji prezydenta likwidującej niezależność NABU i SAP.

„wsparcie” podczas kontroli w komisjach lekarskich.

Identyfikacja procedur kwitów w Odessie, gdzie tamtejszy szef TCK w dzielnicy Primorskiej zarobił – zanim go złapali – co najmniej milion dolarów.

W styczniu br. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) zatrzymała głównego psychiatrę Sił Zbrojnych Ukrainy Oleha Druza. Był przewodniczącym Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej, odpowiedzialnej za ocenę zdolności rekrutów do służby. Jak ustalono, od wybuchu wojny w 2022 r. Druz i jego rodzina nabyli nieruchomości w obwodzie kijowskim, mieszkania w Kijowie i Odessie, cztery luksusowe samochody BMW oraz działki. W jego domu znaleziono 152 tys. dol. i 34 tys. euro w gotówce.

W tym samym czasie krytyczne wobec Zełenskigo media ukraińskie ujawniły, że kilku członków słynnego pułku Azow nabyło mieszkania w jednym z najdroższych kompleksów mieszkaniowych Kijowa – w Nowopecherskich Lipkach. Byli to m.in.: Ivan Ignatiev „Ignat”, Bohdan Krotevich „Tavr”, Nikita Nadtochi „Raz-Two”, Sergei Tsesaruk „Molfar”, Oleg Chomenko „Apis” oraz

słynny Światosław Palamar „Kalina”. Średnia cena takiego lokalu to ok. 500 tys. dol. Nikt nie pytał, skąd azowcy mieli pieniądze.

Jednak przedstawione przykłady to tylko niegodne uwagi drobiazgi. Dziś prawdziwą kasę robi się na dostawach dla wojska. W 2024 r. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, we współpracy z ministerstwem obrony, ujawniła korupcyjny skandal związany z dostawami amunicji. Sprawa rozpoczęła się w 2022 r., w sierpniu, gdy pracownicy resortu obrony podpisali z firmą Lwowski

nie są znane. Jego zastępcą, niejaki Sachnenko, trafił do szpitala, więc nie można go aresztować. W tym samym czasie wypłynęła informacja, że SBU zatrzymała wysokiego rangą urzędnika resortu obrony, który przywłaszczył sobie 40 mln dol. w związku z innym kontraktem na dostawę pocisków artyleryjskich. On też policzył sobie za „pośrednictwo”.

W maju br. „The Financial Times” opisał wyniki śledztwa dziennikarskiego, z którego wynikało, że Ukraina straciła na nieudanych zakupach uzbrojenia od początku rosyjskiej inwazji co najmniej 770 mln dol. Chodziło o wydatki na sprzęt, który nigdy nie dotarł do kraju, na oraz ten sprzedawany Kijowowi po zawyżonych cenach.

W styczniu 2024 r. Pentagon stwierdził, że 1,1 mld dol. pomocy dostarczonej Kijowowi nie miało odpowiedniej dokumentacji. W opublikowanym na ten temat raporcie stwierdzono, że Departament Obrony nie otrzymywał dokładnych spisów numerów seryjnych uzbrojenia, które trafiło na Ukrainę. Tłumaczono to m.in. ograniczoną liczbą personelu. Jednocześnie pojawiły się pogłoski, że skorumpowani ukraińscy urzędnicy i wojskowi sprzedają amerykańskie uzbrojenie do Afryki.

Między nami kołesiami

Kluczowe osoby w kancelarii prezydenta i w ukraińskim rządzie to ludzie, których Zełenski zna od lat. I darzy zaufaniem. Najczęściej są

Dziennikarze „The Financial Times” dowodzili, że „Zełenski spadł ze swojego demokratycznego piedestału”.

Arsenał umowę na zakup 100 tys. sztuk amunicji moździerzowej. Opiewała ona na ok. 40 mln dol. Jednak ani jeden zamówiony pocisk na Ukrainę nie trafił. Ślad po wyprawdzonej gotówce wiódł na Bałkany.

A co się stało z udziałowcami feralnej spółki? Główny akcjonariusz i dyrektor Jurij Zbiritniew w ubiegłym roku trafił do aresztu. Były dyrektor Mykoła Bratina został usunięty ze stanowiska – jego dalsze losy

to postaci z nim związane jeszcze z czasów Studia „Kwartal 95”, którego obecny prezydent był członkiem i udziałowcem.

Dlatego oskarżenia o korupcję albo odrzucano, albo wyciszano. Tak było z wiceministrem obrony Wiaczesławem Szapowałowem, który pobierał „prowizje” od dostawców żywności i umundurowania dla wojska. Z kolei Wasyl Łozynski, p.o. minister rozwoju gmin, ▶

► terytoriów i infrastruktury Ukrainy, w 2023 r. przyjął 400 tys. dol. łapówek w związku z dostawami agregatów prądotwórczych.

W zeszłym roku udało się zamieść pod dywan przypadek Rostysława Szurmy, zastępcy szefa Biura Prezydenta ds. Gospodarczych, który skutecznie wsparł interesy spółek energetycznych należących do jego brata Ołeha. Chodziło o 320 mln hrywien dopłat, które otrzymały one za prąd pochodzący z farm fotowoltaicznych znajdujących się na okupowanych przez Rosjan terytoriach, choć nie wiadomo, czy trafił on do ukraińskich sieci. Bracia mieszkają dziś poza granicami Ukrainy. Na początku lipca br. NABU przy współpracy policji przeszukało należącą do Rostysława Szurmy willę w okolicach Monachium.

Niemiecki minister spraw zagranicznych Johann Wedepuhl wyraził obawę, że działania ukraińskich władz wpłyną na europejskie aspiracje Kijowa.

Od dawna udawało się też uciszać kontrowersje wokół szefa kancelarii prezydenta Andrija Jermaka i jego brata Denysa. Zarzucano im handel stanowiskami państwowymi, w mediach pojawiały się informacje, że otrzymanie posady gubernatora obwodu to wydatek rządu 600 tys. dol.

NABU już w 2020 r. wszczęło dwa postępowania w sprawie wszechmocnego szefa kancelarii, które rok później umorzono. W tym roku sprawa Jermaka wróciła w związku z postępowaniem NABU przeciw Tymurowi Mindyczowi, partnerowi biznesowemu Zełenskigo z czasów Studia „Kwartal 95”.

Mindycz pracował też dla oligarchy Igora Kołomojskiego („Beni”), oczekującego obecnie na proces w jednym z ukraińskich zakładów karnych. „Benia” przez lata wspierał Zełenskigo i, jak się powszechnie uważa, w 2019 r. pomógł mu zdobyć fotel prezydenta Ukrainy.

Opozycyjne wobec Bankowej media ukraińskie, politycy i zachodni dziennikarze tłumaczą błyskawiczną akcję z przepchnięciem przez Radę Najwyższą ustawy likwidującej

niezależność NABU i SAP śledztwem, które biuro prowadziło przeciw Mindyczowi. Funkcjonariusze tej służby mieli jakoby, korzystając z pomocy Hennadija Bogolubowa, oligarchy i biznesowego partnera Kołomojskiego, założyć podsłuch w apartamencie Tymura Mindycza, w luksusowym kompleksie mieszkalnym przy ul. Bohdana Hruszewskiego 9A. Bogolubow podobno miał mieszkanie nad lokalem prezydenckiego kumpla.

Zastąpić Zełenskigo?

Ludzie prezydenta koniecznie chcieli dowiedzieć się, co było na „taśmach Mindycza”. I kto z otoczenia prezydenta poszedł na współpracę z NABU. W ukraińskim internecie huczy od plotek. Najpopularniejsza głosi, że jest nagranie,

w którym Zełenski wulgarnie sposób wyraża się o narodzie ukraińskim. Heorhiy Mazurashu, deputowany do Rady Najwyższej, opublikował zdjęcie przedstawiające jakoby toaletę w apartamencie Mindycza. Widać na nim złotą armaturę: sedes, bidet i baterie. To aluzja do byłego prezydenta Janukowycza, który w swojej willi także miał złoty sedes.

Poza tym nagrane mają być rozmowy najbliższych współpracowników prezydenta Ukrainy dotyczące „prowizji” od kontraktów na dostawę broni i amunicji, a także rozmowy o łapówkach oraz „prowizjach” w sektorze energetycznym. Rozmawiano też podobno na temat szantażowania właścicieli prywatnych firm przez ludzi z otoczenia Zełenskigo.

Christopher Miller, korespondent „The Financial Times” w Kijowie, napisał w ubiegłym tygodniu, że NABU i SAP prowadzą dochodzenia wobec 31 obecnych i 40 byłych parlamentarzystów, w tym kilku z rządzącej partii Zełenskigo Sługa Narodu.

Zachodni dziennikarze i politycy, którzy jeszcze kilka miesięcy temu wypowiadali się o Zełenskim jak

o bohaterze i obrońcy demokracji, zmienili ton. Coraz częściej podnoszony jest temat zastąpienia go politykiem bardziej godnym zaufania. W tym kontekście pada nazwisko byłego dowódcy Sił Zbrojnych Ukrainy gen. Walerija Załużnego, który obecnie jest ambasadorem w Londynie.

Jak wspominaliśmy, nie brakuje też wątpliwości co do sensu udzielania Kijowowi finansowego wsparcia, bo część pieniędzy na pewno zostanie rozkradziona. Administracja prezydenta Trumpa nie chce zbyt angażować się finansowo w pomoc Ukrainie. Amerykanie ogłosili, że gotowi są dostarczać broń, pod warunkiem że Europa za nią zapłaci.

Jeśli media nadal będą eksplloatowały temat korupcji i obyczajów panujących w najwyższych kręgach władzy w Kijowie, opinia publiczna, zwłaszcza w Niemczech, może się odwrócić od Ukraińców. Zachód nie rozumie, że na Wschodzie korupcja od stuleci jest trwałym elementem życia społeczeństw. Zachodnim politykom, dziennikarzom i opinii publicznej nie mieści się w głowie prymitywizm zachowań moskiewskich i kijowskich korupcjonistów. Wszak w Europie wygląda to inaczej.

W drugiej połowie br. przed sądem w Paryżu ma się rozpocząć proces Rashidy Dati, francuskiej minister kultury i byłej europosłanki. Francuska Prokuratura Finansowa oskarża ją o to, że w latach 2010-2012 miała przyjąć 900 tys. euro od spółki zależnej koncernu Renault-Nissan – oficjalnie za doradztwo. Prokuratura twierdzi, że jej usługi były fikcyjne i służyły ukryciu nielegalnego lobbingu w instytucjach unijnych. Ale Rashida Dati jest elegancką, świetnie ubraną i nowoczesną kobietą. Poza tym znalazła się w doborowym towarzystwie.

W ostatnich latach francuskie sądy skazały za korupcję dwóch prezydentów – Jacques’a Chiraca, który dostał dwa lata więzienia w zawieszeniu, i Nicolasa Sarkozy’ego, który otrzymał wyrok trzech lat więzienia, w tym dwóch w zawieszeniu. Oraz dwóch premierów – Alaina Juppé i François Fillona.

To się nazywa Europa.

Grzegorz Rudnik

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Mój prezydent Lech Kaczyński

Zaciskam zęby, wystukując na klawiaturze ten tytuł, lecz czy naprawdę jest w nim coś dziwnego? Jestem obywatelem Rzeczypospolitej, więc każdy jej prezydent jest „mój”. Oczywiście sprawa się komplikuje w praktyce, bo określenie takie powinno odnosić się tylko do osób dysponujących demokratycznym mandatem i sprawujących swój urząd zgodnie z konstytucją. Te dwa warunki spełniał właściwie tylko Aleksander Kwaśniewski. Wojciecha Jaruzelskiego wybrało Zgromadzenie Narodowe niedysponujące pełnym demokratycznym mandatem, Lech Wałęsa falandyzował prawo, Bronisław Komorowski ustanowił antypaństwowy Dzień Żołnierzy Wyklętych... Ale czy ma to znaczyć, że cała powyższa trójka to prezydenci niepełni, ułomni, nieprawdziwi? W takim razie trzeba by zdelegitimizować Ignacego Mościckiego!

A Lech Kaczyński? Na pewno nie był prezydentem wszystkich Polaków. Na pewno dokonał upartyjnienia swego urzędu, obniżył jego godność i autorytet. Taki był od samego początku, od wieczoru wyborczego, gdy meldował bratu-prezesowi „wykonanie zadania”. Pod pewnym względem był nawet gorszy od brata, bo manipulował historią. Był przy tym nieporadny i nieobyty, a przede wszystkim nieodpowiedzialny: w roku 2008, w Tbilisi, wypowiedział Rosji jakąś dziwaczną wojnę-nie-wojnę („Jesteśmy tu, aby podjąć walkę!”). Ale czy również takie okoliczności mają wystarczyć, by nie był to mój prezydent?

Moim prezydentem był nawet Andrzej Duda. Wprawdzie przed 10 laty czułem zażenowanie, gdy swe prywatne wyjazdy zarobkowe rozliczał jako działalność poselską, gdy sam siebie nazywał „niezłomnym”... Ale jeszcze 16 listopada 2015 r., gdy „ułaskawił” Mariusza Kamińskiego, pozostał mimo wszystko moim prezydentem, bo był nim z majestatu sprawowanego urzędu. Dopiero gdy nocą z 2 na 3 grudnia 2015 r. przyjął ślubowanie od sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych nieprawomocnie, wszelkie złudzenia prysły i odtąd mogłem mówić już tylko „dr Duda”. A kolejne jego popisy jedynie mnie w tym utwierdzały.

Za chwilę jednak będziemy mieć wreszcie nowego prezydenta. Ale tu kłopot pojawia się wcześniej niż kiedykolwiek. Ważność wyboru dr. N. stwierdziła Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, a ona nie jest sądem. Różne były sposoby wyjścia z tej sytuacji: przyjęcie ustawy incydentalnej, przekazanie sprawy do Izby Pracy, uchwała całego Sądu Najwyższego... Z żadnej z tych

dróg nie chciano skorzystać, więc ważność wyborów nie została stwierdzona. Co więcej: obywatele nie znają ich wyników! Nie zna ich rzeczona Izba (więc na jakiej podstawie stwierdza ważność?), nie zna Państwowa Komisja Wyborcza, nie zna prokuratura. A przecież również temu można było zaradzić, zarządzając ponowne przeliczenie głosów. Tymczasem, gdy tylko pojawił się taki pomysł, dr Duda, a po nim inni pisowcy, podnieśli krzyk: chcą nam ukraść zwycięstwo! Skąd jednak takie przypuszczenie? Skąd taka wiedza? Skąd w wieczór wyborczy przekonanie dr. N., że po nocy wynik się zmieni?

I wreszcie: może prokuratura skieruje teraz wobec mnie akt oskarżenia, bo zapewne dołączam do hejtu na córeczkę dr. N. No ale jeśli dziecko nie potrafi ustać spokojnie, to na uroczystość tej wagi i tej rangi go się nie bierze. A jeżeli już się je wzięło, to ktoś za nie bierze odpowiedzialność. Ktoś próbuje je uspokoić. Brak powagi na wieczorze wyborczym dodatkowo wzmacniał brak powagi całego procesu wyborczego.

Nowy prezydent zmierza ku pozycjom antypaństwowym i może zagrażać polskiej niepodległości.

Ale to margines marginesu. Teraz mnie, obywatela, obowiązują już tylko dwa aksjomaty: domniemanie prawidłowości wyborów oraz „gruba kreska” wobec dr. N. – nawet wobec niewyjaśnionych do końca kontaktów z półświatkiem. Przyjmuję zatem, że od dnia zaprzysiężenia ma dr N. jako prezydent kartę czystą, niezapisaną. I że w przyszłości nikt go niczym nie będzie szantażował.

Ale co z tego, skoro już teraz uznaje on za swą misję walkę z konstytucyjnym rządem Donalda Tuska. A swój brak zgody na ambasadorską nominację Bogdana Klicha motywuje jego krytycznym w przeszłości sądem o Donaldzie Trumpie. Już tylko te dwie okoliczności wskazują, że nowy prezydent zmierza ku pozycjom antypaństwowym. Oraz ku dalszej wasalizacji Polski wobec USA. Czyli – wbrew wszelkim swym frazesom – może zagrażać polskiej niepodległości.

Zatem wszystko świadczy przeciw dr. N. Ale też wszystko jest przed nim. Nie mam cienia złudzeń, a jednak sądzę, że trzeba dać mu szansę. Bo a nuż, choćby z samej swej wybujałej ambicji, zechce on kiedyś okazać się niezłomnym? Byłoby tylko nie tak niezłomnym jak dr Duda.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Prawo do godnej śmierci

Włochy, jako jedyny kraj w Europie, umożliwiły dokonanie samobójstwa wspomaganego mimo luki ustawodawczej

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

„Każde życie – nawet w najbardziej skrajnych warunkach – jest warte przeżycia. Ale to my i tylko my mamy prawo wybierać”, powiedziała Laura Santi, dziennikarka z Perugii, od lat chora na stwardnienie rozsiane. 21 lipca 2025 r., w wieku 50 lat, Laura zmarła we własnym domu po samodzielnym podaniu sobie śmiertelnej dawki środka farmakologicznego. Jest dziewiątą osobą we Włoszech – i pierwszą w Umbrii – która uzyskała prawo do dokonania wspomaganego samobójstwa.

„Kiedy będziecie czytać te słowa, mnie już nie będzie, bo postanowiłam przestać cierpieć. Choć decyzja była znana wszystkim, ten gest dokonuje się w ciszy i przyniesie ból, bo wielu nie będzie mogło się pożegnać. Proszę o zrozumienie. To akt ostateczny, wymagający stalowych nerwów. Jak mogłabym przeżyć to spokojnie, dokładając żałobę do przedwczesnej żałoby, ból do bólu?”, napisała w liście pożegnalnym. Opis jej cierpienia nie pozostawia obojętnym: „Za uśmiechem na zdjęciu kryła się codzienność pełna bólu i coraz większej niemocy. Nie mogłam już wykonać najprostszego gestu ani cieszyć się życiem. A to dla mnie oznacza godność”.

Przez dwa i pół roku Laura Santi walczyła prawnie o dostęp do wspomaganego samobójstwa. Lokalna służba zdrowia w Perugii wydała zgodę dopiero w czerwcu 2025 r. Środek i sprzęt dostarczyła bezpłatnie służba zdrowia, a procedurę wspomógł wolontariacki personel medyczny. „Miałam czas, by dojść do tej decyzji i by ją zmienić. Pozwoliłam sobie skosztować ostatnich

okruchów życia – pożegnać miejsca, ludzi, kolory, niebo... Żyć tak, jakby każdy dzień był ostatni – mówią. Nie-możliwe? Ja prawie to osiągnęłam”, pisała dziennikarka.

Laurze do końca towarzyszył mąż Stefano, wspierający ją także w walce o prawa pacjentów – kobieta była aktywistką Stowarzyszenia im. Luki Coscioniego. Oto jej ostatnie słowa: „Zaraz umrę. Czuję ogromną wolność od cierpienia i piekła codzienności. (...) Pamiętajcie o mnie i nigdy nie przestawajcie walczyć, nawet jeśli walka wydaje się beznadziejna”.

DJ Fabo i proces Marca Cappata

O prawo do godnej śmierci we Włoszech od lat walczą Partia Radykalna i Stowarzyszenie im. Luki Coscioniego. Ten ekonomista i polityk zachorował w 1995 r. na stwardnienie zanikowe boczne, a wraz z postępem choroby stał się symbolem walki o samostanowienie i wolność jednostki oraz prawa obywatelskie, w tym prawo do eutanazji, dostęp do badań nad embrionami, aborcję czy wspomaganą prokreację. W 2001 r. został przewodniczącym Partii Radykalnej, rok później powstało stowarzyszenie jego imienia. Zmarł w 2006 r.

We Włoszech – kraju o silnym wpływie Watykanu – eutanazja długo pozostawała tabu. Początkowo Watykan odrzucał ją jednoznacznie (sprawa Eluany Englaro) i sprzeciwiał się prawu do wspomaganego samobójstwa, wpływając na kolejne rządy, by nie regulowały tej kwestii. W czasach papieża Franciszka stanowisko nieco się zmieniło: Kościół katolicki podkreśla świętość życia, ale uznaje również zasadność zawieszenia terapii, które skutkują uporczywym leczeniem. Punktem zwrotnym była głośna sprawa DJ Fabo i orzeczenie 242/2019 Trybunału Konstytucyjnego.

Fabiano Antoniani, znany jako DJ Fabo, 40-letni muzyk i producent, po wypadku samochodowym stracił wzrok i władzę w czterech kończynach. Po latach całkowitej zależności i cierpienia bez nadziei na poprawę jego życzeniem było umrzeć z godnością we własnym kraju. Ponieważ włoskie prawo tego nie umożliwiał, zwrócił się o pomoc do Stowarzyszenia im. Luki Coscioniego i Marca Cappata – polityka, działacza Partii Radykalnej, byłego eurodeputowanego i członka stowarzyszenia. Cappato odwiózł go do szwajcarskiej kliniki, gdzie 27 lutego 2017 r.

EUTANAZJA A SAMOBÓJSTWO WSPOMAGANE

Choć oba pojęcia dotyczą zakończenia życia w sytuacji nieuleczalnej choroby i cierpienia, różnią się formą wykonania. W przypadku eutanazji to osoba trzecia – najczęściej lekarz – bezpośrednio podaje śmiertelną substancję, kończąc życie pacjenta. Natomiast przy samobójstwie wspomaganym lekarz jedynie udostępnia środek farmakologiczny, a samą czynność jego przyjęcia wykonuje pacjent, z własnej woli i decyzji. Kluczowa różnica polega na tym, kto dokonuje ostatecznego aktu – pacjent czy osoba trzecia.

Eutanazja jest legalna tylko w kilku krajach, pod ściśle określonymi warunkami. Samobójstwo wspomagane (asystowane) jest dozwolone w 28 krajach na świecie. W Europie są to: Hiszpania, Portugalia, Francja, Holandia, Belgia, Luksemburg, Niemcy, Szwajcaria, Austria i Włochy.



O prawo do godnej śmierci od lat walczą Partia Radykalna i Stowarzyszenie im. Luki Coscioniego. Nz. polityk i aktywista Marco Cappato.

DJ Fabo poddał się wspomaganemu samobójstwu po badaniach lekarskich i psychologicznych potwierdzających jego świadomą decyzję. „Dotarłem do Szwajcarii nie z pomocą państwa, lecz dzięki Marcowi Cappatowi, który uwolnił mnie od piekła bólu. Będę mu dziękował aż do śmierci”, napisał w pożegnaniu.

Po powrocie do Włoch Cappato zgłosił się na policję, oskarżając siebie o pomoc w samobójstwie. Chciał sprowokować proces, by zmusić wymiar sprawiedliwości do zajęcia stanowiska wobec luki ustawodawczej. Sprawa trafiła do sądu w Mediolanie, a następnie do Trybunału Konstytucyjnego. Ten zaapelował do parlamentu o uregulowanie luki legislacyjnej, po raz pierwszy oficjalnie otwierając we Włoszech debatę nad prawem do godnej śmierci.

Proces Cappata stał się symbolem walki o samostanowienie w obliczu nieuleczalnej, postępującej choroby i cierpienia oraz o prawa człowieka u kresu życia. Prokuratura wniosowała o jego uniewinnienie, uznając, że działał z pobudek humanitarnych. Ostatecznie Trybunał Konstytucyjny w 2019 r. orzekł, że w niektórych przypadkach – przy spełnieniu ściśle określonych kryteriów – wspomaganie samobójstwo

nie jest sprzeczne z konstytucją. Cappato został uniewinniony.

Cappato i Mina Welby (działaczka Stowarzyszenia im. Luki Coscioniego) byli także oskarżeni o pomoc w samobójstwie Davida Trentiniego, od 1993 r. chorego na stwardnienie rozsiane. Po latach cierpienia Trentini skontaktował się z działaczami, by uzyskać informacje o procedurach dostępnych w Szwajcarii. Cappato zebrał fundusze na wyjazd za pośrednictwem stowarzyszenia

We Włoszech wspomaganie samobójstwo jest legalne od 2019 r.

Soccorso Civile SOS Eutanasia. Welby z kolei pomogła mu w formalnościach i towarzyszyła w podróży do kliniki, gdzie 13 kwietnia 2017 r. Trentini zmarł.

Oboje aktywiści zostali oskarżeni na podstawie art. 580 włoskiego Kodeksu karnego (pomoc w samobójstwie), a prokuratura żądała kary trzech lat i czterech miesięcy więzienia. Jednak w lipcu 2020 r., po wcześniejszym orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, sąd ich uniewinnił. W kwietniu 2021 r. Sąd Apelacyjny w Genui podtrzymał wyrok, uznając, że w tym przypadku pomaganie w samobójstwie nie jest przestępstwem ani podżeganiem.

Dzięki tym przełomowym sprawom włoskie sądy po raz pierwszy uznały prawo pacjenta do wspomaganego samobójstwa na terenie Włoch.

W ostatnich latach Marco Cappato towarzyszył sześciu osobom, które we Włoszech nie spełniały kryteriów do dokonania wspomaganego samobójstwa i musiały zrobić to w Szwajcarii na własny koszt. Wśród nich była znana tłumaczka literatury Margherita Botto, która w wieku 74 lat postanowiła z własnej woli zakończyć życie, ze względu na cierpienie, które mimo opieki paliatywnej powodował agresywny nowotwór.

Toskania była pierwsza

14 grudnia 2017 r. włoski parlament uchwalił ustawę nr 219, regulującą świadomą zgodę na leczenie i tzw. testament biologiczny. Od 31 stycznia 2018 r. pacjenci mogą odmówić uporczywej terapii, nawet jeśli prowadzi to do śmierci.

Historia DJ Fabo, proces Marca Cappata i przełomowe orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które częściowo uchyliło zakaz pomocy w samobójstwie, otworzyły drogę do samobójstwa wspomaganego. Od 28 listopada 2019 r. (orzeczenie 242/2019 TK) mogą z niego skorzystać osoby, które spełniają wszystkie cztery kryteria: 1) są utrzymywane

przy życiu dzięki zabiegom podtrzymującym, 2) cierpią na nieodwracalną chorobę z nieznośnym bólem, 3) świadomie decydują o śmierci, 4) przejdą pozytywną weryfikację służby zdrowia i komisji etycznej.

Pierwszym Włochem, który skorzystał z tej możliwości, był Federico Carboni, znany jako Mario. W 2022 r., po ponad dwóch latach walki prawnej – wspierany przez Stowarzyszenie im. Luki Coscioniego – uzyskał potwierdzenie, że spełnia wszystkie kryteria. Mimo opóźnień i odmów ze strony lokalnej służby zdrowia ostatecznie otrzymał zgodę na samodzielne przyjęcie środka farmakologicznego. Zmarł 16 czerwca 2022 r. ▶

► w swoim domu, otoczony bliskimi, mówiąc: „Życie jest wspaniałe, ale cierpienie zbyt wielkie”.

Choć we Włoszech od 2019 r. wspomagane samobójstwo jest legalne, procedury weryfikacyjne pozostają powolne i nieprzewidywalne, co szczególnie uderza w ciężko chorych pacjentów. Mimo wielokrotnych apelów Trybunału Konstytucyjnego włoski parlament przez wszystkie te lata nie przyjął kompleksowej ustawy, która w pełni gwarantowałaby prawo do samostanowienia i godnej śmierci.

Aby przyspieszyć działania ustawodawcze, Stowarzyszenie im. Luki Coscioniego przygotowało projekt ustawy regionalnej zapewniającej jasną i terminową procedurę. 11 lutego 2025 r. Toskania – po zebraniu podpisów ponad 10 tys. obywateli – przyjęła ustawę Liberi Subito,

9 maja 2025 r. prawicowy rząd Giorgii Meloni zaskarżył tokańską ustawę do Trybunału Konstytucyjnego. Toskania zdecydowała się jej bronić, argumentując, że wobec bezczynności parlamentu regiony mają konstytucyjne prawo do działania w zakresie organizacji opieki zdrowotnej. Podpisy pod podobną ustawą Liberi Tutti zaczęto zbierać w Umbrii i innych regionach. 1 lipca br., dzień przed pierwszą oficjalną wizytą premier Meloni u papieża Leona XIV, centroprawica przyspieszyła prace nad ogólnokrajową ustawą o wspomaganym samobójstwie i przekazała projekt do Senatu.

„Nie ma znaczenia, czy to zbieg okoliczności, czy nie, ale premier Giorgia Meloni spotkała się z papieżem Leonem XIV niecałą dobę po opublikowaniu projektu ustawy

obecnych regionalnych, wydłużenie procedury weryfikacji oraz wprowadzenie nowych, znacznie bardziej restrykcyjnych kryteriów – m.in. obowiązkowej opieki paliatywnej i leczenia zastępującego funkcje życiowe, które wykraczają poza dotychczasowe orzeczenia sądów.

Obecny projekt, właśnie skierowany do Senatu, to próba połączenia pięciu różnych propozycji – zarówno większości, jak i opozycji. Największe kontrowersje budzi centralizacja procedury poprzez powołanie Krajowej Komisji Etyki, której członków mianowałby premier. Choć skrócono minimalny okres ponownego złożenia wniosku z czterech lat do sześciu miesięcy, obawy dotyczące politycznej zależności komisji pozostają.

Projekt przewiduje też zakaz korzystania z zasobów publicznej służby zdrowia – personelu, sprzętu i środków farmakologicznych – do przeprowadzania wspomaganego samobójstwa. Pacjent musiałby ponosić koszty procedury samodzielnie. Rząd uzasadnia to tym, że środki publiczne nie powinny finansować „prawa do śmierci”. Opozycja oraz część parlamentarzystów Forza Italia wskazują jednak, że takie rozwiązanie stoi w sprzeczności z orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego, które już wcześniej dopuściły medyczną pomoc w dobrowolnym zakończeniu życia po spełnieniu określonych kryteriów.

Centrolewica zapowiada poprawkę dopuszczającą możliwość przeprowadzania tych procedur w publicznych placówkach w wyjątkowych przypadkach. Nie wiadomo jednak, czy rząd ją zaakceptuje. Wątpliwości wobec projektu pojawiają się nawet wewnątrz koalicji, a głosowanie – z uwagi na jego charakter – odbędzie się w trybie tajnym.

Los ustawy pozostaje niepewny. Presja opinii publicznej, śmierć Laury Santi i jej ostatnie przesłanie mogą jednak skłonić część parlamentarzystów do wprowadzenia poprawek. Najprawdopodobniej już wkrótce, po latach luki legislacyjnej, Włochy doczekają się ustawy regulującej „koniec życia”, ale może się okazać, że będzie ona gorsza niż jej brak.

Agnieszka Zakrzewicz

Toskania jako pierwszy region Włoch gwarantuje jasną i szybką procedurę zakończenia życia.

regulującą dostęp do wspomaganego samobójstwa. Nowe przepisy zobowiązują służbę zdrowia do udzielenia odpowiedzi i weryfikacji w ciągu 30 dni, a w przypadku decyzji pozytywnej – do zapewnienia bezpłatnej pomocy technicznej, farmakologicznej i medycznej w ciągu kolejnych siedmiu dni. Toskania stała się pierwszym regionem Włoch gwarantującym jasną i szybką procedurę zakończenia życia.

Centrolewicowy prezydent regionu Eugenio Giani stwierdził, że Toskania zrobiła „skok jakościowy i cywilizacyjny”, podkreślając, że wspomagane samobójstwo nie jest eutanazją. Według niego ustawa Liberi Subito w okresie luki prawnej chroni obywateli, zapewniając im prawo do godnej śmierci.

Przeciwko ustawie ostro wystąpił katolicki dziennik „Avvenire”, określając ją jako efekt „libertyńskiej ideologii, która inspirowała samobójstwa”, i nazywając rozwiązanie „śmiercią na życzenie”. Przytoczono stanowisko Papieskiej Akademii Życia z 2024 r.: „Pomiędzy uporczywą terapią a eutanazją istnieje trzecia droga – opieka paliatywna”.

opracowanej przez rząd po dwóch miesiącach nieformalnych negocjacji z Konferencją Episkopatu Włoch – jedynym partnerem rozmów – stwierdzili Filomena Gallo i Marco Cappato, sekretarz krajowy i skarbnik Stowarzyszenia im. Luki Coscioniego. – Projekt zasadniczo eliminuje prawo do medycznej pomocy w dobrowolnym zgonie, które istnieje we Włoszech od siedmiu lat”.

Na własny koszt

Laura Santi, która otworzyła drogę do korzystania z prawa gwarantowanego orzeczeniem TK nr 242/2019 innym pacjentom z Umbrii – pozostawiła nagranie skierowane do włoskich parlamentarzystów. Opowiada w nim o swojej chorobie, wieloletniej walce o zgodę na samodzielne podanie śmiertelnie działającego środka i apeluje o odrzucenie rządowego projektu ustawy dotyczącej tzw. końca życia.

Według Santi propozycja reformy jest nie do zaakceptowania, nawet po poprawkach. Kobieta krytykuje brak udziału środowiska naukowego w pracach nad ustawą, powołanie centralnej komisji etycznej w miejsce

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Ten niepozorny tydzień na początku sierpnia będzie na pewno znaczący dla dwóch osób: Andrzeja Dudy i Karola Nawrockiego. Jeden kończy swój pobyt (sam wolałby go nazwać służbą w majestacie urzędu prezydenta) w Pałacu Prezydenckim, drugi tamże się wprowadza i rozgascza.

Trudno znaleźć głębszą motywację do oceny dziesięciu lat dudowania. Prezydent pozostanie w pamięci jako wiernopoddańczy długopis, człowiek bez właściwości, z giętym kręgosłupem, w uniżonym pokłonie wobec Jarosława Kaczyńskiego, niesamodzielny, bierny politycznie, przypadkowo wybrany do startu w wyborach w 2015 r., kiedy sam Kaczyński szacował jego szanse na 10%. Kaczyński, marzący w słynnym wywiadzie Terezy Torańskiej, o byciu emerytowanym zbawcą narodu, już w tamtym czasie osiągnął status „niewybieralnego”. Kandydatura Dudy miała przegraną PiS jak najmniej boleć, bez zbędnych roztrząsań i tłumaczeń.

całkiem inaczej – zobaczymy jak w krzywym zwierciadle opowieść o niezłomności i niezależności Męża Stanu i ważnego aktora sceny politycznej.

Skoro już padło słowo mąż, warto może dwa słowa poświęcić „Pierwszej Damie”, czyli żonie prezydenta, powszechnie krytykowanej za konsekwentne milczenie i de facto nieobecność, odczytywaną jako niesamodzielność. Pomyślałem jednak, że może postawa Agaty Kornhauser-Dudy zasługuje na inne spojrzenie i ocenę – pozytywną. W jej osobistej, a z całą pewnością zawodowej historii, nie ma elementu zafascynowania polityką i realnego w nią zaangażowania. Skazana na rolę żony trzecio- czy czwartoligowego polityka nagle, z dnia na dzień, znalazła się na głównej scenie teatru politycznego. Postanowiła zatem nie wychodzić ze swojej roli, nie udawać kogoś, kim nigdy nie była ani nie chciała być – stąd to milczenie. Można by powiedzieć, że z obywatelskości samej wynikałaby raczej jeśli nie konieczność, to możliwość zabierania głosu.

Duda, Duda i po Dudzie

Niespodziewana jego wygrana z Bronisławem Komorowskim, którego mottem powinno być: „Druga kadencja prezydentury mi się po prostu należy”, wytworzyła nowy, zdegradowany, pełny służalczej zależności od naczelnika Kaczyńskiego model prezydenckiego urzędowania. Jedynym nowum był fenomen memiczny prezydenta, co jednak trudno uznać za osiągnięcie. Mimo wszystko powiedzenie, że to najlepszy komik pośród prezydentów i jedyny prezydent wśród komików, nie wytrzymuje krytyki. Andrzej Duda był bowiem śmieszny w żalostnej nieświadomości tego, jak się prezentuje. Im bardziej był napuszony i przekonany o własnych predyspozycjach i kompetencjach, których zarówno nie miał, jak i nie nabył, tym bardziej było to komiczne – nie umniejszajmy więc pracy komików, bo Duda był śmieszny własnym zagubieniem i niepewnością roli, w której się znalazł.

Właściwie od jakiegoś momentu jego śmieszność była wręcz zautomatyzowana, już nawet nie były potrzebne „mussoliniopodobne” gestykulacje i groźne (w jego przekonaniu) miny. Nie ma wątpliwości, że politycy zawsze tworzą jakiegoś typu spektakle, odgrywają takie czy inne role. Duda jednak tak się przejął swoją, że zatracił całkiem poczucie dystansu do samego siebie – dla samego siebie stał Najprawdziwszym Majestatem. Cóż, w takim pogubieniu marnego potencjału i realnego urzędu efekt nie mógł być inny. A jak widać po tej męczącej dziesięcioletniej marnej komedii, nie było w jego otoczeniu osób, które mogłyby jego ekspresję polityczną pokierować w inny wymiar. Jestem pewien, że w swojej autobiografii, która wychodzi na dniach, Duda widzi siebie jednak

Ale (to hipoteza) być może jej odbiór politycznych wyborów, deklaracji i modelu sprawowania urzędu przez męża Andrzeja miałby być w kontrze do niego – więc wybrała zakontraktowane milczenie. Z jednej więc strony byłaby to wysoka samoświadomość, dystans do znalezienia się w niespodziewanej, zaskakującej roli, z drugiej – wybór lojalności małżeńskiej – jakkolwiek źle by to brzmiało.

W efekcie zarówno milcząca Agata, jak i nadgadatiwy Andrzej nie zbudowali samodzielnej pozycji politycznej. I jak w przypadku pani Agaty jest to spójne, to w przypadku odgrążającego się na spotkaniu z polskimi dyplomatami prezydenta („Ja tu jeszcze wróć!”) sytuacja jest odmienna. Co widać w rozstrzale pożegnalnych decyzji od Sasa do Lasa, takich jak choćby ułaskawienie i odznaczenie Bąkiewicza, odznaczenie Magdaleny Ogórek i braci Karnowskich, a obok przyznanie wysokiego odznaczenia byłemu wieloletniemu prezydentowi Krakowa, prof. Jackowi Majchrowskiemu. Na tę ostatnią decyzję zawył, z wrodzoną sobie hucpą wymieszaną z chamstwem, niejaki poseł Matecki: „Panie Prezydencie Duda, antypolskie lewactwo należy z całą mocą zwalczać, do zera pozbawić wpływów, do zera rozliczyć z niszczenia Polski, a nie ich awansować, dziękować im czy ich odznaczać! Po co Pan to robi?”.

Po Dudzie zostaniemy z przekonaniem: „Ciszej nad tym Dudą”, a śmiech z memów powoli, ale systematycznie będzie cichł i cichł. Zagłuszany marszowym tupotem nadchodzącego w aurze prawicowej skrajności i radykalizmu Nawrockiego. Mimo to nie zatęsknię za Andrzejem Dudą – nigdy i za nic. ■

Święty Graal wraków nadal na dnie

Potwierdzono lokalizację wraku legendarnego hiszpańskiego galeonu San José. I zaczęła się wielka awantura dyplomatyczna

Mateusz Mazzini

Już na pierwszy rzut oka widać, że to doskonała historia na filmową opowieść, oferująca co najmniej kilka perspektyw. Można ją opowiedzieć w stylu „Titanica” Jamesa Camerona, gdzie współcześni badacze, wykorzystując nowoczesną technologię, rekonstruuja wydarzenia z odległej przeszłości, dodając potrzebną filmowi dramaturgię. Wówczas akcja nie działałaby się na początku XX w., jak w wypadku też z Leo DiCaprio i Kate Winslet, ale dwa stulecia wcześniej. Prawdopodobnie po części na Karaibach, gdzie 8 czerwca 1708 r. stoczono bitwę morską. Po części w ciemnych korytarzach Escorialu, hiszpańskiego pałacu królewskiego, gdzie nerwowo przeliczano stan kont monarchii, próbując oszacować, jak długo Burbonowie będą w stanie prowadzić działania wojenne przeciwko sojuszowi Wielkiej Brytanii, Austrii i Prus.

Fabula non-fiction

Można też zamienić tę opowieść w thriller polityczny, w którym partyjne interesy, luźno definiowane dobro narodowe i zwykły koniunkturalizm scierają się ze zwykłą chciwością. Wówczas protagonistami byłoby Juan Manuel Santos, były kolumbijski prezydent, noblista z nagrodą za doprowadzenie do zakończenia wojny domowej w swoim kraju, oraz Gustavo Petro, obecna głowa państwa, pierwszy w historii Kolumbii prezydent lewicowy, który obiecuje,

że wrak statku San José wydobędzie jeszcze przed końcem swojej kadencji.

Są tu jeszcze wątki poboczne, nieco trudniejsze do zekranizowania. Na przykład skomplikowana batalia prawna w celu ustalenia własności nie tylko samego wraku, ale przede wszystkim jego zawartości.

Bo do kogo należy skarb spoczywający od ponad 300 lat na dnie oceanu? Do Kolumbii, która dziś kontroluje te wody, ale w chwili zatonięcia jednostki nie istniała jako państwo, a więc jako podmiot prawa międzynarodowego? Do Hiszpanii, która wprawdzie nadal jest monarchią (rządzoną w dodatku przez tę samą

etycznej: czy takie rzeczy powinno się w ogóle wyceniać? Czy to zabytek klasy zerowej, a może jednak coś, co da się upłynnić? Zwłaszcza że wstępne szacunki podawane przez specjalistyczne portale, zarówno te poświęcone historii i rynkowi sztuki, jak i serwisy dla pletwonurków i amatorów eksploracji dna morskiego wskazują, że to, co znajduje się wciąż wewnątrz drewnianego szkieletu San José, może być warte od 16 do 20 mld dol. Dla Kolumbii, kraju zdewastowanego kilkoma dekadami wojny domowej, wciąż pozostającego bardziej na dorobku niż stabilnego gospodarczo, byłby to nie lada zastrzyk finansowy.

Do kogo należy skarb spoczywający od ponad 300 lat na dnie oceanu? Do Kolumbii, Hiszpanii czy USA?

dynastię), która wówczas czerpała bogactwa ze swoich kolonii, choć te koloniami dawno być przestały? Do Wielkiej Brytanii – bo to Brytyjczycy we wspomnianej bitwie statek zatopili? Do ostatecznych odkrywców – grupy Woods Hole Oceanographic Institution (WHOI), organizacji non-profit zajmującej się badaniem dna oceanów? A może do całej ludzkości? I powinien zostać przekazany np. pod zarząd Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Jest jeszcze inny problem, czyśto naukowy: jak wycenić wartość skrzyni ze skarbami? Dodać „walory zabytkowe”, czy liczyć po współczesnych cenach kruszców na światowych rynkach? Nie mówiąc o kwestii

Ale po kolei – należy zacząć od faktów. Rzeczywiście 8 czerwca 1708 r. galeon należący do Hiszpańskiej Korony, płynący z peruwiańskiego portu Callao przez Panamę do Hiszpanii, został zatopiony przez Brytyjczyków. Na pokładzie znajdowało się ok. 600 członków załogi, którym ostateczny cios zadał statek HMS Expedition. San José poszedł na dno w okolicach Kartageny, jednego z największych miast dzisiejszej Kolumbii. Ponieważ śmierć ponieśli prawie wszyscy hiszpańscy marynarze, a Brytyjczycy niedokładnie zaznaczyli współrzędne starcia, miejsce wiecznego spoczynku tej jednostki pozostawało nieznane przez prawie trzy stulecia. A był to galeon



Brytyjski atak na galeon San José koło wyspy Barú, obraz XVIII-wiecznego malarza Samuela Scotta.

Wrak San José znaleziony u wybrzeży Kartageny, październik 2023 r.

o niebagatelnym znaczeniu, zwłaszcza w ówczesnym kontekście politycznym.

W metropolii szalał wówczas konflikt, trwała hiszpańska wojna o sukcesję, która ostatecznie zakończyła się w 1714 r. Tron zostawił Karol II, po którego śmierci o panowanie nad Półwyspem Iberyjskim i wciąż licznymi koloniami w Nowym Świecie spierali się z jednej strony Burbonowie, a więc alians hiszpańsko-francuski, a z drugiej – Wielka Brytania wraz z Prusami i Austrią, czyli potęgi chcące utrzymać dotychczasowy układ sił na kontynencie. Filip V Burbon, wnuk Ludwika XIV, nie miał zbyt wielu środków do prowadzenia działań wojennych, nie mógł też nakładać nowych podatków. Siłą rzeczy jedynym źródłem dochodów były kolonie, co zresztą wpisuje się doskonale w ogólną filozofię hiszpańskiego kolonializmu.

Niezręcznie jest wypominać to Hiszpanom przy okazji współczesnej awantury o wrak, ale prawda jest



taka, że Madryt w swoje terytoria zamorskie nigdy nie inwestował: ani finansowo, ani społecznie, ani politycznie, w przeciwieństwie np. do Wielkiej Brytanii. I nie chodzi o to, by brytyjskie imperium wybielać. Wręcz przeciwnie, narzucanie ich porządków instytucjonalnych nierzadko kończyło się jeszcze większą tragedią niż w przypadku Hiszpanii. Madryt był jednak wobec kolonii znacznie bardziej leniwy, uprawiał kolonializm ekstraktywny i często właśnie bogactwami z krajów dzisiejszej Ameryki Łacińskiej finansował swoje europejskie wojny.

Filip V nie miał jednak łatwo – wiedza o wykorzystywaniu zamorskich bogactw do finansowania armii

kontynentalnej była dość powszechna. Co się z tym wiązało – państwa wrogie mu koalicji blokowały szlaki oceaniczne. Wiele statków właśnie ze względu na wojnę i ryzyko zatonięcia nie wyruszało z peruwiańskich portów, a król był w coraz większych tarapatach finansowych. Stąd tak wielka kumulacja bogactwa na pokładzie jednego galeonu. Znajdowały się tam kosztowności gromadzone w wielu miejscach przez lata, m.in. w portach: Cartagenie, Panamie, Portobello czy Callao. To pokazuje, jak duże było zapotrzebowanie na złoto, srebro i inne drogie kamienie, ale też jak wielkie było ryzyko, że jednostka nie przeżyje się pod czujnym okiem obserwatorów, zwłaszcza załóg brytyjskich statków.

Dokładnie ten los stał się udziałem San José – całe jego bogactwo poszło na dno. I to mimo faktu, że ekspedycja w kierunku Europy miała być pokazem siły. Obok galeonu płynęło 13 innych statków, spośród których część pełniła funkcję eskorty.

San José też dysponował sporą siłą ognia, także w celach maskujących – chodziło o to, by Brytyjczycy nie wiedzieli, która jednostka ma na pokładzie najwięcej skarbów.

Oprócz sfinansowania swojej wojny w Europie Filip V chciał w ten sposób pokazać światu, że Hiszpania nadal sprawuje kontrolę nad Karaibami. Miała to być nie tylko manifestacja potęgi, ale też cios w międzynarodowy prestiż Brytyjczyków, próbujących zawładnąć tym obszarem na dobre.

Jak to podzielić?

Jak często w takich przypadkach bywa, historia San José obrosła mitami i legendami, ale nie na tyle absurdalnymi, żeby przestano wierzyć w istnienie skarbu, który opisywano przecież w królewskich dokumentach. Szukano go przez lata, aż wreszcie w 1981 r. przedstawiciele ▶

► amerykańskiej spółki Glocca Morra (obecnie Sea Search Armada, SSA) ogłosili, że wrak znaleźli. Nie podali do publicznej wiadomości informacji o jego lokalizacji, co było krokiem jak najbardziej zrozumiałym. Jak już dzisiaj wiadomo, znajduje się on na głębokości kilkuset metrów. Dla przynajmniej kilkunastu podmiotów komercyjnych zajmujących się wydobywaniem przedmiotów z dna morza nie jest to wcale bariera nie do pokonania. Krótko mówiąc, wrak schowany jest głęboko, ale nie na tyle głęboko, żeby wykluczyć próbę kradzieży.

Glocca Morra szukała wraku w porozumieniu i przy udziale kolumbijskiego rządu, który podobno wycofał się z projektu. Jak w całej tej sprawie i tutaj sporo jest mitów i niedopowiedzeń, bo przedstawiciele spółki zaczęli oskarżać ówczesne władze kolumbijskie o chęć zagarnięcia zawartości wraku. Rząd w Bogocie oczywiście zaprzeczał, zresztą wtedy nie było jednoznacznych dowodów na ustalenie ostatecznej lokalizacji statku.

Odnaleziony! I co dalej?

Domysły na ten temat skończyły się raz na zawsze w 2015 r., kiedy

prezydent Kolumbii Jose Manuel Santos oficjalnie poinformował o zlokalizowaniu wraku San José. Przytaczał szczegóły ekspedycji zrealizowanej wspólnie z WHOI, chociaż najważniejsze dane trzymał w sekrecie. Święty Graal wraków został wreszcie odnaleziony, przynajmniej w postaci krzyżyka na mapie dna morskiego. Co z nim zrobić? Nadal kompletnie nie wiadomo.

Na razie porozumienie w tej sprawie zostało osiągnięte – nawet władze Kolumbii nie zamierzają go ruszać z dna. Wrak będzie dokładnie badany przez historyków i archeologów i biologów. Gustavo Petro co

Boliwii. Ich zdaniem skarb powinien zostać oddany właśnie w ręce członków mniejszości etnicznych – choć słowo „mniejszość” jest tu terminem nieadekwatnym, jeśli 65% populacji tego kraju posługuje się jako pierwszym językiem innym niż hiszpański. Mowa tu o sprawiedliwości wstecznej, bo Qhara Qhara i inne ludy przypominają, że to właśnie ich przodkowie byli zmuszani do niewolniczej pracy przy wydobywaniu srebra, zwłaszcza wokół rozstawionej przez legendy i reportaże kopalni Potosí. Uważają, że to im należy się rekompensata za cierpienie poprzednich pokoleń

Na pokładzie San José skumulowane zostało nie tylko ogromne bogactwo, ale i trzy stulecia trudnej historii świata.

prawda nadal utrzymuje, że zawartość skarbca, przynajmniej częściowo, ujrzy światło dzienne jeszcze za jego prezydentury. Sprytnie nie precyzuje, czy odbędzie się to w formie ekspozycji muzealnej, czy czegoś innego. Prawda jest jednak znacznie bardziej prozaiczna. Nikt ani z wrakiem, a zwłaszcza ze zgromadzonym tam złotem i srebrem, nie może zrobić nic bez narażania się na gigantyczne koszty prawne i polityczne.

Do skarbu już ustatkowała się kolejka chętnych. Warto się przyjrzeć wysuwany przez nich argumentom. Monopol mają oczywiście Kolumbijczycy, przynajmniej z własnego punktu widzenia. W 2020 r. tamtejszy parlament przyjął nawet ustawę dającą rządowi w Bogocie kontrolę nad wrakiem San José – co jednak jest mało ważne z punktu widzenia prawa międzynarodowego, bo we wszystko wtrącili się Hiszpanie, podważając ciągłość instytucjonalną Kolumbii. Skoro wtedy statek, jego zawartość, nie mówiąc o terytoriach dzisiejszej Kolumbii należały do korony hiszpańskiej, trudno mówić jednoznacznie o przekazaniu własności rządowi Gustava Petra.

Trudniej jest z historiami takimi jak pretensje do skarbu wysuwane przez przedstawicieli ludu Qhara Qhara, jednej z rdzennych grup etnicznych zamieszkujących tereny dzisiejszej

– niekoniecznie w formie przekazania im skarbu, ale odszkodowań. To jednak mało prawdopodobne, bo oznaczałoby gigantyczny prawniczy precedens i otworzyłoby drogę do pozwów odszkodowawczych za zbrodnie kolonialne właściwie na całym świecie. Skoro bowiem dzisiejsi Boliwijczycy mogą domagać się zadośćuczynienia, to samo mogliby powiedzieć mieszkańcy niemal całego globalnego Południa.

Ale kto miałby wypłacać te odszkodowania? Hiszpania – jako dawna potęga kolonialna? Kolumbia – jako jej prawny spadkobierca? Łatwo zauważyć, że jedna uznaniowa decyzja natychmiast pociągnęłaby lawinę kolejnych. Jeśli Kolumbia ma płacić odszkodowania, to znaczy, że jest „dzisiejszą Hiszpanią” w Ameryce Łacińskiej – czyli wrak i skarb należą do niej. Jeśli z kolei chce je na własność Madryt, być może będzie musiał otworzyć się na konieczność negocjacji z Boliwijczykami.

Ta układanka jest znacznie trudniejsza, niż mogłaby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie powinno to jednak dziwić, biorąc pod uwagę fakt, że na pokładzie San José skumulowane zostało nie tylko ogromne bogactwo, ale też trzy stulecia bardzo trudnej historii świata.

Mateusz Mazzini



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Duże oczekiwania, małe zmiany

Robert Bąkiewicz, cham, ksenofob i idiota o fizjonomii zwyrodnialca, stał się obliczem Telewizji Republika i najbardziej widocznym politykiem PiS. W jakimś sensie bardzo dobrze. Doprawdy już tylko człowiek niemoralny lub dureń może mieć wątpliwości, czym jest PiS, skoro Bąkiewicza bierze na sztandary.

Nowego ministra sprawiedliwości, sędziego Waldemara Żurka, poznałem w Wejherowie, widzieliśmy się tam nie raz, zaprzyjaźniliśmy się. Ale on jest wrażliwy i delikatny, a na PiS potrzebna jest siekiera. Bodnar nie biegął z siekierą i wszyscy mają teraz o to do niego żal.

Tusk ma już niewiele czasu, by udowodnić, że jest wybitnym politykiem. Porażka Rafała Trzaskowskiego nie jest jego winą, ale spadek notowań PO może być. Dotykany jest odpływ energii i wiary w naszym obozie. Charyzmatyczny przywódca może tu wiele zwojować. Sam trochę zwątpiłem w Tuska i mam żal do niego, że mi na to pozwolił.

Zwiedzanie nowej Warszawy, tej, której nie znam. Wyprawa do Miasteczka Wilanów. Chciałem pojechać niedawno oddaną do użytku trasą tramwajową. Wiedzie ona Belwederską – to moje okolice rodzinne, a potem Sobieskiego – przy tej ulicy mieszkalem w latach 70. Zatem to podróż sentymentalna, torami, których tam kiedyś nie było.

Najpierw zjazd z placu Unii ku Gagarina i Belwederskiej, na rogu budynek w stylu brutalistycznym, niedawno wpisany do rejestru zabytków. Jak nazwa wskazuje, to styl brutalny, nie szukał harmonii i piękna, na szczęście modny był krótko. W budynku tym istniała duża księgarnia (w PRL księgarnie były ważne, książki zdobywano jak cenne trofea). Tam przypadkiem spotkałem Zbigniewa Herberta, był chyba drugi dzień stanu wojennego. Ja wyrzucony z orbity domu (potem okaże się, że na rok), on mieszkał niedaleko, obaj szukaliśmy ratunku wśród książek. Mówił mi półszepem, że prawdopodobnie schroni się w klasztorze. Dzisiaj wydaje się to śmieszne, ale wtedy miasto oddychało grozą.

Tramwaj jedzie dalej. Mijamy bliską mi ulicę Chełmską. Stoi tam kościół, do którego dzieckiem chodziłem, a dalej między Chełmską a Gagarina ulica lwicka, gdzie był dom pisarzy, mieszkalem w nim z rodzicami.

2 km dalej Sadyba, budynek, w którym mieszkalem kilkanaście lat (widzę balkon), nadal mieszka tam moja

dawna żona, już chora i słaba. Jaki smutek z tego powodu. Wysoko i gęsto wyrosły drzewa, które pamiętam jako malutkie. Sklep z przyległościami na rogu zburzony – ileż ja się nachodziłem do tego sklepu, jaki był ubogi. W tym budynku warsztat miał znajomy szewc poeta. Znosiłem mu, pamiętam, nielegalne druki. W czasie słynnych wyborów w 1989 r. był tam lokal wyborczy. Pusty plac po sklepie czeka pewnie na jakiś apartamentowiec.

Następnie po prawej dzielnica Stegny, niezwykle szpetna, mam tam znajomych i liczne wspomnienia. Dalej Instytut Psychiatrii i Neurologii z Oddziałem nr 4. W nim mordowała się z depresją lub z manią moja mama. Ileż razy przez lata tam przyjeżdżałem, jaka udręka – jej i moja.

W końcu Miasteczko Wilanów, które liczy już ponad 20 lat, ale nigdy tam nie byłem. Wsiadam przy Świątyni Opatrzności Bożej, nazywanej czasami wyciskarką do cytryn ze względu na kształt. To jeden z najszybszych kościołów na świecie. Jedno trzeba przyznać – świątynia jest ogromna, w środku ten ogrom robi duże wrażenie, ale podobne robiłoby wnętrze gigantycznego pustego silosu na zboże. Jakies ułamki nowej sztuki sakralnej jako świadectwo jej upadku.

Kawa w mitej kawiarni i pyszny sernik. Budynki czasami niebrzydkie, tylko że wszystko stoi za gęsto. Całość dzielnicy projektował amerykańsko-francuski architekt Guy C. Perry, ale poszczególne kwartały to już pomysły różnych architektów, by zapobiec monotonii. Przy Stegnach ta dzielnica robi znakomite wrażenie, jestem jednak pewien, że można by ją zaprojektować lepiej.

Mój 18-latek od tygodnia jest studentem politologii. Młodszy zdał do liceum im. Zbigniewa Herberta. Spotykając się z Herbertem, nie zgadłbym, że w tak późnym wieku dorobi się syna, który będzie chodził do szkoły imienia poety. I że ten synek będzie miał sto pomysłów na godzinę. Teraz z pasją uprawia kulturystkę, wygląda jak Apollo, ale martwię się, że zmienia się w Herkulesa. Wszystko, co je, analizuje: kalorie, białko. Kupił sobie do pokoju lustro. Narcyzm, który na razie nas jeszcze tylko bawi.

Za to narcyzm karmiony władzą zjadł Szymona Hołownię. Talent krasomówczy stał się jego wrogiem. Czasami największym naszym wrogiem są nasze zalety. A największymi durniami są ludzie inteligentni.

Czasami największym naszym wrogiem są nasze zalety.

Czerwony gwiazdozbiór

Polska piłka klubowa wychodzi zza żelaznej kurtyny niemocy i partactwa

Wojciech Kuczok

Nasze kluby wygrały w minionym tygodniu wszystkie mecze i awansowały w komplecie do kolejnych rund eliminacji pucharowych. Dla kibiców znękanych wieloletnią smutą pucharową tak szalone wieczory jak ten, w miniony czwartek, kiedy jedynie zaawansowani adehadowcy mieli szansę na satysfakcję, śledząc jednocześnie trzy mecze polskich drużyn, zachodzące na siebie czasowo, to coś wyjątkowego. W każdym z nich nasi strzelali, trafiali i zwyciężali – można od tego postradać zmysły, choć nie można się przejeść. Czuję się trochę jak w lipcu 1986 r., kiedy wraz z rodziną po raz pierwszy przekroczyliśmy żelazną kurtynę przy okazji odwiedzin u znajomych ojca w Wiedniu. Pierwszy z brzegu supermarket i nagle feeria zapachów, kolorów, zarazem oszałamiająca i upokarzająca, bo sobie człowiek w kilka sekund uświadomił, jak żyją ludzie w normalnym świecie.

Otóż polska piłka klubowa wychodzi zza żelaznej kurtyny niemocy i partactwa, dlatego ekscytujemy się każdym meczem, w którym nasi nie tylko unikają wpadek, ale pokonują rywali z polotem i finezją. Jest pięknie, coraz piękniej, choć przynajmniej dla Lecha zaczynają się teraz schody. Wiadomo, że w drodze do Champions League trafi się co najmniej na jednego giganta – w XXI w. tylko raz polski klub z racji rozstawienia we wszystkich rundach nie musiał zagrać z drużyną wyżej notowaną i skrzętnie to wykorzystał. W 2016 r., choć Legia pod wodzą Besnika Hasiego zaczęła sezon fatalnie, grała brzydko i nieskutecznie, potrafiła awansować do Ligi Mistrzów dzięki szczęśliwej drabinie – trafiła na rywali z Bośni, Słowacji i Irlandii. Bywały za to „wtopy” we wczesnych fazach pomimo rozstawienia – w 2009 r. Wisła już w pierwszej rundzie odpadła z Levadią Tallin, Legia w drugiej fazie w 2018 r. ze Spartakiem Trnavą. Lech zafatwiał sprawę już w pierwszym spotkaniu, w rewanżu na Islandii mecz odbył się bez historii, gospodarze byli zdumiewająco nieporadni, zwłaszcza w ofensywie. Lechici robili masę kardynalnych błędów, z których rywale nie potrafili skorzystać, za to poznaniacy wykorzystali jeden z prezentów – gola zdobyli pressingiem, wystarczyło odrobinę nacisnąć i wikingowie się pogubili. Mikael Ishak, najlepszy w historii Lecha pucharowy snajper miał okazję poprawić swoje statystyki.

Ale z taką grą Lech nie ma żadnych szans przeciw kolejnemu rywalowi – w środę na stadionie w Poznaniu Kolejorz zmierzy się z Crveną zvezdą Belgrad. Przy okazji: nie rozumiem, dlaczego gros dziennikarzy uparcie się błądzi, błędnie odnawiając pierwszy człon nazwy, która

oznacza oczywiście czerwoną gwiazdę. Słyszymy więc o Crvenie, czasem nawet o... Krwenie, zamiast o Crvene – toż nie trzeba być poliglotą, żeby się tutaj odnaleźć, wystarczy odrobina słuchu.

Ekipa ze stolicy Serbii to najstławniejszy i najbardziej utytułowany klub z Bałkanów – zdobywca najcenniejszych trofeów klubowych na świecie (Puchar Mistrzów i Puchar Interkontynentalny w 1991 r.), a także finalista Pucharu UEFA w 1979 r. U schyłku lat 70. Zeszłego wieku jugosłowiański jeszcze wtedy klub nie miał łatwej ścieżki do finału, zwłaszcza że już w pierwszym meczu dostał solidnie lanie od eneradowskiego Dynama Berlin – 2:5. W rewanżu udało się odrobić straty, ale na dalszej drodze stawały kluby angielskie i hiszpańskie – dopiero w finałowym dwumeczu silniejsza okazała się Borussia Mönchengladbach z niesamowitym Duńczykiem Alanem Simonsenem. Prym wtedy wiedli w Crvenej Dušan Savić, Miloš Šestić i Vladimir Petrović, który po latach jako asystent trenera powiodł swój klub do zwycięstwa w Pucharze Mistrzów. Tuż przed rozpadem Jugosławii i wybuchem wojny domowej, wiosną 1991 r., drużyna złożona z reprezentantów wszystkich republik odniosła największy sukces w historii bałkańskiej piłki. Obok Serbów (z Sinišą Mihajlovićem na czele) grali Czarnogórcy (m.in. Dejan Savićević), Chorwaci (wśród nich genialny Robert Prosinečki), Macedończycy (m.in. supersnajper Darko Pančev), Bośniacy, a nawet uchodząca z rumuńskiego reżimu Miodrag Belodecici. Tę supergrupę największych gwiazd futbolu jugosłowiańskiego stworzono w Belgradzie dzie-

Warszawianie pod wodzą trenera lordănescu z tygodnia na tydzień rosną w siłę.

ki zakazowi transferów zagranicznych – w późniejszych latach każdy z asów Crvenej zvezdy stał się wiodącą postacią największych klubów zachodniej Europy.

Po rozpadzie Jugosławii Crvena zvezda seryjnie zdobywa mistrzostwo Serbii – ostatnio uczyniła to po raz ósmy z rzędu, strzelając 123 gole w sezonie! Bo też i liga serbska jest specyficzna – różnica między belgradzkimi potentatami (nienawidzące się wzajem Crvena zvezda i Partizan) a resztą stawki jest kuriozalna – trzeci na koniec sezonu Novi Pazar stracił do mistrza... 46 pkt, a o jego miernym potencjale przekonaliśmy się właśnie za sprawą Jagiellonii, która nie dała serbskim Bośniakom żadnych szans w dwumeczu. Środowy rywal Lecha to klub znacznie bogatszy od Polaków – dość powiedzieć, że stać było



Mecz kwalifikacyjny do Ligi Europy:
Banik Ostrawa-Legia Warszawa, 20 lipca 2025 r.

kosztem norweskiego Bodø/Glimt, który wcześniej okazał się o wiele za mocny dla Jagiellonii, a w fazie ligowej potrafił rozbić u siebie VfB Stuttgart aż 5:1.

Mamy z Crveną też fatalny bilans historyczny – cztery mecze i cztery porażki (jeśli nie liczyć półtowarzyskich rozgrywek Intertoto). W 1973 r. Stali Mielec nie pomógł nawet gol Grzegorza Laty, a w 2007 r. Groclin oba spotkania przegrał do zera. Zaliczył w klubie z Maracany epizod jeden Polak – człowiek, który zatrzymał Cristiana Ronalda na Stadionie Śląskim, czyli Grzegorz Bronowicki. W 2007 r. sprzedany przez Legię do Belgradu, niczego tam nie zwojował, częściej był widywany w pubie niż na murawie.

Trzymajmy kciuki za Lechitów, bo muszą wznieść się na absolutne wyżyny, aby wyjść z tej konfrontacji zwycięsko. Tymczasem nasze pozostałe trio pucharowe los bardziej oszczędził, choć zapowiadają się mecze wyrównane, zwłaszcza w przypadku białostockiej Jagiellonii. Przeciw Novemu Pazarovi ponownie pokazał się morderczo skuteczny Afimico Pululu i najważniejsze pytanie na dziś brzmi: jak długo Jaga będzie w stanie swoją gwiazdę zatrzymać. Jeśli wytrzyma do przyszłego czwartku, w potyczkach z duńskim Silkeborgiem, powinna sobie poradzić – rywale nie prezentują niczego poza tzw. skandynawską solidnością, która jednak przez wiele lat była dla naszych klubów zabójcza. Tyle że to my teraz tworzymy „polską rzetelność”, której także Duńczycy mają prawo się bać.

Raków Częstochowa awansował bezboleśnie w Żylinie, bo między słupkami miał bramkarza, a nie kabareciarza, jak to było w przypadku Słowaków – golkeeper gospodarzy w kluczowej interwencji zamiast wybić piłkę kopnął ją sobie w twarz, po czym morale Żylińczyków spadło do zera. Drużyna Marka Papszuna nie rozpieszcza estetów, ale zwłaszcza po przerwie włącza z nagłą piątą bieg i zamęcza rywali. Teraz będzie miała okazję zamęczyć Maccabi z Hajfy, którego obecność w europejskich rozgrywkach jest absolutnie skandaliczna, podobnie jak wszystkich pozostałych klubów reprezentujących kraj dokonujący właśnie ludobójstwa w Gazie.

Najwięcej emocji przysporzyła w miniony czwartek warszawska Legia, ale też miała najbardziej wymagającego konkurenta. Najlepszy obecnie śląski klub, Banik Ostrava, zaczął szczęśliwie od gola, ale warszawianie pod wodzą trenera Iordănescu z tygodnia na tydzień rosną w siłę, także mentalnie. A psychologicznie test na Łazienkowskiej był arcytrudny – Jean-Pierre Nsame musiał ustrzelić hattricka, aby sędzia uznał mu choć jednego gola, w dodatku na sam koniec w sytuacji spornej arbiter przyznał Czechom rzut karny. Rok temu Banik pożegnał się z Europą, fatalnie wykonując rzuty karne, przez co trener zarządził dodatkowe treningi udoskonalające sztukę wykonywania jedenastek. I pewnie będą doskonalić dalej, bo ich zawodnik nawet nie trafił w bramkę, dzięki czemu Legia zasłużyła awansować i teraz pojedzie sobie na Cypr sprawdzić Larnakę. O wynik jestem dziwnie spokojny. ■

Serbowów na ściągnięcie i zatrudnienie Marka Arnautovića z Interu Mediolan, w trakcie załatwiania jest transfer Dušana Tadića, który co prawda już nie straszy tak jak w czasach swoich występów w Ajaxie, ale w naszej ekstraklasie byłby z miejsca największą gwiazdą.

Obecnie najwyższej wycenianymi piłkarzami Crvenej są słoweński rozgrywający Timi Max Elšnik i defensywny pomocnik reprezentacji Bośni Rade Krunic. W Poznaniu nie zagra prawy filar obrony, Koreańczyk Seol Young-woo, co trzeba wykorzystać, bo na belgradzkiej Maracanie nie takie drużyny jak Lech traciły głowę i worek bramek.

Bogactwo Crvenej zvezdy ma swoje szpetnawe źródło: to ukochany klub prezydenta Vučića, a Serbowie nie kryją się z rosyjskimi sympatiami i koneksjami – ich sponsorem jest Gazprom. Kibole z belgradzkiej Maracany jawnie wspierają putinowców w wojnie ukraińskiej. Tym milej byłoby zgotować im w Poznaniu piekło. Można porzucić skrupuły, a najlepiej tych łajdaków (piszę o kibolach belgradzkich) nie wpuścić na stadion (łatwiej nie wpuścić, niż potem wyrzucić, a za machanie flagami z „zetką” i prorosyjskie hasła byłoby to nieuniknione). Miejmy zatem nadzieję, że Lechici będą zmotywowani nie tylko sportowo. O sile przeciwnika świadczy fakt, że w zeszłym sezonie awansował do Champions League

WIELOJĘZYCZNI

Uczą się języków od najmłodszych lat – codziennie

Rozmawia Zuzanna Muszyńska

Opowiedzcie o sobie.

Aleksander Sikorski: Jestem 21-letnim poliglotą samoukiem. Też lata ukończyłem licencjat na polonistycznej hebraistyce, przede mną studia magisterskie z tego zakresu oraz kolejne kierunki studiów (oczywiście filologie). Od ponad 10 lat zajmuję się nauką języków obcych, interesuję się szeroko pojętymi naukami humanistycznymi: historią, literaturą, filozofią czy religią. Na co dzień jestem też dumnym przewodniczącym prężnie działającego Koła Naukowego Hebraistów UAM.

Natalia Wieczorek: Samorozwój i samorealizacja w sferze filologiczno-pedagogicznej to moja pasja i powołanie. Jestem nie tylko filologiem i nauczycielem, ale także oligofrenopedagogiem, logopedą klinicznym, neurologopedą, psychologiem, doradcą zawodowym, pedagogiem szkolnym i specjalnym, certyfikowanym terapeutą behawioralnym w nurcie CBT i terapeutą TUS, terapeutą ręki i stopy, trenerem edukacji włączającej i trenerem grafomotoryki. Komfort i dobrostan moich uczniów nieustannie motywują mnie do poszerzenia kompetencji.

Kiedy przyszła do was świadomość, że języki to jest to?

NW: Odkąd sięgam pamięcią, nieopisaną radość sprawiało mi słuchanie audycji radiowych oraz oglądanie programów telewizyjnych w różnych językach. Uwielbiałam i nadal uwielbiam odkrywać podobieństwa i różnice między nimi, naśladować melodię zwrotów używanych przez bohaterów.

AS: Zaczęło się naturalnie w dzieciństwie, gdy jako dwulatek mówiłem



NATALIA WIECZOREK

– nauczycielka z Międzychodu, absolwentka czterech filologii (angielskiej, rosyjskiej, hiszpańskiej i włoskiej) na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, planuje dwie kolejne. Ma osiem certyfikatów szkół językowych.

ALEKSANDER SIKORSKI

– maturę w Gnieźnie zdał na poziomie rozszerzonym z czterech języków obcych, obecnie komunikuje się w 15. Student hebraistyki na Wydziale Etnolingwistyki UAM, lektor i trener nauki języków.



pierwsze słowa po angielsku. W szkole podstawowej doszedł niemiecki, a także inne języki europejskie, których spontanicznie uczyłem się na własną rękę. Po opanowaniu podstaw hiszpańskiego, francuskiego czy rosyjskiego postanowiłem poznać także języki mniejszych narodów. Co roku dokładałem sobie po kolejnym, kontynuując oczywiście naukę wcześniejszych (tak zostało do dziś). Myślę, że to właśnie te mniej popularne języki (jak węgierski czy litewski)

uświadomiły mi, jak bardzo fascynuje mnie nauka nowych słów, dźwięków, systemów gramatycznych, porównywanie ich, a także poznawanie poszczególnych kultur. Byłem wtedy gimnazjalistą, ale pasja pozostała do dziś, dzięki czemu jestem spełnionym hebraistą, który w liceum zainteresował się kulturą żydowską, judaizmem i Izraelem, a obecnie realizuje się w tym zakresie naukowo.

Podsumowując: mówicie, czytacie, piszecie w językach...

NW: ...angielskim, rosyjskim, hiszpańskim, włoskim, niemieckim, portugalskim, czeskim, japońskim oraz ukraińskim.

AS: Aktualnie znam w stopniu co najmniej komunikatywnym 15 języków obcych, w tym kilka biegle (niemiecki, hiszpański, francuski, rosyjski oraz hebrajski). Znaczną większość stanowią języki europejskie (m.in. włoski, węgierski, litewski, duński, ukraiński, rumuński czy grecki), ale od tego roku uczę się również arabskiego.

Oboje nauczacie języków. Jakie cechy powinien mieć dobry nauczyciel języka obcego?

NW: To czarodziej, który stara się ulepszyć świat uczniów. Naucza, ale również uczy się od nich, ponieważ należy pamiętać, że nauczanie to proces binarny, dwutorowy, oparty na wzajemnym zrozumieniu, empatii, szacunku oraz aktywnym uczestnictwie każdej strony. Dobry nauczyciel to specjalista, który ma supermoc edukowania, otwiera drzwi, wskazuje drogę i tworzy nowe możliwości.

AS: Pięknie powiedziane! Dodabym, że potrafi nie tylko przekazać wiedzę, ale też zainspirować, zarazić pasją oraz pokazać, że wszystko zależy od nas, naszej determinacji i dociekliwości. Poza tym nauczyciel powinien stworzyć przestrzeń, w której uczeń przestaje się bać popełniać błędy. To ktoś, kto wierzy w potencjał drugiego człowieka, zanim ten sam uwierzy w siebie. Czasem wystarczy jedno dobre słowo, jeden gest wsparcia – i otwierają się nie tylko drzwi językowe, ale i te wewnętrzne. To zawód serca.

Jakich zasad warto przestrzegać, by osiągnąć swój cel językowy?

Jakie metody nauki są najlepsze?

AS: Należy kierować się własnymi potrzebami i preferencjami oraz próbować różnych metod w celu znalezienia tych pasujących do naszego stylu nauki. Słowem kluczem jest dla mnie także dociekliwość – warto sprawdzać, weryfikować i dążyć, by znać np. wiele kontekstów użycia danego słowa i nie tylko! W czasach szkolnych zwykłem uczyć się języków autorskim systemem tygodniowym, który polegał na nauce tylko jednego języka przez siedem dni, następnie

kolejnych, aż cykl się zamknie i powtórzy. Kiedy nadeszły studia, nauka stała się bardziej płynna, a metoda ta pozostała miłym młodzieńczym wspomnieniem. Uniwersalną zasadą jest nauka języka naturalnego. Poprawność to jedno, ale warto zadbać o to, by nie brzmieć zbyt podręcznikowo, lecz autentycznie. Istotny jest też równomierny rozwój kompetencji językowych (mówienia, słuchania, czytania i pisanie). Zawsze zachęcam do mówienia od pierwszego dnia, bo wiem, że zaniedbanie tej kompetencji może mieć kłopotliwe skutki. Poza tym na samym początku nauki warto zadbać o solidne opanowanie zasad wymowy czy podstaw gramatycznych, które następnie konsekwentnie się rozwija.

Uniwersalną zasadą jest nauka języka naturalnego. Poprawność to jedno, ale warto zadbać o to, by nie brzmieć zbyt podręcznikowo

NW: Każdej osobie służą inne narzędzia. Kluczem do sukcesu jest nie ustawać w owym poszukiwaniu: starać się, próbować, potykać się i wstawać. Błędy, które popełniamy, trudności, które napotykamy, to drogowskazy, w jakim kierunku zmierzać, co się dla nas sprawdza i rekompensuje nasze sfery deficytowe, a co nie przynosi efektów.

Co z osobami, które mogą potrzebować zmodyfikowanego trybu nauczania, np. z powodu deficytu uwagi?

NW: Polecam stosowanie technik właściwych dla terapii poznawczo-behawioralnej, zwłaszcza tzw. planów aktywności, które pomagają jej na etapy, sprzyjając tym samym utrzymaniu koncentracji, stwarzając szansę osiągnięcia sukcesu, co jest kluczowym czynnikiem pomocnym zwiększeniu poziomu motywacji oraz zminimalizowaniu poczucia frustracji i lęku. Ponadto stosowanie elementów grywalizacji w uczeniu się i nauczaniu jawi się jako niezwykle atrakcyjne szczególnie dla uczniów z ADHD – z mojego doświadczenia wynika, że poruszają się oni niezwykle sprawnie w obecnym

zdigitalizowanym świecie dźwięków, obrazów i zasobów cyfrowych.

Badania naukowców z Massachusetts Institute of Technology pokazały, że szansa na uzyskanie poziomu native speaker'a u dziecka, które zaczyna naukę zaraz po urodzeniu, i u 10-latka jest praktycznie taka sama. Nastolatkom uczyć się szybko, ale mogą już nie osiągnąć poziomu rodzimego użytkownika języka. Osoby dorosłe tracą tę szansę bezpowrotnie. Jednak według naukowców z Izraela nie wszystko pogarsza się z wiekiem: dzieci mają lepsze ucho do dźwięków, dorośli – więcej cierpliwości, czytają i piszą, więc mogą poszerzać zasób słownictwa. Czy istnieje idealne okno czasowe na skuteczną naukę języków?

AS: Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie za kilkadziesiąt lat, gdy sam przejdę różne pułapy wiekowe nauki, choć na tym etapie mogę już stwierdzić, że wiek nastoletni niewątpliwie sprzyja skutecznej nauce języka. To okres między dzieciństwem, w którym bezwarunkowo chłonimy świat, a dorosłością, kiedy świadomie go analizujemy. Być może głównym czynnikiem jest także intensywna nauka szkolna, kiedy przyswajamy wiedzę z różnych przedmiotów, a poznanie języka odzwierciedla często to, co poznajemy w ramach innych dziedzin – różne zasady, analogie czy sfery życia.

NW: Na spełnianie marzeń, także tych językowych, nigdy nie jest za późno. Zgodnie z tym, co mawiają Anglicy: „Tam, gdzie jest wola, znajdzie się sposób”. Sama również mogłam to obserwować, pracując z grupami bardzo zróżnicowanymi pod względem wieku, i wiem, że to możliwe. Faktycznie czasem może być trudniej, ale przy wielkim marzeniu wielka jest też motywacja! A najważniejsza rzecz to się nie poddawać! **Podobno motywacja społeczna to jeden z kluczy do nauki języka. Czy poliglota może być introwertykiem?**

AS: Oczywiście, że może! Każdy, niezależnie od usposobienia, może się skutecznie uczyć języków i zostać poliglotą! To nie kwestia osobowości, choć pewne cechy charakteru mogą wspomagać rozwój poszczególnych kompetencji językowych (np. mówienie w przypadku ekstrawertyków, co wiem z autopsji). Według mnie najbardziej liczy się zaangażowanie oraz uczynienie nauki

NW: Zgadzam się. Osobowość introwertyczna nie alienuje się społecznie, lubi spotkania w bardziej kameralnym gronie i często potrzebuje więcej czasu na dostosowanie w swoim najbliższym mikroświecie społecznym. Ale gdy już do tego dojdzie, utrzymuje kontakty społeczne na poziomie dla siebie komfortowym. Ponadto introwertycy są doskonałymi słuchaczami, a jest

ekosystemu spontanicznych uczuć i kreatywności.

AS: To prawda. Technologia daje nam niezwykle możliwości, ale język to coś więcej niż tylko narzędzie przekazu. To sposób bycia z drugim człowiekiem, dotykania jego kultury, sposobu myślenia i poczucia humoru. Sztuczna inteligencja może symulować konwersację, ale nie nawiąże relacji. Ucząc się języka, uczymy się też empatii, otwartości i pokory wobec inności – a tego żadna aplikacja nie zastąpi. Poza tym warto podkreślić, że AI ma braki w pewnych niuansach języka, takich jak slang. Nie zanoszą się na to, by maszyna szybko zastąpiła rodzimych użytkowników danego języka, którzy w pełni w nim żyją.

Co robią poligloty po godzinach, kiedy nie uczą się kolejnych języków?

NW: Oglądają Netfliksa, są wielkimi fanami serialu „The Stranger Things” i „Wiedźmina”, Uniwersum DC i Marvela, ścieżki dźwiękowej do „Counterstrike” i „The Witcher”. Oprócz tego śpiewają, słuchają muzyki i piszą wiersze. Pasjonują się również scrapbookingiem (sztuka ręcznego tworzenia i dekorowania albumów ze zdjęciami i pamiątkami rodzinnymi – przyp. red.) i dekupażem (technika ozdabiania przedmiotów – przyp. red.). Są wielkimi miłośnikami kawy (szczególnie aromatycznego espresso) oraz szeroko pojętej estetyki lat 80. i 90. minionego stulecia.

AS: Powiem przekornie, że... uczą się, nie ucząc się w typowym rozumieniu! Mam na myśli wdrożenie języka obcego do codziennych czynności, takich jak czytanie książek, prasy czy wiadomości lub słuchanie radia, telewizji i podcastów, wszystkiego oczywiście najlepiej z zagranicy. Języka można też uczyć innych i świetnie się przy tym rozwijać (potwierdzam jako lektor w szkole językowej). To wszystko to taki odpowiednik (albo i praca) poprzez mimowolny rozwój, zwłaszcza na wyższych poziomach języka! Życie poligloty nie jest ciągłą nauką – rzecz w tym, że języki stają się elementem życia, a nauka języków to przygoda na całe życie!

Zuzanna Muszyńska

Zachęcam do mówienia od pierwszego dnia, zaniedbanie tej kompetencji może mieć kłopotliwe skutki.

języka codziennym nawykiem, bo, jak sam to określam, język to przyjaciel, który ma nam towarzyszyć na co dzień. W związku z tym traktujemy ten język jak kompana, z którym (a właściwie – w którym) mamy się dogadać. Każdy z nas ma oczywiście odmienne warunki, zaczyna z innym zapleczem i uczy się inaczej, ale wspólnym mianownikiem jest aspekt komunikacji. Język to my – ma on odzwierciedlać nas, służyć do wyrażania myśli i dzielenia się nimi. Wspomniana motywacja społeczna to zatem ważny i z pewnością atrakcyjny czynnik. W danym języku powinniśmy pozostawać jednak autentyczni. Jeśli ktoś jest z natury introwertykiem, zapewne będzie nim również w języku obcym. Aczkolwiek zawsze jest szansa, że w innym języku odkryje się nieznane wcześniej oblicze!

to czynnik niezmiernie ułatwiający zarówno komunikację, jak i proces przyswajania języka obcego.

Minęło 60 lat, odkąd w polskiej telewizji pojawiły się pierwsze kursy języków obcych, jak „Walter and Connie”, program BBC dostosowany do potrzeb polskiego widza. Emitowano je często w godzinach nocnych, z nastawieniem na dorosłych. Dziś wszyscy mogą się uczyć, oglądając seriale Netfliksa w oryginalnej wersji językowej czy też dzięki darmowej aplikacji Duolingo na smartfonie. Ale czy warto uczyć się języków w dobie AI? Automat przetłumaczy nam artykuł albo porozmawia za nas z cudzoziemcem.

NW: Dlatego właśnie warto – automat, przynajmniej obecnie, nie jest w stanie oddać emocji towarzyszących rozmowie, osobowości rozmówcy, jego „ja”, tego swoistego

KSIĄŻKI

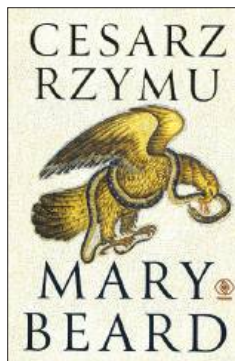
Mary Beard

Cesarz Rzymu

tłum. Tomasz Chwałek, Magdalena Hermanowska
Rebis, Poznań 2024

Analizując fakty i mity o tych, którzy sprawowali władzę w starożytnym Rzymie, badaczka stawia pytania: co robili, w jakim celu i dlaczego ich historie tak często opowiadano w konwencji przesady i sensacji? Porusza kwestie władzy, korupcji, dworskich intryg, przybliża także szczegóły codziennego życia cesarzy. Jak i gdzie się żywili? Z kim sypiali? Jak podróżowali? Czy byli równi bogom? A także: czy byli szaleńcami, jak im się to często przypisuje. Gdyby Rzymem rządili sami obłąkani arystokraci – twierdzi autorka – cesarstwo rzymskie jako ustrój nie przetrwałoby.

(es)





Looking at the Flowers, 2022

Drogie mgnienia Hockneya

Wielkie malarstwo ma zdolność ukazywania tego, czego sami byśmy nigdy nie zauważyli

Daniel Wójtowicz

Paryska wystawa malarstwa Davida Hockneya jest nadspodziewanie duża. Zajmuje aż 11 obszernych sal na czterech poziomach galerii Fundacji Louis Vuitton i obejmuje 400 prac. Chwilami jest nużąca, ale częściej – fascynująca. Nużąca, ponieważ jej zwiedzanie w tłumie trwa i trwa, a w kolejnych salach znajduje się bardzo wiele podobnych obrazów. Fascynująca, bo została wspaniale zaaranżowana, we wszystkich działach odkrywamy coś zaskakującego.

Ekspozycję tę oglądałem jak wystawę kilku różnych autorów. I im dłużej to trwało, tym trudniej było z niej wyjść. Nie sposób opowiedzieć o wszystkim.

David Hockney, Brytyczyk i Amerykanin, 88-letni pogodnie uśmiechnięty pan w kaszkiecie, jest dziś uznawany za najważniejszego i najdroższego żyjącego malarza świata. Stworzył

setki obrazów i tworzy je nadal! Najgłośniejsze jego dzieło „Portrait of an Artist (Pool with Two Figures) [Portret artysty (Basen z dwoma postaciami)]” z 1972 r. został sprzedany przed siedmioma laty za ponad 90 mln dol.

Spora część prac pokazywanych na wystawie „David Hockney 25” namalowana została już po 2000 r. Kształt paryskiej prezentacji nadzorował sam twórca. Każdy z nas, zwykłych widzów, zwabionych stawą malarza, może zatem na tej wystawie stać się naocznym świadkiem powstawania legendy.

Dialog z mistrzami i triumf malarstwa

Malarstwo, nawet w epoce multi-medium, ciągle może być obszarem niebywałego triumfu. W wypadku Hockneya wydaje się to triumf również nad malarstwem. Uosabia on mianowicie mistrzowskie panowanie nad warsztatem. Nie ma

jednego Hockneya. Artysta tworzy w najrozmaitszych stylach, odstonach i nawiązaniach.

W tym kontekście największe chyba wrażenie na wystawie zrobił na mnie dział prac będących dialogiem z wielkimi mistrzami malarstwa. Artysta wchodzi w ich styl i sposób obrazowania z lekkością i swobodą, tworząc własną, współczesną wersję ich dzieł.

I tak mamy m.in. „Four Dancers Playing with Balls” 2018, 2024-2025 – nawiązanie do znanej pracy Matisse’a „Taniec”, zaprezentowane na dziewięciu rozłącznych, małych, układających się w całość blejtrmach, niczym na ekranach telewizyjnych. „30 Sunflowers” (1996) albo „Chair” (1985) korespondują z najsłynniejszymi dziełami van Gogha. Najmocniejsza praca „Massacre and the Problems of Depiction, after Picasso 2003” wchodzi w ponury klimat i styl „Masakry w Korei” Picassa, ale zaskakująco upodabnia ▶



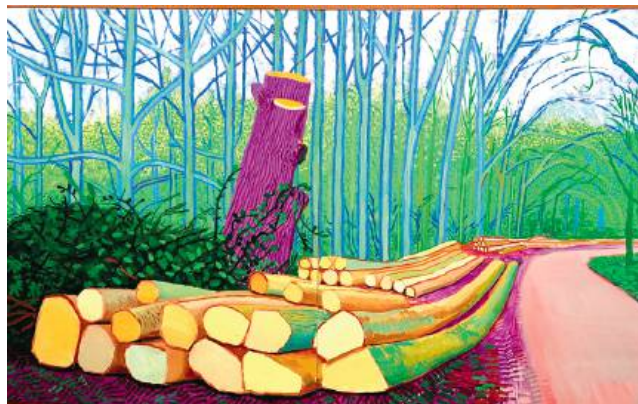
Books and Rain, 2023

► wizerunek ofiar rozstrzelania do prostytutek z „Panien z Awinionu”.

„Nowa sztuka obrazowania nie może być jak sztuka, która minęła. Sposób, w jaki postrzegamy rzeczy, nieustannie się zmienia”, mówił Hockney w wywiadzie z lat 80.

W epoce elektroniki osiągnięcia Hockneya można również widzieć jako triumf malarstwa nad multimediami. Twierdzi on, że fotografia odzwierciedla tylko to, co człowiek widzi. Malarstwo natomiast pokazuje, jak on to postrzega i odczuwa. Na niewielkim obrazie „Books and Rain” (Książki i deszcz, 2023) pełnym czerwono-zielonych kropko-kresek, widziałem wnętrze pokoju z deszczowym oknem. Choć jest on pusty, pełno w nim zadumy, melancholii i tęsknoty. Prawda o nas tkwi przecież często w pustce, która po nas pozostaje.

We wcześniejszych salach wystawione są wielkoformatowe obrazy drzew (2008, 2009). Część z nich z liśćmi w ostrych, nietypowych kolorach. Na innych płótnach są martwe drzewa, leżące wzdłuż leśnej drogi, ścięte i ograbione z całego swojego bogactwa. Malarz nadał im barwy nienaturalnie niebieskie, żółte, fioletowe, jak z nieskrępowanego rysunku dziecka czy z kompozycji komputerowej. Obrazy nie przedstawiają niby niczego niezwykłego, a jednak przyciągają uwagę, a nawet krzyczą.



Felled Trees on Woldgate, 2008



A Bigger Splash, 1967

Jaki jest sens tych kompozycji? Nie umiem powiedzieć, choć zrobiły na mnie niemałe wrażenie. Przypominałem sobie przy nich zasłyszane niegdyś stwierdzenie innego wielkiego malarza, Edwarda Hoppera: „Gdyby można było słowami wyrazić to, co przedstawia obraz, nie byłoby sensu go malować”.

Recenzenci niekiedy krytykują Hockney, że na starość uciekł w trywialność – namalował bądź stworzył elektronicznie dziesiątki, może setki „prosty” obrazków z natury, sielskich pejzaży, łąk i drzew. Zwykłych zwiedzających, zmęczonych niezrozumiałą abstrakcją współczesnych galerii, musi to cieszyć: nareszcie wiedzą, o co chodzi. I chyba też na tym malarzowi zależało – dać im to, czego chcą. Nie sztydzi z nas, lecz dostrzega w nas zmiany.

Artysta uważa, że skończyła się już praktyka przeżywania dzieła sztuki w długim czasie. Jego zdaniem widz poświęca na obraz tylko tyle, ile trwa zrobienie zdjęcia smartfonem. Może dlatego maluje (lub opracowuje na swoim iPadzie) ich tak wiele i strzela do nas – jak na tej wystawie – seriami, które układają się w malarski film. Idzie w tym pewnie pod publikę, ale tylko w sensie jej sposobu postrzegania. Artystycznie zachowuje we wszystkim klasę, wdzięk i twórczą fantazję.

Duża część tych pozornie podobnych pejzaży prezentowana jest na wystawie rotacyjnie, na zestawach kilkunastu ekranów telewizyjnych. Wygląda na to, że faktycznie artysta, który osobiście nadzorował aranżację dzieł, chciał, aby wszystkie były odbierane jak mgnięcia składające się w jedną wielką całość. Z myślą o wszystkich, którzy nie mają ani nawyku, ani cierpliwości, by podarować pojedynczym obrazom więcej uwagi. Nie chcą poświęcić żadnemu z nich stu sekund – niech patrzą po sekundzie na podobnych sto – zdaje się przewrotnie proponować.

Sztuka dla pędzących

Do podobnego spostrzeżenia doszedłem w jednej z następnych sal. Wypełniona była dziesiątkami podobnych do siebie, niewielkich, niespecjalnie zaskakujących obrazów z kwiatami w wazonach. Stworzone



Massacre and the
Problems of Depiction,
after Picasso 2003, 2003

zostały przez Hockneya elektronicznie, na iPadzie, lecz oprawioneo je w tradycyjne ramy. Cisnął się w oczy identyczny w nich wszystkich kolor tła i ten sam schemat kompozycyjny.

W środku tej rozległej ekspozycji umieszczono wielki obraz „Looking at the Flowers”, 2022 (Patrząc na kwiaty) dowcipnie pokazujący taką samą, a może nawet tę samą ścianę z tymi samymi pracami, przed którą w głębokich fotelach klubowych zasiadają wpatrujący się w ekspozycje dwaj starsi panowie. Są w takich samych kraciastych marynarkach. Ich twarze nie widać, ale wiadomo, że to dwóch Hockneyów lub jeden w dwóch miejscach naraz.

Obraz ten, wykonany metodą elektronicznego kolażu dopełnia, a właściwie spaja całość kwiatowej ekspozycji. To sympatyczny, ciepły żart. Ale jego sens jest poważniejszy: autor zawiadamia nas, że wszystkie małe obrazy z tej samej rodziny traktuje jak jeden; może rozbity na kawałki, ale jeden, powtórzony sto razy dla pędzących przez życie widzów. Dodatkowo ma tu działać, za sprawą obranej kompozycji i jej symetrii, efekt 3D – złudzenia trójwymiarowości. Twórca przedkłada nam zatem nową koncepcję dotarcia do widza ze sztuką malarstwa.

Złośliwi krytycy Hockneya szepczą, że płynie on sprytnie już tylko na

fali sukcesu sprzed wielu lat, a narastanie jego popularności jest odwrotnie proporcjonalne do dynamiki jego kreatywności. Może mają trochę racji, choć są w mniejszości.

W historii malarstwa to właśnie kolejne kroki w dopasowywaniu obrazowania do odkrywanych mechanizmów i schematów percepcji człowieka przesądzały o nowatorstwie, a nawet genialności dzieł. Zwykli odbiorcy zazwyczaj nie byli tego świadomi, ale takie nowości wręcz połykali. Na tej wystawie doskonale to widać: Hockney proponuje nową koncepcję oddziaływania malarstwa, dostosowaną do specyfiki czasów, a może nawet przed nie wybiegającą.

Większy plusk

Najgłośniejsze obrazy Hockneya, które zapewniły mu tak wielką sławę w początkach lat 60. i 70., ukazane są w początkowej części wystawy (w tym wspomniany, najdroższy „Portret artysty” z 1972 r.). Są one historycznie bardzo ważne nie tylko dlatego, że w emocjonalny sposób wnoszą do sztuki i dyskusji publicznej dramat ukrywanej homoseksualności. Jego ciężaru doświadczał sam autor, uciekając do USA z Anglii, w której osoby nieheteronormatywne aż do 1967 r. były ścigane prawem.

Istotne jest także, a może przede wszystkim to, że dzieła te okazały się przejawami nowatorskiego języka malarskiej ekspresji i wypowiedzi. Z tych powodów tak zachwycił świat artystyczny, a autorowi zapewniły w nim trwałe i wyjątkowe miejsce. Co jednak dla mnie bardziej istotne – w skali całej, ciągle jeszcze niezamkniętej jego twórczości – wydają się mocno już oddalone od dzisiejszego Hockneya, jakby dotyczyły kogoś innego.

Niektórzy krytycy głośno żałują, że artysta tamten styl i nurt porzucił. Widać nie chciał się na nim zatrzymywać, być może również z powodu osobistych dramatów miłosnych, a być może tylko przebrzmienia tego tematu.

Jeden z tych słynnych starszych obrazów – „A Bigger Splash” (Większy plusk) z 1967 r. zachował jednak szczególną aktualność. Przedstawia zwykły basen kąpielowy z banalnym budynkiem na tle niebieskiego nieba. Nad równie błękitną wodą przy trampolinie rozpryskuje się kłęb białej piany. To ślad, że ktoś przed chwilą wskoczył do wody. Kto to był i dlaczego miałoby to być ważne, pozostaje dla oglądających tajemnicą. Z późniejszych wypowiedzi autora wynika jednak, że niekoniecznie miało to jakieś znaczenie. Fascynował go bowiem jedynie ten rozbrzysł jako zjawisko. Tylko na jego wmalowanie w obraz poświęcił bite dwa tygodnie. Miał być oddaniem czegoś, co istnieje tylko w ulotnej chwili, w mgnieniu oka, a dzieje się w głuchym i martwym otoczeniu (tu w postaci materii ze szkła i betonu). Zdarzenia tak ulotnego jak może chwila uniesień miłosnych? A może tak jak mgnienie ludzkiego życia?

„Wielkie malarstwo ma zdolność ukazywania tego, czego sami byśmy nigdy nie zauważyli”, stwierdził Hockney w wywiadzie przed laty.

On właśnie tę zdolność dla swojego malarstwa zdobył. I pewnie dlatego dla tak wielu ludzi jest ono tak drogie.

Daniel Wójtowicz

Wystawa David Hockney 25
Fundacja Louis Vuitton
Paryż, do 31 sierpnia

Rozmawia Beata Biały

Byłeś radosnym dzieckiem czy smutnym?

– Mama mówi, że byłem wesołym chłopcem. A zdjęcia z dzieciństwa to potwierdzają. Jedno z moich ulubionych – siedzę na koniu i uśmiecham się szeroko. To moje pierwsze zwycięstwo, udało mi się utrzymać w siodle. Byłem dzieckiem, które sobie radziło. Miałem dużo wdzięku, którym często załatwiałem sprawy. Nadużywałem tego wdzięku, ale to działało. Pamiętam też moment smutny. Znaleźliśmy z kuzynką martwego ptaka i postanowiliśmy zrobić mu pogrzeb. Ale to był smutek rytualny, więc się nie liczy (śmiech). Później przyszedł smutek z pogrzebu prababci. Czy był bardzo głęboki, wynikający z poczucia straty? Kochałem prababcię, ale myślę, że udzielił mi się smutek innych żałobników. Patrzyłem na ich reakcje i czułem ten ciężar. Pierwszy większy smutek ogarnął mnie, kiedy moja licealna miłość wyjechała do Stanów.

Czy ten był prawdziwy?

– Był osnuty poezją, którą wtedy czytałem. Melancholia była figurą w moim życiu, pozą wrażliwca reagującego na różne sprawy. Prawdziwy smutek przyszedł dopiero w bardzo dojrzałym wieku, kiedy zmarł mój ojciec. To była w ogóle kumulacja trudnych doświadczeń. Odszedł tata, rozpadł się mój związek, a jeszcze media mi dokładały. Nastąpił klasyczny efekt śnieżnej kuli, która na swojej drodze zmiata wszystko. Wypłakałem morze łez, bo straciłem wszystko – dom, rodzinę, pracę, reputację. To sprawiło, że przez kilka lat byłem naprawdę smutny. Oczywiście pracowałem, spotykałem się z przyjaciółmi, skończyłem studia u Wajdy, normalnie żyłem, ale odczuwałem świat jako smutny. Byłem człowiekiem smutnym i bezradnym, bo smutek często wynika z bezradności wobec tego, co niesie los. Czasami potrzeba lat, aby to zrozumieć, zaakceptować i wydobyć się z tego stanu. U mnie też trwało to kilka lat.

Miałeś momenty, kiedy wątpieś, że w ogóle kiedyś wzejdzie słońce?**Co wtedy myślałeś?**

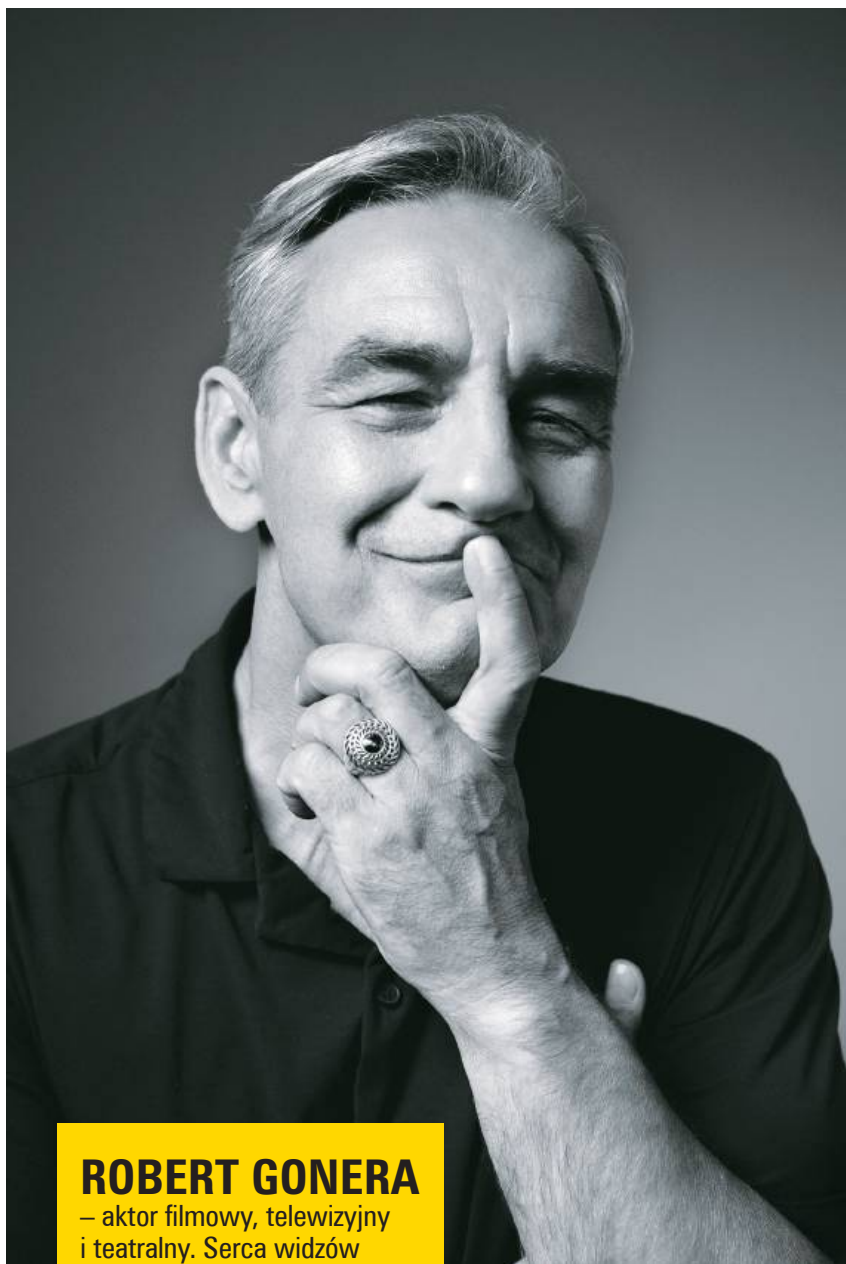
– Niewiele się myśli, smucąc się. Bo smutek jest bezradnością wobec wydarzeń zewnętrznych. Nie wiemy, w którą stronę, gdzie szukać przed nim ratunku. To było pięć długich lat wspinaczki po stabilizację. Myślę, że człowiek musi wynurzać się tyle, ile się zanurzał.

Co wtedy pomaga?

– Przyjaciele, którzy się odsiewają, bo większość dokonuje ostracyzmu. Osoby smutne czy zawieszone w jakiejś melancholii

Żegnaj, smutku

Wypieramy melancholię,
która jest naturalną odpowiedzią
na szaleństwo świata

**ROBERT GÓNERA**

– aktor filmowy, telewizyjny i teatralny. Serca widzów podbił kreacją w dramacie psychologicznym „Dług”

nie są przedmiotem zainteresowania tych, którzy idą aktywnie przez życie. Nie pasują do obrazka świata. Wydawało mi się, że zostałem odrzucony. Więc ten smutek pogłębia się coraz bardziej, z każdą utraconą duszyczką, z każdym utraconym przyjacielem. Na szczęście to tylko wymiana. Bo nagle się okazuje, że niektórzy ludzie chcą być przy nas w trudnym czasie. Mówi się, że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. To prawda, wtedy następuje selekcja i łatwo się przekonać, kto jest przyjacielem, a kto nim nie jest. Kto mimo wszystko zadzwoni, wyciągnie cię na kawę. Do dzisiaj mam takich przyjaciół i nasze „rytuały”. Bardzo niewielu – kilku w Warszawie, kilku we Wrocławiu i dwie, trzy osoby w Berlinie, gdzie pracuję. I wszyscy sprawdzili się w najgorszym dla mnie czasie. Przyjacielem okazała się również moja agentka, która była ze mną na każdym etapie tej trudnej drogi. Duże wsparcie dostałem też od moich widzów, za co jestem im wdzięczny.

Terapia pomogła zmienić perspektywę?

– Poszedłem na terapię, żeby ratować rodzinę, a nagle uświadomiłem sobie, że muszę ratować przede wszystkim siebie. Wspaniała terapeutka nauczyła mnie dbać o mój dobrostan. Bezbłędnie wskazała źródło problemu, które było oczywiście bardzo blisko. Terapia uświadomiła mi, że coś w tej mierze mam do zrobienia. Pozwoliła dotrzeć do źródeł lęku, które były przyczyną moich kłopotów. Ale terapia nie załatwi wszystkiego. Prawdziwa terapia zaczyna się między spotkaniami u terapeuty.

Jak dziś sobie radzisz, gdy nie chce ci się rano wstać, bo czujesz smutek? Przecież każdy tak czasem ma.

– Teraz mam taki rytuał, że od razu staram się ten smutek odsunąć. Patrzę, co niesie nowy dzień, cieszę się, że jestem zdrowy, że mogę działać. To wynika z mojej obecnej dojrzałości i doświadczeń. Akceptuję siebie i otoczenie takim, jakie jest. Staram się nie oglądać na smutki, tylko afirmować dobrostan.

Mówisz sobie, że nic nie trwa wiecznie, nawet smutek?

– Tak, ale kiedy jesteś w głębokim smutku, trudno jest to sobie przetłumaczyć. Dotarcie do osoby pogrążonej w głębokim smutku jest trudne. Depresja jest dzisiaj nadużywany słowem, ale to prawda, że smutni ludzie często czują się wykluczeni z tej nieustającej reklamy życia. Smutny człowiek jest natychmiast podejrzewany o depresję, co prowadzi do ostracyzmu. Rzadko zdarza się, że ktoś podejdziesz i zapyta: „Co się dzieje?”. Ludzie smutni są często pozostawieni sami sobie, skazani na pomoc psychologiczną, co jest dobre, ale zdrowy smutek jest wypierany. Żyjemy w kulturze, która nieustannie promuje radość i sukces. Smutek jest postrzegany jako coś nienaturalnego, co trzeba szybko naprawić. Tymczasem zdrowy smutek jest częścią życia i może prowadzić do głębszego zrozumienia siebie i świata.

Aktorzy często mierzą się ze smutkiem, ale potrafią go przykryć komedią.

Po co jest smutek?

– Smutek jest po to, abyśmy później mogli odczuwać radość. To jest ta zmiana, która pozwala nam dostrzegać różnice i cenić chwile szczęścia. Smutek nie ma jednej przyczyny – dla jednego może to być śmierć bliskiej osoby, dla drugiego życiowy zawód. Jest to wewnętrzny stan generowany przez nasz organizm. Dotarcie do istoty smutku i jego przyczyn jest trudne, nawet dla specjalistów. Ponieważ sami generujemy nasz smutek, musimy też sami usuwać jego skutki.

Ale życie również generuje smutek.

– Od początku wojny w Ukrainie smucę się ogromnie. To skala makro dramatu dwóch narodów. Nawet po zakończeniu wojny będą mieli gigantyczną pracę do wykonania w rozliczeniu tego smutku. Oczywiście życie to my i nasze doświadczenia. Generuje powody do smutku, ale sam stan, który osiągamy, jest naszą reakcją. Nie ma nic złego w smutku. Ludzie mają prawo się smucić. Wypieramy melancholię, która jest naturalną odpowiedzią na szaleństwo świata, na

odejścia bliskich. Melancholia i smutek skłaniają do zastanowienia się nad sobą, nad swoim życiem i celami. Często smutek wiąże się z czymś, czego nie dokonaliśmy w przeszłości, ale zawsze jest czas na naprawienie tego. Zamiast się smucić, powinniśmy wyciągać rękę do życia i akceptować stan, w którym jesteśmy.

Łatwo powiedzieć. Smutek jest prosty, o radość trzeba się postarać.

– Zdecydowanie. Smutek przychodzi naturalnie, bez wysiłku. Radość to wspinaczka, wymaga starań, aktywności, zarówno fizycznej, jak i duchowej. Musimy się ruszać, wytwarzać endorfiny, aby osiągnąć stan radości. To jest jak wspinanie się po górach – łatwo zjeżdża się w dół, ale wspinaczka wymaga użycia mięśni. Trzeba aktywnie akceptować to, co się ma, co przychodzi, to, co jest. Zawsze będą powody do smutku – szaleństwo świata, wojny, dramaty.

Smutek to przerwa od aktywności, łatwo jest zapaść się w kanapę i przestać działać.

Masz rację. Kiedy mnie dopada smutek, naj-

lepszy sposób to otulić się koldrą i przespać trudny czas. Nie odbieram wtedy telefonów, nie ma mnie dla nikogo, chcę, by świat odczepił się ode mnie. Jestem jak zwierzę, które zranione chowa się do swojej nory i wychodzi dopiero wtedy, gdy wyliże rany.

– Mam dokładnie tak samo. Zamykam się, chowamy, aby nikt nie znalazł nas z tym smutkiem. Żeby przeżyć ten smutek samemu. Ale smutek jest permanentnie związany z paradoksem, że ja tu cierpię, smucę się, i nikt tego nie widzi. Wyjście poza tę strefę jest bardzo trudne. Wyjścia ze smutku czy melancholii do ludzi są często nierozumiane. Komunikat, że ktoś potrzebuje pomocy, nie zawsze jest odbierany prawidłowo. Ludzie nierzadko odsuwają się od osób smutnych.

A jak ty reagujesz, kiedy widzisz kogoś smutnego? Co robisz? Ludzie zazwyczaj mówią: No popatrz na swoje życie, masz wszystko, dobrą pracę, piękny dom...

– Czasem wydaje się nam, że ktoś nie ma powodu do smutku, bo ▶

► przecież ma zdrowie, miłość, pieniądze. Ale smutek to domena życia wewnętrznego, dotarcie do jego przyczyn jest niezwykle trudne, nawet dla psychologów. Smutek jest bardzo głębokim uczuciem, zaprzeczeniem sił życiowych. W ciężkich przypadkach kojarzy się z apatią, zapadnięciem się i brakiem sensu. Wyprowadzenie kogoś z głębokiego smutku wymaga ogromnej pracy, często się nie udaje. Kiedy spotykam kogoś smutnego, staram się odkryć prawdziwą przyczynę smutku. Nie mówię: „Nie ma się czym smuć, jutro będzie lepiej”. Bo smutek jest wiedzą tylko tej osoby. Łatwo stwierdzić, że ktoś jest smutny, ale przyczyny są bardziej skomplikowane i wewnętrzne.

Człowiek musi wynurzać się tyle, ile się zanurzał.

Jak smutek wpływa na twoją pracę aktora? Pomaga, przeszkadza w interpretacji ról?

– Smutek jest istotnym artefaktem świata przedstawionego, wymyślnego przez autorów. W dramatach, szczególnie tych klasycznych, smutek prowadzi do katharsis – oczyszczenia i przemiany. Pracując nad rolą, często muszę wzbudzić w sobie smutek, imitować tragiczne wydarzenia. To wpływa na moją pracę, ale też pozwala na głębsze zrozumienie emocji. Najwyższą formą dramatu jest tragedia, więc smutek jest obecnie bardzo silnie w naszej pracy. Aby doszło do katharsis, potrzeba dużo pracy, która często wywołuje smutek, imitując tragiczne wydarzenia. **Ludzie często myślą, że aktorzy potrafią przykryć swój smutek komedią, autoironią, humorem. Jak komedianci, którzy są uważani za wesółych, a w rzeczywistości są bardziej smutni.**

– Dokładnie, wielu aktorów to potwierdzi. W rzeczywistości aktorzy często mierzą się ze smutkiem, ale potrafią go przykryć komedią, szczególnie w ostatnich czasach, kiedy takie są propozycje. Wiesz, tego tragicznego aktorstwa, tekstów głęboko wchodzących w sferę egzystencjalnych wydarzeń, takich jak dramaty Szekspira czy sztuki Czechowa, jest

dziś bardzo mało. Są rzadkie przykłady, gdzie poprzez smutek dokonuje się katharsis – przemiana, oczyszczenie, odzyskanie innej świadomości, zrozumienie przyczyn smutku. Może to ma sens. W młodym wieku obejrzałem „Stąd do wieczności” według Jamesa Jonesa. Pamiętam moment, kiedy Maggio desperacko wyskakuje z ciężarówki. Dostojewski, którego czytałem wcześniej, również wpłynął na mnie, pokazując smucenie się nad ludzkością i banalnością zła. Hannah Arendt w książce o banalności zła przeraża i smuci. Jednak teraz staram się unikać literatury i filmów, które dostarczają powodów do smutku. Wolę być po jasnej stronie, nie dawać sobie tych smutków nawet w postaci fikcji. Z chęcią

zagłębiam się w historie, które prowadzą do katharsis. Możemy na chwilę się zatrzymać, zobaczyć siebie wobec symulowanych wydarzeń w filmie czy sztuce i poczuć, jak ten imitowany smutek nas dotyka.

Trzeba szukać powodów do radości, nawet w najdrobniejszych rzeczach?

– Tak, choć to czasem wygląda na wspieranie się myślą, że suma smutków gdzieś się dopełnia.

Ale jak pisał Czesław Miłosz: „Jest taka cierpienia granica za którą się uśmiech pogodny zaczyna”. Co cię najbardziej pociesza, gdy jesteś smutny?

– Trudno mi sobie to przypomnieć, bo z takim trudem wyszedłem z tego świata smutku i melancholii. Staram się unikać sytuacji, które mogą mnie doprowadzić do smutku. Zajmuję się czymś konkretnym, idę pobiegać, na kije, na snowboard. Ruch fizyczny jest banalny, ale skuteczny. Wyjście do ludzi, podzielenie się smutkiem jest ogromnym błogosławieństwem. Możliwość rozmowy z kimś bliskim, podzielenie się smutkiem to najczęściej najbardziej skuteczne sposoby radzenia sobie z nim. Ważne, czy ta osoba jest naszym prawdziwym przyjacielem, czy

ma kluczyk do nas. Problem w tym, że ludzie często nie chcą się dzielić smutkami. Chowamy się w nadaktywności, w różne sprawy, które nie są skuteczne w wyciąganiu nas ze smutku.

Jakie słowa wsparcia dałbyś komuś, kto zmagą się ze smutkiem? Krystyna Janda opowiadała, że gdy była młoda i nachodził ją smutek, mama jej mówiła: „Wyszoruj schody, to zaraz ci wszystko przejdzie”.

– Ludzie często uciekają w pracę. Ja nie jestem takim typem – raczej lubię przemilczeć, przeleżeć smutek. Trzeba się pogodzić z tym, że to chwilę trwa. Pozwolić sobie na smutek, zaakceptować go, patrzeć, jak się kończy. Kto powiedział, że mamy być wiecznie weseli? Nikt. Melancholia daje pewien rodzaj szlachetności. Żyjemy w kulturze, gdzie odchodzimy od pełnej radości życia. Smutek i radość się mieszają, na co nie mamy żadnego wpływu. Smutek wywołany odejściem kogoś miesza się z radością życia, nie dlatego, że żyjemy, ale że trzeba żyć dalej. Przeszedłem bardzo trudną drogę. I wciąż na tej drodze jestem. Choć dziś mogę śmiało powiedzieć, że jestem zwycięzcą. I może podzielić się opowieścią o swojej drodze do dobrostanu. W ujęciu religijnym nazywa się to „dawaniem świadectwa”. W ujęciu świeckim to potwierdzanie wiary w siebie, we własne możliwości i stwarzania się w trudnej sytuacji psychicznej, która nam dopieka. Teraz staram się cieszyć każdą chwilą. Rozważałem radość, akceptację faktu, że jestem w miarę zdrowy i że wszystko jest w miarę dobrze. To pozwala mi skupić się na radości, a nie na smutku. Jak powiedział Viktor Frankl, człowiek nie potrzebuje życia bez bólu, lecz życia pełnego sensu. To daje mi siłę do cieszenia się każdą drobną radością, która mnie spotyka. Teraz zawsze szukam sensu i radości, nawet w trudnych momentach. To pozwala mi iść naprzód i doceniać życie.



Rozmowa z książki Beaty Biały *Męskie gadanie*, Rebis, Poznań 2024

WYDARZENIE

31. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Piotr Wojtasik Quintet – premiera *Inscape*

Od przeszło 40 lat Piotr Wojtasik, wirtuoz trąbki, znakomity improwizator i kompozytor, przemawia niepowtarzalnym muzycznym językiem. Stale współpracuje z takimi artystami jak Steve McCraven, Nicolas Simion, John Betsch, Michał Miśkiewicz, Kazimierz Jonkisz czy Michał Tokaj, do współpracy zaprasza go też legendarny saksofonista Billy Harper. Polski trębacz brał także udział w licznych projektach specjalnych z udziałem takich gigantów światowego jazzu jak Kenny Garrett, Joe Lovano i Archie Shepp. Na konczie ma 14 autorskich płyt, które zdobyły wysokie oceny krytyków i melomanów, oraz wiele nagrań gościnnych. Jego premierowy album „*Inscape*” to sześć kompozycji na kwintet jazzowy, odnoszących się do jazzu modalnego, estetyki Milesa Davisa czy współczesnych broken rhythms.

(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl,www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 9 sierpnia, godz. 19

SERIAL

Fundacja, trzeci sezon, AppleTV+



Po dwóch sezonach „Fundacja” wreszcie znalazła właściwy bieg – twórcy ekranizują fabułę znaną czytelnikom z książki „Fundacja i Imperium”. Choć akcja dzieje się ponad sto lat od finału poprzedniego sezonu, na ekranie znowu zobaczymy te same twarze, nawet jeśli ich postacie zostaną ukazane zupełnie inaczej (m.in. są to Jared Harris, Lee Pace czy Laura Birn). Tym razem tytułowa Fundacja będzie musiała zmierzyć się z zagrożeniem, którego nie był w stanie przewidzieć nawet sam Hari Seldon, wizjoner odpowiedzialny za wszystkie obliczenia i twórca utopii, której celem było przetrwanie wszelkich galaktycznych kryzysów. Zatem „Fundacja” ukazuje moment, kiedy nawet matematyka nie pomoże w szukaniu ratunku. Co ciekawe, część zdjęć była realizowana w Polsce – choćby sceny zgrupowań rady galaktycznej były kręcone w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. To tylko jeden z powodów, dla których warto zapoznać się z serialem Apple’a.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Świat na krawędzi

Siedzi przy długim stole z krwawiącym sercem. Zmaga się ze swoją rozpaczą, najpierw samotnie, a potem dzieli się nią ze służącą Dorotą, próbującą wesprzeć podpadającą na duchu i zdrowiu panią. To jest matka usidlona przez zaborczą miłość. Gotowa na wszystko, aby nieba przychylić synowi, choć świadoma jego intelektualnego imposybilizmu. Coraz mniej władczą, coraz bardziej bezwolną, zżerana chorobą alkoholową i niezdrową miłością wiedeń w oczach. Pod koniec w obłąkańczym tańcu z Leonem jest już żywym trupem. Krystyna Janda po mistrzowsku ukazuje postępujący rozpad osobowości, proces rozkładu. To wielka, sugestywna rola i już tylko dla niej ten spektakl stanowi dostatecznie silną pokusę dla widza.

Na scenie toczy się walka o wszystko. Z jednej strony Matka, a obok niej świetna jako jej cień służąca Dorota (Małgorzata Rożniatowska), trzymające swoje kreacje w granicach realistycznej konwencji. Z drugiej strony niepoehamowani w ekspresjonistycznym szaleństwie Leon (Tomasz Tyndyk), panna Plejtus (Agnieszka Skrzypczak) i milionerka Beer (Katarzyna Gnievkowska). Z jeszcze innej – surrealistyczny ojciec Plejtusówny (Jarosław Boberek) i absurdalni kochankowie panny Plejtus. Wszyscy z różnych estetycznych światów, a jednak złączeni węzłami namiętych relacji i interesów, które mo-

że zwieńczyć tylko dobijająca się do drzwi katastrofa. To świat na krawędzi, który nie zna dróg ratunku.

W finale spektakl uwiarygodnia Witkacowskie przesłanie – oto jednostka skazana jest na unicestwienie indywidualności, na roztopienie w nikadości, zniknięcie w tłumie i jedynie ulotny sen pozwala na chwilę ucieczki.

Tomasz Miłkowski



Stanisław Ignacy Witkiewicz,
„Matka”, reżyseria i scenografia
Waldemar Zawodzieński, Teatr
Polonia, premiera 6 czerwca 2025

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Uzależnieni gonią za mirażem

Nikt nie siada do picia z myślą:
o fajnie, teraz zostanę sobie alkoholikiem

Rozmawia
Monika Stawecka

Zajmuje się pani kwestią uzależnień od ponad 30 lat, edukowała się pani m.in. na Antioch University w Los Angeles.

– To właśnie ze Stanów Zjednoczonych przywiozłam wiedzę o leczeniu uzależnień, zwłaszcza alkoholizmu. I przez całą karierę zawodową prowadzę ludzi uzależnionych. Alkoholicy to najinteligentniejsi ludzie jakich znam. Mają mnóstwo usprawiedliwień dla swojego nałogu i przy tym ogromną kreatywność. Niestety, to trudna choroba, która dotyka coraz większą liczbę osób. Naraża na straty materialne, wypadki, ciężkie choroby. Ale uzależnieniem jest też obsesja władzy, kłamanie. Mogę zaryzykować twierdzenie, że kłamca niczym nie różni się od narkomana – ma taką samą słabość i takie samo przyzwyczajenie do czegoś, co jest dla niego destrukcyjne, co mu szkodzi. O ile daliśmy się przekonać, że depresja jest chorobą, która dopada człowieka bez jego winy, o tyle nałogowe picie, surfowanie po internecie czy patologiczny hazard lub zakupoholizm wciąż uważa się za wynik samowoli.

Na ile genetyka wpływa na nasze uzależnienie? Czy w przypadku, gdy któryś z rodziców był pijący, jesteśmy bardziej podatni?

– Tak, ze względu na to, że każde uzależnienie ma polietiologiczną naturę. Czyli jest kilka przyczyn, które składają się na chorobę alkoholową. Jedną z trzech przyczyn, chociaż obecnie mówi się już o czterech, jest kwestia genetyczna. (...) Chemia naszego orgazmu jest warunkowana



DR EWA WOŹDYŁŁO-OSIATYŃSKA

– doktor psychologii i terapeutka uzależnień. Od 1987 r. związana z Ośrodkiem Terapii Uzależnień Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Pracuje w Fundacji im. Stefana Batorego, gdzie koordynuje Regionalny Program Przeciwdziałania Uzależnieniom.

poprzez nasze wewnętrzne predyspozycje. Genetyka odgrywa pewną rolę, ale nie decyduje o uzależnieniu.

Co w takim razie decyduje o naszym uzależnieniu?

– Czynniki społeczny – rodzina, przyjaciele, kraj, w którym żyjemy, sklepy, do których uczęszczamy, reklamy, które oglądamy. A jak wiadomo, żyjemy w kulturze alkoholu, dlatego więc dziwimy się, że ludzie piją? W Polsce kto nie pije, jest dziwakiem. Picie jest dla nas formą

spędzania wolnego czasu, a nie jak kiedyś, świętowania jakichś okoliczności. Teraz świętem jest dla nas butelka trunku. Drugim czynnikiem jest uczestniczenie w picu. Jestem, przyglądam się, a ostatecznie dołączam do reszty. Trzeci czynnik odpowiada naszej psychologii, wyobraźmy sobie teraz, że mamy skłonności do dwóch pierwszych, czyli np. żyjemy w rodzinie alkoholowej, ale w naszym życiu pojawia się jakaś postać, babci, trenera czy sąsiadki, która ma na nas autorytarny wpływ.

Spróbujmy to prześledzić na przykładzie.

– Dziecko uderza się w kolano, normalnie usłyszałoby: „Prze stań, nie płacz, nic ci nie jest”. Więc taki chłopczyk dusi w sobie te emocje, bo nie wypada ich uzewnętrzniać. A teraz w domu obok rozgrywa się podobna sytuacja, w której mama mówi: „Ojej, chodź tutaj szybko, pochuchamy, zrobimy opatrunek”. Takie dziecko zostaje prawidłowo zabezpieczone, wie, co musi zrobić, gdy stłucze kolanko, że jeśli boli, to musi o tym powiedzieć czy też się wyplakać. Okazanie troski i przyzwolenie dziecku na prawdziwe emocje przyniesie

zbawienny wpływ na jego psychikę i przyszłość. Takie dziecko, a w przyszłości mężczyzna, nie będzie musiało szukać ujęcia dla swoich emocji, nie będzie zmuszone do próby ich przełknięcia. Reasumując, tłumienie jakichkolwiek emocji, zwłaszcza w momencie ich rozwoju i nauki ich nazewnictwa w przypadku dziecka, sprawi, że w przyszłości nie będzie ono wiedziało, co czuje.

Większość mężczyzn ma z tym problemy.

– Dokładnie, moi pacjenci nie potrafili spisywać dzienniczka uczuć, a to ważny element wychodzenia z nałogu. Siedzieli nad białą kartką i nie potrafili nazwać swoich emocji. Bo mężczyzna ma dwa uczucia – dobre i złe. Dlatego niezbędnym ćwiczeniem jest spisywanie uczuć i rozmowa o nich, nauka ich nazewnictwa. A mamy ponad 100 stanów emocjonalnych. Niesamowicie patrzy się na to, jak w trakcie terapii ludzie łapią, o co chodzi, a kiedy wiedzą, co się z nimi dzieje, leczenie przychodzi im szybciej i łatwiej.

Pomyślałam sobie, o ile więcej byłoby uratowanych związków i małżeństw, gdyby każdy mężczyzna podjął podobną naukę.

– Zdecydowanie więcej. Nazywanie uczuć jest niezbędnym elementem naszego funkcjonowania, a co dopiero mówić o życiu w relacji z drugim człowiekiem.

Dlaczego mężczyźni rezygnują z bycia z kobietą obciążoną chorobą alkoholową, a kobiety wręcz odwrotnie – stoją murem za takimi partnerami?

– Amerykanie robili wiele badań na ten temat, statystyki są nieubłagane, na 10 małżeństw, w których mężczyzna zmagają się z nałogiem, jedno

dzieje z takim chorym? Wyciągamy go z długów, z rynsztoku, licznych knajp. Do tego musimy żyć z lękiem, który cały czas będzie nam towarzyszyć: czy i kiedy znowu się napije?

Mężczyzna się do tego nie nadaje.

– Kobieta ma mężczyźnie służyć, nie odwrotnie. Znam małżeństwo zrodzone z wielkiej, niesamowitej miłości. Przyjeżdżam do tej rodziny

Człowiek zaczyna myśleć o alkoholu, żeby się go wieczorem napić, bo kto myśli o zjedzeniu ziemniaka po przyjściu z pracy?

przy okazji jakiejś uroczystości i dowiaduję się od teścia tej kobiety: no, niestety, oszukała nas, jak brała ślub z X, nie powiedziała, że ma problem z kolanem.

Kolano jest symbolem czegoś?

– Nie! Naprawdę chodziło o kolano. Dziewczyna za młodu przewróciła się na nartach i kontuzja wyszła po latach. A rodzina: jak to? To ona teraz będzie chodziła po lekarzach? Niczego nie może dźwigać? Teś patrzył na nią jak na oszustkę. I myślę, że gdyby rodzina wiedziała, że będzie miała w przyszłości taki problem, nie przyjęłaby jej do swojego grona. Kobieta musi pracować i taką rolę odgrywa wszędzie na świecie.

fizjologiczną, odmienną od męskiej. Często, żeby zadziałać na wyobraźnię interlokutorów, tłumacząc różnicę. Mężczyzna jest jak stara maszyna do pisania marki Remington, kobieta jest jak komputer najnowszej generacji. Jeżeli tam dostanie się jakieś obce ciało, nie ma prostej metody, by go naprawić. Organizm kobiety jest dużo bardziej złożony i można

go szybciej i łatwiej uszkodzić. Nie zapominajmy, że alkohol jest toksyną, która działa na nasz organizm w wielu przypadkach fenomenalnie. Więc nie ma co się dziwić, że każdy lubi spożywanie, z jakimiś małymi wyjątkami. Przy czym jak ktoś polubi, nie staje się od razu alkoholikiem. **Kto może wychwycić u siebie symptomy choroby alkoholowej?**

– Osoba, która zacznie alkoholu potrzebować dla jego dobrego działania. Zaczynam pić, bo mam w pamięci stan, kiedy czułam się weselej, a bez tego jestem smutniejsza, nieśmiała. Albo jak się napiję, to dopiero mam cudowny sukces, bo mogę się rozebrać i nie wstydzić się swojego ciała, staję się wyuzdana. Jak się nie napiję i mam jasną głowę, wstydzę się rozebrać, bo to np. grzech. Alkohol nam to szalenie ułatwia. Nie narodziłoby się tyle cudownych przyjaźni i związków, gdyby nie wpływ alkoholu na ludzi.

Jaki jest pierwszy objaw choroby alkoholowej?

– Człowiek zaczyna myśleć o alkoholu, o tym, żeby się go wieczorem napić, no bo kto z nas myśli o zjedzeniu ziemniaka po przyjściu z pracy? Chcemy się nagrodzić, dać sobie odrobinę luzu po ciężkim dniu, wypełnionym licznymi obowiązkami. A po pierwszej lampce wina, kiedy mózgowi zaczyna być dobrze, włącza się myślenie: a co mi tam, wypiję więcej, będzie mi jeszcze lepiej.

Dlaczego kobiety ukrywają się z picciem?

– Dlatego że za picie alkoholu spotyka je wiele przykrości. Kobieta pijąca, a na pewno już pijana, ▶

Picie jest dla nas formą spędzania wolnego czasu, a nie jak kiedyś, świętowania jakichś okoliczności.

kończy się rozwodem, w przypadku gdy to kobieta jest obciążona chorobą alkoholową, proporcje odwracają się do skali 1:10.

Na 10 małżeństw tylko jedno ma szansę przetrwać?

– Niestety, mam na to potwierdzenie w rzeczywistości. Widzę, jak rzadko mężczyźni przychodzą z prośbą o leczenie swoich żon z nałogu. Mężczyźni nie są zaangażowani w chorobę kobiety, bo to kobieta ma ich wspierać, być dla nich podporą. A to wszystko nasza wina, bo nie wychowujemy chłopców, późniejszych mężczyzn, na opiekunów kogokolwiek. A alkoholik wymaga opieki, jak dziecko. Opieki wymagającej i uczciwej wobec chorego. A co się

Jestem w Afryce, przy poboczu siedzą i palą sami mężczyźni, gdzie są kobiety?

Kobiety pracują.

– Ano właśnie. Kobiety wychowują dzieci, sprzątają, gotują. A ci mężczyźni stoją przy szosie i czekają, żeby coś się wydarzyło. (...)

Czy tego typu kobiety taki stan rzeczy może doprowadzić do choroby alkoholowej?

– Umówmy się, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni zapadają w chorobę alkoholową przypadkiem. Nikt nie siada do picia z myślą: o fajnie, teraz zostanę sobie alkoholikiem. Nie ma takiego przypadku. Natomiast kobiety uzależniają się od alkoholu szybciej ze względu na kwestię

► zyskuje etykietkę ulicznicy, kobiety zepsutej itd. Takie kobiety traktuje się pogardliwie, wyzywa od wariatów. Czy to źle? Nie powiem, że tak, bo niektóre z nich, gdy dotrą do nich te sygnały, zaczynają pracę nad sobą. Ostracyzm społeczny staje się hamulcem, ale też pułapką ukrywania się ze swoim piciem. A brak empatii dla kobiet uzależnionych rodzi w nich ogromny wstyd. Człowiek uzależniony z definicji nie lubi samego siebie, ale otoczenie ma na niego wpływ. Jeśli rodzina wesprze, zrozumie i zaakceptuje problem, to jest spora szansa, że chory odważy się pójść na terapię.

i wtedy się upija, też może w końcu mieć problem. Za każdym razem utrata kontroli nad sobą sprawia, że stajemy się coraz bliżej bycia nałogowcami.

Czym jest dla alkoholika picie?

– Gonieniem mirażu. Chęcią przywrócenia uczucia przyjemności jeszcze z czasów, gdy nie byliśmy alkoholikiem. Kiedy zaczynaliśmy brać pierwsze tyki, ciepło rozlewało się po naszym organizmie i zaczynaliśmy mieć poczucie, że możemy wszystko. Dlaczego kierowcy przekraczają prędkość po spożyciu? Rządzi nimi fałszywe przekonanie, że świetnie się czują i że wszystko

– Trudniej im się przyznać do słabości i dlatego później zaczynają szukać pomocy. Jeśli jednak rozpoczną leczenie, wówczas – zwłaszcza na początku – niektórzy uważają się za lepszych od innych pijących. Zdarza się, że nie chcą uczestniczyć w terapii grupowej, która jest podstawową metodą leczenia uzależnień. Interesują ich elitarne grupy wsparcia dla „lepszych” alkoholików. Ponadto osobom na eksponowanych stanowiskach łatwiej ukryć chorobę, mają bowiem większą możliwość manipulowania otoczeniem. Nie muszą być w pracy o określonej godzinie, wykonują zadania lub wydają polecenia przez telefon, dzięki czemu mogą np. długo ukrywać kaca. Strach przed końcem kariery utrudnia powszechnie znanym osobom przyznanie się do słabości. Politycy i biznesmeni obawiają się, że ujawniając swoją chorobę, zdyskredytują się w oczach opinii publicznej, a co się z tym wiąże – zostaną uznani za osoby nieodpowiedzialne, które nie mogą pełnić ważnych funkcji społecznych. Częściej otwarcie o alkoholizmie opowiadają drobni biznesmeni, urzędnicy i artyści. Ci ostatni nie starają się ukrywać choroby wierząc, że mówiąc o niej pomogą innym. Od lat osoby uzależnione wspierane są w ten sposób przez Stanisławę Celińską i Daniela Olbrychskiego. (...)

Czy utożsamianie się z chorobą alkoholową znanych, lubianych ludzi może pomóc nam wyjść z nałogu?

– Przyznanie się znanych i często wielbionych osób do słabości ma ogromne znaczenie w terapii ludzi uzależnionych. Gdy opowiadają o tym autorytety życia publicznego, pokazują innym borykającym się z tym problemem, że jest to „demokratyczna” choroba – nie dotyczy tylko marginesu społecznego, może dotknąć każdego. Swoim przykładem uświadamiają, że nie musi się ona skończyć pod ławką czy w rynsztoku.

Tłumienie emocji w przypadku dziecka sprawi, że w przyszłości nie będzie ono wiedziało, co czuje.

Na taki scenariusz może liczyć uzależniony mężczyzna. Natomiast uzależniona kobieta musi liczyć się z tym, że rodzina dołoży jej zmarła. Ona dźwiga na swoich barkach wstyd, który wynika z samej choroby, a kiedy dodatkowo słyszy epitety, takie jak „zła matka”, „zła żona”, czuje się jeszcze gorzej. Zamyka się w sobie, chce ukryć swój problem, jest jej jeszcze trudniej przyznać się do niego i sięgnąć po pomoc specjalisty. Nawet matkom dorosłych kobiet brakuje empatii. Łatwiej im współczuć zięciom, niż zrozumieć własną córkę! (...)

Czym jest nałóg?

– Wszystkim tym, co robię, co mam w sobie, jak się czuję. Te trzy rzeczy splecione ze sobą mają na nas wpływ, ale nie do końca je kontrolujemy. Pierwsze reaguje otoczenie, które mówi: hej, martwimy się o ciebie, bo ostatnio coś za dużo pijesz. Dlatego ważne, by nie wchodzić w rutynę, nie pić codziennie. W przypadku, gdy ktoś pije raz w tygodniu

kontrolują. Pracując przez sześć lat w Genewie, miałam świetne materiały pokazujące wpływ alkoholu na człowieka. Do badania podeszło trzech fantastycznych pilotów samolotów rejsowych, którzy przejechali się symulatorami. Wynik był zawsze ponad 90%. Po tym teście podano im jedynie 25 mg wódki i poproszono o wykonanie tej samej symulacji lotu po ośmiu godzinach. Wyniki spadły o co najmniej połowę! Bo enzym, który uruchamia się po wypiciu alkoholu, wpływa również na naszą inteligencję, czujność, reakcje. Powoduje to nawet najmniejsza ilość alkoholu. (...)

Dlaczego ludzie zapomnieli o fakcie, że alkohol zabija?

– Słyszała pani również o tym, że alkohol jest dla ludzi? U nas panuje takie właśnie silne przekonanie. Dlatego świadomie decydujemy, które hasło ma nas i nasze potrzeby odzwierciedlać. To, co jest w nas osadzone głębiej, co zadecyduje za jakim sloganem pójdziemy, jest bardzo przypadkowe, bo nie do końca wiemy, co się w nas wsączyło, gdy byliśmy dziećmi, a później dorastającymi nastolatkami.

Dlaczego inteligentnym, wysoko postawionym osobom trudniej jest wyjść z nałogu niż ludziom prostym?



Fragmenty rozmowy z książką Moniki Sławeckiej *Alkohol. Piekło kobiet*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2025

Przepraszamy!

W 31. numerze „Przeglądu” błędnie podaliśmy imię Michała Dobrołowicza, autora przedrukowanej rozmowy z Lucyną Kicińską. Autora, wydawnictwo Prószyński i S-ka oraz czytelników serdecznie przepraszamy.



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczek

Zakwaterowanie

„Mam już grób, wreszcie mogę spać spokojnie”, mówi Siostra, spoglądając na parafialne zaświadczenie wykupu i rezerwacji miejsca na cmentarzu na 20 lat. Siostra, która przeżyła już wszystkie złowieszcze diagnozy i prognozy lekarskie, żyjąca od trzech lat ze złośliwym nowotworem i jego dwoma przerzutami – dzięki temu, co powszechnie zwykło się nazywać „walką z rakiem”, a co oznacza mozolne poznawanie nowych progów bólu, nowych wymiarów własnej cierpliwości, czyli w tym wypadku zdolności do znoszenia cierpień, a także wolę życia, pozwalającą wytrzymać rekordowe ilości wlewów chemii paliatywnej i jej konsekwencje. Siostra trzyma się życia tak mocno, że nawet śmierć ją podziwia i wciąż przygląda się jej z bezpiecznej odległości. Siostra, która jest już legendą oddziału onkologicznego, pociechą dla strapiionych pacjentów, ulubienicą pielęgniarek i zagwozdką lekarzy, poszła osobiście do proboszcza pobliskiej parafii, aby „przed śmiercią załatwić kilka spraw”.

„Chodź ze mną na cmentarz, zobaczmy, gdzie będę sobie leżała”, mówi i podaje mi papier, na którym widnieje sektor, rząd i numer miejsca. Idziemy; cmentarz ładnie im dalej od bramy wejściowej, bo więcej miejsca, zielono, a tujowa aleja nie zasłania widoku na Klimczok. „Popatrz jak pięknie, będziesz mógł sobie tu przychodzić popisać na ławeczce. Bo będziesz przychodził do mnie, prawda?”, upewnia się Siostra, a ja jej mówię, że jeśli zdarzy mi się ją przeżyć, co przy jej nadprzyrodzonej odporności wcale nie jest takie oczywiste... „Och weź już, przestań – strofuje mnie Siostra. – Musisz do mnie przychodzić, bo sama tu się zanudzę”.

Dochodzimy do wyznaczonej kwatery, patrzymy na oznaczenia, liczymy i... jest. „Ty, ale tu ktoś leży”, mówi Siostra i faktycznie – pan Jerzy, umarł półtora miesiąca temu, a już się zadomowił, nagrobek ma, kwiaty i znicze, wygląda, jakby tu leżał z dawien dawna. Sprawdzamy jeszcze raz, liczymy, nic się nie zmienia. Siostra, by tak rzec, skonfundowana, ja próbuję rozładować atmosferę i mówię do pana Jerzego, żeby niezwłocznie opuścił miejsce, które bezprawnie zajmuje. Siostra przysiadła

na ławeczce, na której mam w przyszłości ja zasiadać, żeby popisać (skąd jej przyszło do głowy, że będzie mi się dobrze pisało na cmentarzu, właściwie nie wiem, Siostra wierzy w moją pracowitość, myśli, że pisarz pisze zawsze i wszędzie, właściwie to ma rację, bo pisarz pisze zwłaszcza wtedy, kiedy nie pisze, niech jej będzie, będę tu przychodził z laptopem).

„Coś tu nie gra”, mówi Siostra i wyjmując telefon, dzwoni do proboszcza, który przed chwilą sprzedał był jej grób już zajęty, ale odbiera jakiś inny ksiądz i mówi, że proboszcz już wyjechał, nie ma, jutro będzie, po sumie. „Pewnie się pomylił, nie przejmuj się, jutro wszystko się wyjaśni”, mówię, a Siostra kiwa głową wyrozumiale. „No tak, to świeży grób, może jeszcze nie nanieśli na mapę cmentarza... No przecież by mnie nie oszukał, taki był miły, mówił, że mnie odprowadzi...”. „No ale przecież cię nie odprowadził”. „Do życia wiecznego, nie do samochodu, ty durny. Ksiądz się nie zajmuje odprowadzaniem doczesnym”, mówi Siostra.

Siedzimy tak sobie nad panem Jerzym i rzeczywiście tu ładnie, jest parę wolnych miejsc obok, obstawiamy numery, ja typuję siódmkę, bo to najbliższa wolna od prawej, Siostra mówi: „Byłe nie trzynastka, już dość pecha za życia miałam”. W międzyczasie oddzwania pan z zakładu pogrzebowego, w którym Siostra chce się spalić; okazuje się, że zupełnie przypadkiem to znajomy mojego przyjaciela, by tak rzec: czarny trefniś, w czasie covidu miał taką bonanzę, że mawiał: „Ludzie tak teraz umierają, że aż chce się żyć”. Przyjaciel wymyślił mu nazwę „Martwy Sezon”, ale nie przeszła. Tak czy owak Siostra znowu spokojna, bo nie musi się martwić o krematorium, znajomy przyjaciela zapewnia, że wszystko zmieści się w ramach zasiłku, nawet jak ceny gazu pójdą w górę, mówię, że trzymam go za słowo, i czuję, jakbym się z taksówkarzem dogadał na kurs. Oddzwania proboszcz, przeprosza za pomyłkę: trafiłem, siódmka. „Mam już grób, mogę spać spokojnie”, powtarza Siostra, żegnamy się z panem Jerzym, wiatr znad Klimczoka porusza czubki żywotników. ■

Mam już grób, mogę spać spokojnie.

SKLEP PRZEGLĄDU

sklep.tygodnikprzeglad.pl



Bogata oferta i najlepsze ceny:

ZAWSZE
W ZASIĘGU RĘKI

książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie

Światowy fenomen

Seriale znad Bosforu to społeczne, historyczne i propagandowe lustro współczesnej Turcji

Chrystian Ślusarczyk

Czym się różnią skwery z osiedlowymi ławkami w bośniackim Mostarze, Władywostoku, Santiago de Chile czy Piotrkowie Trybunalskim? Na pierwszy rzut oka – wszystkim. Inne otoczenie, pogoda i przyroda, inne języki plotkujących na ławeczkach mieszkańców. Jest jednak coś, co od kilkunastu lat, tych znudzonych codziennością ludzi, łączy. Tym międzykontynentalnym spoiwem są tureckie seriale.

W wielu krajach te tasiemcowe produkcje, jak „Wspaniałe stulecie” (139 odcinków), nazywane są operami mydlanymi. W Turcji takie określenia spotykają się z – mniej lub bardziej gwałtownym – sprzeciwem.

Dr Arzu Özturkmen, historyczka i socjolożka z Uniwersytetu Boğaziçi w Stambule, w wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana” tak określiła te produkcje: „To, co Turcja daje współczesnej telewizji, to na pewno nie opera mydlana, telenowela ani jakiś dramat kostiumowy. To nic innego jak *dizi*, co po turecku znaczy po prostu serial. To »gatunek w trakcie rozwoju«. Cechuje go wielka różnorodność tematyczna, unikatowa narracja, wykorzystanie przestrzeni i muzyka. I w tym tkwi tajemnica popularności naszych seriali”.

Kosmiczne zyski i niechęć prezydenta

Od lat 2005-2006 tureckie seriale przeżywają prawdziwy bum. Ich sukces jest tak wielki, że początkowo nawet samym producentom i aktorom trudno było weń uwierzyć. Według Tureckiego Związku Eksporterów Usług (Türkiye Hizmet Ihracatçıları Birliği) są one dziś wyświetlane w prawie 180 krajach.

W 2023 r. obroty tureckiej branży filmowej, głównie serialowej, wyniosły ok. 600 mln dol., a w 2024 r. zbliżyły się do miliarda. Wszystko wskazuje na to, że ten rok przyniesie Turcji jeszcze większe zyski. Zdaniem tureckiego ministra handlu Ömera Bolata na początku 2025 r. tureckie seriale „na bieżąco” oglądało 800 mln widzów na wszystkich kontynentach.

Wśród pierwszych importerów tureckich tasiemców znalazły się – co nie dziwi – kraje ze świata muzułmańskiego: Azerbejdżan i Kazachstan. Takie tytuły jak: „Ezel”, „Tysiąc i jedna noc” „Czarna perła” oraz „Wspaniałe stulecie” szybko stały się hitami na Bałkanach, głównie w Bośni i Hercegowinie. Także w Rosji, choć seriali produkuje się tam bez liku, tureckie wyrugowały rodzimą produkcję. Kilka lat temu podobnie było w Ameryce Łacińskiej i Środkowej. Tamtejsze seriale, znane także w Europie, szybko ustąpiły miejsca tureckim.

Według Parrot Analytics, firmy analitycznej zajmującej się globalnym rozwojem branży rozrywkowej, popyt na tureckie seriale w latach 2000-2024 wzrósł niemal 200-krotnie!

Organ nadzorujący media – RTÜK – podaje, że Turcy oglądają telewizję średnio przez cztery godziny dziennie, a znaczną część tego czasu poświęcają na rodzime seriale w tzw. *prime time*, przy czym ponad 70% tureckich gospodarstw domowych korzysta z serwisów streamingowych.

Prezydent Recep Tayyip Erdoğan nie kryje pogardy dla tej twórczości. Niektóre seriale są wręcz według niego zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Od jakiegoś czasu nazywa je też islamofobicznymi. Głowie państwa i zapewne jego małżonka nie podobają się Turczynki

w spódniczkach mini, umawiające się na niezobowiązujące randki i robiące kariery w ultranowoczesnych biurach z widokiem na Bosfor.

Hakkı Taş z Instytutu Studiów Regionalnych i Globalnych w Hamburgu zwraca uwagę, że coraz częściej, ze względu na rzekomo antymuzułmańską tematykę seriali, dochodzi do nakładania kar na ich producentów. Pod koniec 2023 r. stało się tak w przypadku tytułu „Szkarałatne paki”. Najpierw na producentów nałożono surowe kary finansowe (275 tys. euro), a potem zakazano jego emisji.

W przeszłości RTÜK nierzadko karał za naruszenie tureckich wartości moralnych i rodzinnych. Obrywało się również społeczności LGBTQ+. Choć partie opozycyjne od lat krytykują ten organ za ograniczanie wolności mediów, RTÜK pozostaje wciąż „nie do ruszenia”. Ostatnio władze dodatkowo intensyfikują monitoring agencji, z którymi współpracują tureccy artyści. Ponad 20 z nich jest oskarżonych o domniemane zmywy i przestępstwa kartelowe.

Turcy urealniają marzenia

W Ankarze zdają sobie sprawę, że tureckie produkcje są oglądane z wielką uwagą, choć równie często bywają wyśmiewane. Jednak nikt sobie z tego nic sobie nie robi. Podczas gdy seriale produkowane przez prywatne wytwórnie poddawane są coraz większej presji, państwo intensywnie inwestuje we własne tasiemce. Każdego roku państwowa stacja telewizyjno-radiowa TRT zamawia dziesiątki seriali, które pokazują historię i wartości Turków z perspektywy islamsko-konserwatywnej. Przykładem może być tytuł „Ertuğrul zmartwychwstały”, który przedstawia losy tureckiego przywódcy z XIII w.



Nad Wisłą największą popularnością cieszyło się „Wspaniałe stulecie” (139 odcinków).

Produkcje państwowe są również wykorzystywane do ocerniania krytyków systemu lub przedstawiania ich w negatywnym świetle. Jednym z najbardziej wymownych przykładów może być serial TRT „Meta-morfoza”, w którym przedsiębiorca i obrońca praw człowieka Osman Kavala, skazany na osiem lat więzienia, został wykreowany na wroga państwa. Według mieszkającego w Niemczech politologa Hakki Taşa turecki rząd próbuje narzucić społeczeństwu styl życia odpowiadający wartościom prezentowanym przez rządzącą Partię Sprawiedliwości i Rozwoju. „Seriale odbiegające od tej normy powinny być tłamszone w zarodku za pomocą rozmaitych nacisków. Po sukcesie opozycji w ostatnich wyborach samorządowych trend ten stał się jeszcze bardziej widoczny”, komentuje Taş.

Cokolwiek jednak władze by robiły, tureckie seriale, zarówno te produkowane przez stację prywatne, jak i państwową TRT, wciąż cieszą się gigantycznym zainteresowaniem. Media na całym świecie prześcigają się w próbach tłumaczenia ich popularności. Na Bałkanach można usłyszeć, że „pokazują bliską ich mieszkańcom kulturę, tradycję i codzienność, tylko

znacznie lepiej... opakowaną”. A seriale historyczne to przecież także bałkańska przeszłość. W Ameryce Łacińskiej dominuje pogląd, że „turecka serialowa rzeczywistość jest piękna, akcja toczy się w eleganckich wnętrzach wytwornych rezydencji czy apartamentowców, a bohaterowie to atrakcyjne i zadbane kobiety oraz ich superprzystojni partnerzy”. Wpływ seriali na mieszkańców tej części świata jest ogromny – nierzadko przyczyniają się one do zmiany

kulturowe oraz religijne się zacierają – coraz mocniej wpływa na nie europeizacja. Na portalu stykkultur.pl ten fenomen trafnie opisuje Agnieszka Maury: „Muzułmanki wywodzące się z konserwatywnych środowisk traktują seriale jako symbol wyzwolenia z opresyjnego środowiska. Produkcje zwiększają również przepaść pomiędzy światopoglądem młodych kobiet, a ich matek oraz babć”. Autorka i pisarka znająca tureckie realia, podaje też

W 2023 r. obroty tureckiej branży filmowej i serialowej wyniosły 600 mln dol., rok później zbliżyły się do miliarda.

ich sposobu życia. Charakterystycznym elementem życiorysów dbających o niezależność bohaterek tych produkcji jest jednocześnie poszukiwanie potwierdzenia swojej wartości w oczach mężczyzn.

W wielu muzułmańskich krajach arabskich oraz w Pakistanie czy Iranie również dominuje narracja, że „turecka serialowa rzeczywistość jest niemal baśniowa i trzeba do niej (choć nie do końca wiadomo jak) dążyć”. Ttelewidzom z Arabii Saudyjskiej Turcja jawi się jako kraj muzułmański, którego wartości

konkretny przykład tego, jak dalece seriale wpływają na ich odbiorców: „W Pakistanie tureckie seriale przyczyniają się do zmiany ubioru, uczesania, nawyków żywieniowych, a nawet stylu ceremonii ślubnych. Duża liczba widzów w tym kraju reprezentuje chęć adaptacji różnic kulturowych oraz przyzwyczajęń tureckich bohaterów serialowych. Większość osób traktuje ich oglądanie jako formę rozrywki, ale wiele z nich angażuje się emocjonalnie w życie bohaterów i utożsamia się z nimi”.

► Fenomen Pera Palace

Jesteśmy w europejskiej części Stambułu, w tętniącej życiem dzielnicy Beyoğlu, która rozciąga się od mostu Galata po plac Taksim. Około 100 kobiet i mężczyzn w różnym wieku zebrało się przed marmurowymi schodami w holu hotelu Pera Palace w Stambule – perle tureckiej

Na początku 2025 r. tureckie seriale „na bieżąco” oglądało 800 mln widzów na wszystkich kontynentach.

secesji. Wszyscy z zainteresowaniem wpatrują się w 130-letnią, zadbaną windę elektryczną i bajeczną klatkę schodową.

Takie sytuacje w tym historycznym hotelu zdarzają się codziennie. W sezonie letnim chętnych do odwiedzenia Pera Palace jest więcej, zimą turystyczna intensywność nieco maleje. Pera Palace oraz otoczka tego miejsca spychają na dalszy plan wszystkie historie, mity i plotki związane z legendarnym Orient Expressem – tak bardzo przecież

związanym ze Stambułem. „Odkąd serial zaczął być emitowany, gościliśmy i gościmy dziesiątki tysięcy turystów z całego świata. Wielu z nich przyjechało do Stambułu tylko po to, by zobaczyć miejsce, w którym kręcono jeden z wielu tureckich seriali. Interesuje ich praktycznie wszystko, co jest związane z hotelem. Zwiedzający dziś Pera Palace dowiadują się

m.in., że hotel był pierwszym budynkiem w imperium osmańskim, poza pałacem sułtańskim, zasilanym elektrycznością. Nasi turyści, odwiedzając hotel, pragną zanurzyć się w historii. I z tego, co obserwuję, chyba wszystkim się to udaje”, mówi oprowadzający gości, posługujący się kilkoma językami, przewodnik.

Tytuł, o którym mówi, to „O północy w Pera Palace”. To starannie pod każdym względem nakręcony serial oparty na książce o tym samym tytule amerykańskiego pisarza

Charlesa Kinga. Akcja rozgrywa się w otwartym w 1895 r. hotelu, który w swoich pokojach i salonach gościł takie światowe osobistości jak: Agatha Christie, Alfred Hitchcock, Greta Garbo czy Ernest Hemingway. Dziś, wynajmując pokój nr 411 (aby tego dokonać, należy mieć wyjątkowe szczęście), nocujemy w tym samym miejscu, gdzie Christie miała napisać lwią część kryminału „Morderstwo w Orient Expressie”. W pokoju o powierzchni 46 m kw. zachowały się oryginalne meble z jej czasów, a także biblioteczka z książkami. Serial „O północy w Pera Palace” dostępny jest na różnych platformach streamingowych od marca 2022 r. Pierwszy sezon liczył osiem odcinków, a 12 września 2024 r. widzom udostępniono jego drugi sezon.

Tureckie seriale to dziś mocny łącznik kulturowy. To dzięki Turkom i ich *dizis* świat podbija coraz popularniejsze hasło: „Widzowie wszystkich krajów, łąćcie się!”.

Chrystian Ślusarczyk



W bieżącym numerze także:

- Rémy Carayol
Senegal na drodze do transformacji
- Hashim Bin Rashid
Kaszmir czeka na następny raz
- Vincent Ortiz
Ekwador wraca na drogę zależności
- Didier Ortolland
Amerykański kanał pod amerykańską kontrolą
- George Monbiot, Peter Hutchison
„Czynsz” i inne niejasności

Do nabycia w salonach prasowych empiiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl



Bociany na świeczniku

W Pentowie wszystko kręci się wokół tych ptaków

Tomasz Kłosowski

Podlaski Szlak Bociani nie biegnie wzdłuż Narwi. Jego trasa tylko zahacza o narwiańską dolinę, gdy płące się wzdłuż wschodniej granicy, od jednego obiektu uchodzącego za turystyczną atrakcję do drugiego. Bo to szlak turystyczny, nie bociani. Za to Narew jest prawdziwym szlakiem bocianim, a może raczej – rozciągniętą w przestrzeni metropolią tych ptaków, licznie i chętnie gniazdujących w jej dolinie. Bociany w ogóle skupiają się w dolinach rzek i w ich pobliżu, bo tu znajdują zapewniającą im wyżywienie mozaikę terenów podmokłych i suchych.

Mapa obrazująca obszar projektu LIFEciconiaPL – „Ochrona bociana białego w dolinach rzek wschodniej Polski”, prowadzonego w latach 2016-2020 przez Polskie Towarzystwo Ochrony Ptaków, obejmuje długie odcinki podlaskich rzek: Bugu, Biebrzy i Narwi (a także Omulwi i Płodownicy oraz Liwca), które stały się ostojami obszaru Natura 2000. Kropkami zaznaczono tu miejsca

gnieźdżenia się tych ptaków. Widać ich wyraźne skupiska, czasem wyglądające jak sznury koralików. To bocianie wioski.

Typowa w tych stronach wioska bociania to długa ulicówka, uczepona skarpy wysokiego brzegu rzeki albo granicy terenów zalewowych i stałego lądu przy niskich brzegach. Dziś w tych wioskach wiele słupów energetycznych, czasem nawet szeregi kolejnych, nosi na sobie czapki bocianich gniazd.

Tam, gdzie kiedyś było po kilka gniazd na budynkach, dziś widać bocianie kolonie na słupach.

Zawyki w powiecie białostockim są taką wioską, choć tu gniazd na słupach niewiele. Bociany od lat osiedlały się tu w zgoła inny sposób. Jest właśnie pierwsza połowa sierpnia, w większości gniazd pisklęta machają już skrzydłami niemal gotowymi do lotu, a tymczasem jakaś spóźniona para dopiero znosi gałęzie na fundament pod gniazdo. A jest nim komin drewnianej chaty z ładnym ganeczkiem, wyglądającej

jeszcze całkiem przyzwoicie i zdrowo, ale już niezamieszkaną. Na skromnym postaniu ptaki swawolą, jakby dopiero zaczynała się pora legowa. W głębi podwórka, na szczycie dachu niskiego chlewa – inne gniazdo, stare i najwyraźniej od lat nieużywane. A jeszcze nieco dalej – prawdziwy relikw podlaskości: stodoła okryta strzechą, która – jak słyszę od mojego przewodnika z PTO – jeszcze rok wcześniej była obciążona trzema czynnymi gniazdami.

Ale teraz dach się zapadł i tylko na ostatnim ocalałym szczycie widnieje pokaźne gniazdo, w którym bielą się plamy sporych piskląt.

Wokół nas resztki podlaskiej wiejskości. W cieniu kilku oskubanych przez bydło jabłonek stare, pordzewiałe wanny służące za poidła. Wala się stare koryta, koła od furmanek, resztki drewnianych płotów. Wśród tego – dla nas na swój sposób malowniczo – bałaganu, snują się ►

► krowy, w większości rodzimej czerwonej rasy, połyskujące w słońcu brązem. Dogląda ich niemłody już pasterz. Uczynny, niemający nam za złe fotografowania i kręcenia się po tym ni to obejściu, ni pastwisku. Chcemy uwiecznić gniazdo na stole zwieńczone gromadką piskląt, lecz te, zmęczone upałem, pokładły się i prawie ich nie widać.

– Ehe, zaraz się wam pokażą! – melduje opiekun krowiego stada i znika za stodołą.

Po chwili brzeg gniazda unosi się niebezpiecznie z jednej strony, a ze środka, niczym kipiące mleko, wyrasta puchata, biała i sycząca kula. Oburzone brutalną ingerencją młode boćki z sykami i klapaniem zaczynają machać skrzydłami, po czym padają i wtulają się w gniazdo tak mocno, że teraz wygląda na puste. Nie zdążyliśmy zrobić stosownego zdjęcia, a tymczasem pasterz wyłonił się zza stodoły z tęgim drągiem, którego użył podczas tej akcji, a który teraz

Krzyżyków niestety przybywa. Liczba bocianich par zmienia się z roku na rok, ale ogólna tendencja wskazuje, że jest ich coraz mniej. Łańcuszki czerwonych kótek oznaczających bocianie ulicówki są coraz krótsze, choć wciąż nie brak takich bocianich osiedli rozciągniętych przy wioskowych ulicach. Idąc od Zawyk w dół rzeki, są to: Końcowizna, Baciuty, Śliwno, Kruszewo, Radule. Dalej na zachód: Giełczyn, Ruś przy ujściu Biebrzy, Krzewo, Niewodowo, Siemień Nadrzeczny i cały szereg powiązanych ze sobą wsi poniżej Łomży. To tylko niektóre przykłady mieszczące się na obszarach Natura 2000 i dlatego zaznaczone na mapie. Klikając punkt, otwieramy notkę ze zdjęciem gniazda, na którym widać m.in. jego usytuowanie. Zdecydowanie przeważają te ulokowane na słupach.

Przeprowadzka bocianów z wiejskich dachów na uliczne słupy tylko po części wynikała z tego, że gniazda tych ptaków tkwiły przeważnie

gałęzi i spojone zaschniętym ptasim guanem w razie awarii jest trudno dostępne dla monterów.

Z tego względu zaczęto produkować i umieszczać na słupach platformy wyniesione ponad przewody. Bociany chętnie z nich korzystają, co nie przeszkadza im jednak czasem lokować gniazda na słupie, nieraz częściowo wspartego na latarni, mimo że na jednym z sąsiednich słupów tkwi nieużywana platforma. Zdarza im się też gniazdować na budynku, a gdy ten jest w budowie – nieraz na stojącym już, ale jeszcze nieużywanym kominie. Tak założone gniazda nie są mile widziane i bywają zrzucane przez właścicieli domów. Również tam, gdzie gniazdo tkwi na ocalałej jeszcze strzesze prawie już nieużywanej stodoły czy chlewa, ptaki czeka rychła eksmisja wobec rozbiórki lub zapadnięcia się obiektu – ku żalowi przyrodników romantyków, wzdychających do dawnych wiejskich krajobrazów.

Działacze PTOP nie wzdychają, tylko starają się uprzedzić niebezpieczne dla bocianów wydarzenia. Dlatego zawsze znajdują domy, na których dachach ptaki ulokowały gniazda skazane na niepewny los, i proponują właścicielom przeniesienie gniazda na gotowy słup, ustawiony w miejscu uzgodnionym z gospodarzem lub jego sąsiadami. Tam, gdzie kiedyś było po kilka gniazd na budynkach, dziś widać bocianie kolonie na słupach. Jak ta w Zawykach.

Słupy są wysokie – co bocianom służy – wszystkim o takim samym pokroju. Ptaki wyglądają na nich jak świece na świecznikach. Miłośnicy przyrody krzywią się na taki przejaw betonowej sztuczności, ale członkowie PTOP mówią: „Mamy chronić ptaki, a inaczej się nie da. Mieszkańcy wsi nie chcą już gniazd na dachach budynków”. Jak słyszymy, skupisko betonowych słupów na skraju wsi Zawyki to eksperyment, próba sprawdzenia, czy bociany zechcą się gnieździć blisko siebie, jak to robiły w epoce strzech. Wtedy nieraz kilka par osiedlało się na tym samym dachu. „A tutaj ze słupów się przeganiają, nie chcą bliskości sąsiadów”, zauważa szefowa projektu Edyta Kapowicz. Czemu

Na gniazda bocianie i przenoszenie ich na słupy rolnicy patrzą z pozycji korzyści i wygody.

cisnął w niedalekie pokrzywy. Na jego twarzy gości szeroki uśmiech, że taką nam zrobił przysługę, o jaką zresztą ani myśleliśmy go prosić. Przysługę zresztą niedźwiedzią, bo młode bociany pod wpływem stresu kładą się zawsze na gnieździe i nie wstają, dopóki nie nadlecą rodzice.

Zostawiwszy za sobą płoty w rozsypane, pokonujemy po kolei kilka pastuchów elektrycznych i wychodzimy na bezkresne narwiańskie łąki. Tu wyrasta przed nami cała kolonia wysokich betonowych słupów zwieńczonych bocianimi gniazdami na solidnych podstawach, poniżej których zaczepiono patrzące na cztery strony świata budki lęgowe. Te ostatnie zapewne dla wróbli i mazurków, które całymi koloniami gniazdują na parterze bocianich gniazd. Tutaj dla bocianów i wróbli przewidziano odrębne metraże. Przekroczyliśmy właśnie granicę dawnego i współczesnego ptasiego świata.

Na wspomnianej mapie czerwone kółka oznaczają zajęte gniazda, krzyżyki – niezajęte lub niepewne.

na strzechach starych, sypiących się budynków, zastępowanych nowymi, na których blaszanych czy krytych papą dachach trudno było ptakom umocować fundament pod gniazdo. Ale krytych słomą stodoł, noszących na sobie nawet po pięć gniazd, było jeszcze całkiem sporo, gdy bociany zaczęły się masowo przeprowadzać na słupy. Tę rewolucję spowodowała zmiana usytuowania przewodów sieci prądu trójfazowego niskiego napięcia. Dawniej trzy przewody takiej linii przymocowywano do słupów na różnej wysokości. Od pewnego czasu jednak poziomą poprzeczkę umieszcza się przy wierzchołku każdego słupa, gdzie przewody są przymocowane do izolatorów na tej samej wysokości. Powstaje więc poziome pasmo, które w miejscach podparcia przez słupy tworzy ażurowe platformy – solidne i sprężyste. A że bociany, jako żywe szybownice, najlepiej czują się powietrzu, to chętnie wybierają pod gniazdo taką wiszącą podstawę. Ku niezadowoleniu energetyków, bo miejsce pełne



W dolinie Narwi, w Pentowie, mieści się VII Europejska Wieś Bociania.

tak się dzieje? Czyżby przyjęty zwyczaj mieszkańców współczesnych wsi i willowych przedmieść, coraz mocniej oddzielających się od siebie kosztownymi płotami i bastionami iglaków?

Raczej nie, powód jest dużo bardziej prozaiczny: brak pokarmu. Bociany mają swoją mądrość i wiedzę, że jak nie ma czym nakarmić własnych dzieci, to lepiej nie mieć zbyt blisko sąsiada konkurującego o tę samą stołówkę. Współczesna gospodarka, zwłaszcza rolna, nie rozpieszcza. Po przeciwnej stronie Narwi ciągnie się Bagno Filipy, od dawna pocięte siecią rowów odwadniających. „Kiedyś to był wspaniały teren. A teraz, po melioracji, gospodarze co roku te rowy jeszcze pogłębiają. Klimat też robi swoje – coraz cieplejszy i suchszy. Bociania stołówka ubożeje”, zauważa Edyta Kapowicz, wieloletnie prezes PTOP.

Na gniazda bocianie i przenoszenie ich na słupy rolnicy też patrzą z pozycji korzyści i wygody. Bez czułości i sentymentalnych westchnień. Wykonawcy projektu muszą nieraz długo przekonywać gospodarza, że warto uratować gniazdo w jego obejściu. Ale z właścicielami domów różnie bywa. Jeden się zgodził, żeby gniazdo zabrać z dachu i umieścić na dostarczonym przez organizację słupie, ale samego słupa nie chciał na placu, bo mu ciągnik będzie o niego zawadzał. Byli i tacy, którzy

nie chcieli gniazda przenieść, bo już się do niego przywiązali – a jak się je ruszy, to może jakieś nieszczęście z tego będzie? Przesiedlanie bocianów nie było więc wcale łatwą misją.

To zresztą nie pierwsza akcja ochrony bocianów nad Narwią.

W jej dolinie – poza wspomnianymi wyżej obszarami Natura 2000 – mieści się VII Europejska Wieś Bociania. By do niej zajrzeć, musimy przemieścić się w dół rzeki, poniżej Tykocina. Tu, w pobliżu otoczonego łągowym parkiem dworu w Pentowie – posiadłości rodziny Toczyłowskich – rozsiadła się spora kolonia tych ptaków. Niby nic w tym dziwnego, że rosnące nad rzeką okazałe drzewa stają się fundamentami dla bocianich gniazd. Był jednak moment, gdy Pentowo przeżywało prawdziwą inwazję tych ptaków. Przybyły i zostały do dziś.

Przygnał je tu zaś w 1992 r. huragan, a ściślej mówiąc – zniszczenia, które spowodował wśród drzew. Położył pokotem piękny park na rynku w niedalekim Tykocinie. W Pentowie natęmał drzew, pozbawił wiele z nich wierzchołków i ogołocił z gałęzi. W ten sposób stworzył znakomitą podstawę pod bocianie gniazda.

Te duże ptaki, zależne od prądów powietrznych i potrzebujące swobodnego dolotu do swego mieszkania, zakładają gniazda wyłącznie

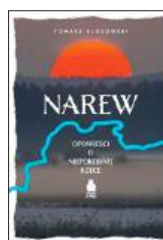
w miejscach odsłoniętych, często na suchych lub złamanych drzewach. Konsekwentnie omijają natomiast te o bujnych, gęsto ulistnionych koronach. Teraz odsłonięte wierzchołki i konary są oblegane przez skrzydlatych budowniczych – osiedle składa się z 34 ptasich domostw. Ta ptasia wioska powstała w sposób całkiem naturalny. W przyrodzie to typowa sytuacja: kataklizm odbiera dobro jednym i przekazuje je drugim.

Dziś Pentowo szczyci się statusem Europejskiej Wsi Bocianie. Taki tytuł przyznała mu niemiecka fundacja EuroNatur w ramach projektu nazwanego właśnie European Stork Village Network. Przyjęto zasadę, że taką pozycję może zyskać tylko jedna wieś w danym kraju. U nas bój o ten międzynarodowy tytuł Pentowo stoczyło z Żywkiem – wsią położoną na Warmii, blisko granicy z obwodem królewieckim, dziś z kolei zwaną bocianią stolicą Polski i pozostającą pod kuratelą PTOP. Pentowo wygrało konkurs i otrzymało dotację w 2001 r.

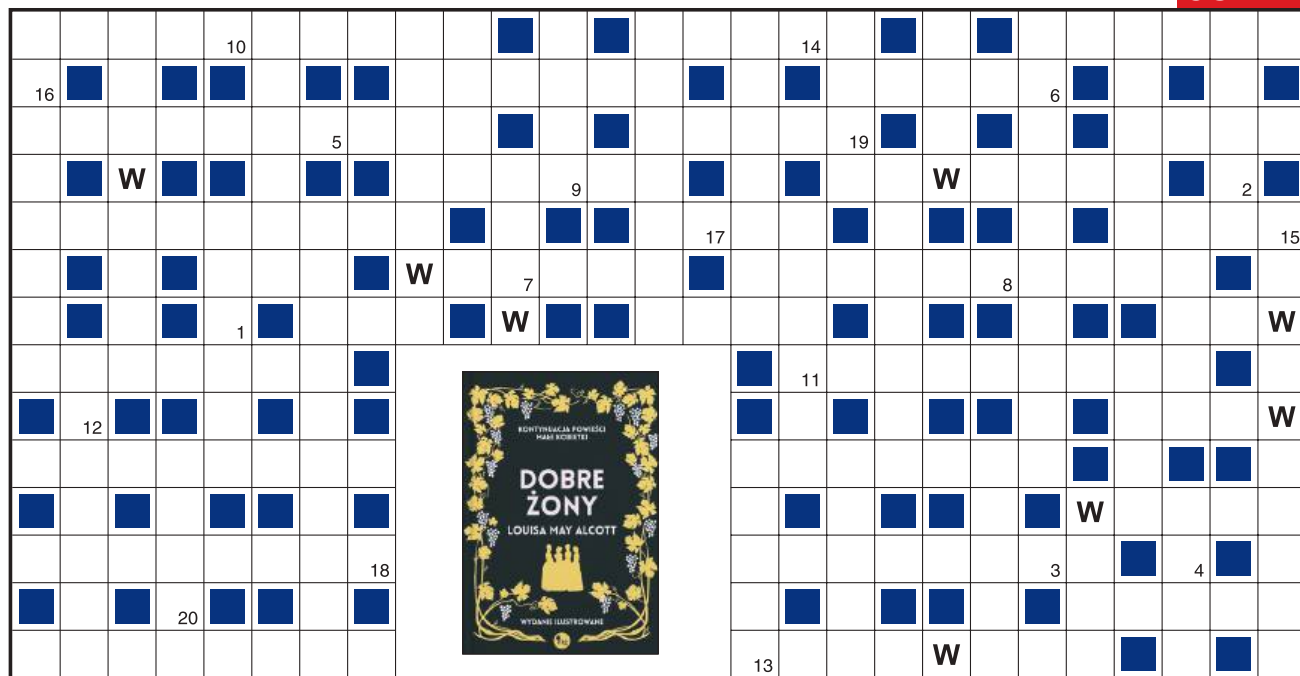
Trzeba przyznać, że dziś na tle typowych wsi z gniazdami bocianów to miejsce prezentuje się nader stołecznie. Odgrodzony dwór Toczyłowskich jest wyjątkowo przytulny i swojski. Obok mieści się duży plac z zabudowaniami folwarcznymi. Na budynku stajni widać kilka gniazd, inne spoczywają na odpowiednio przyciętych drzewach i specjalnie wbitych słupach. Innych niż te, które ustawia PTOP. Bociany nie wyglądają na nich jak na świecznikach, ale i tu, i na terenach nadzorowanych przez PTOP czy inne stowarzyszenia zajmujące się ochroną skrzydlatej fauny są stale na świeczniku.

W Pentowie najłatwiej to dostrzec, bo tu wszystko kręci się wokół tych ptaków, a ustawione wieże pozwalają zajrzeć do bocianich domostw z bezpiecznej dla skrzydlatych lokatorów odległości. Wystarczy kupić bilet i do

woli napawać się bliskością wielkich ptaków oraz oglądać ich zdjęcia w galerii. (...)



Fragmenty książki Tomasza Kłosowskiego *Narew. Opowieści o niepokornej rzece*, Pańsy Buriat, Suwałki 2025



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- Giovanni Battista, botanik, optyk i astronom
- błotnisty staw, wielka kałuża
- bardotka lub braletka
- z angielska mieszanka gatunków kawy, tytoniu
- szal z piór
- dwuskładnikowy lakier do parkietów
- dziewczyna śmieszka
- jałowcówka pijana z tonikiem
- Aleksander, reżyser „Krzyżaków”
- ogólny nieład i zamęt
- rzadkie płótno na opatrunki
- jeździectwo
- ma rzesze fanów
- aktorka Cembrzyńska, reżyserka Lis
- duchowny kierujący modłami w meczecie
- dzik lub wieprz, np. pastowany Pawlaka
- tragiczny wypadek, kataklizm
- wóz do przewożenia zesańców
- w carskiej Rosji
- dawniej o kurtyzanie
- Jan, reżyser „Bożego Ciała”
- obraźliwie o niskim
- istoty pozaziemskie
- ...uzyskania przychodu – pomniejsza podatek
- „...zapowiedzianej śmierci” Márqueza
- tamowane opatrunkiem uciskowym
- świeące na choince
- „...greckie” Roberta Gravesa
- atrakcja Sopotu, Międzyzdrojów
- główna księga liturgii katolickiej
- przewodzi bodźce
- brak, niedostatek czegoś
- ględa, usypiacz towarzystwa
- ochrona szczych
- z niego dawne żołnierzyki
- upowszechnianie wiedzy, proces kształcenia
- wspólna płaszczyzna działania
- partia Zandberga
- zna się na łamaniu w kościołach
- świętojański lub czuły zwrot
- faza uruchamiania zakładu
- witka do chłostania
- uprawia drzewa owocowe
- narciarskie lub na bungee
- malec, szkrab
- nie doszła do Białej na pierogi
- bywają z nim pończochy
- butami lub krzesłem po podłodze
- nie wszystkie mają muszlę
- pudełeczko z tytoniem
- rower dwuosobowy
- tamtejsi ratownicy to TOPR
- uczony od spraw wiary
- ...smyczkowe: skrzypce, altówka i wiolonczela
- zsuwanie się ziemi, mas skalnych
- autor cyklu westernowego z Karolem Gordonem
- lejce
- o schorowanym, wyczerpanym
- wołanie, wezwanie do czynu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1233”. Do rozlosowania książki „Dobre żony” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 sierpnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1230” z nr. 29: Proste też bywa podpierane. Nagrody otrzymują: Michał Bajko z Białegostoku, Zenon Czajczyc z Olsztyna, Barbara Okoń z Wrocławia.

Rekonstrukcja

No to znów UKIE będzie w MSZ... Dwa dni po rekonstrukcji rządu grono urzędników zastanawiało się nad tym przy herbacie. Bo co oznacza powrót pionu europejskiego do MSZ?

W historii III RP sprawy unijne miały różne ramy organizacyjne. Jako samodzielny urząd, jako pion w MSZ, jako pion w Kancelarii Premiera. Każde rozwiązanie ma swoje wady i zalety, choć to ostatnie – kiedy sprawy wdrażania unijnych decyzji przechodziły przez Kancelarię Premiera – wydawało się wszystkim najlepsze. A teraz się okazało, że jest inaczej.

Co ciekawe, w MSZ informacja, że trafi tu pion unijny, nie wywołała wielkiej radości. Przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, to jest jednak coś innego niż polityka zagraniczna, sprawy europejskie dotyczą bowiem niemal wszystkich ministerstw, więc chyba lepszym rozwiązaniem jest, by były przekazywane via Kancelaria Premiera, a nie poprzez MSZ. Wiadomo, z większą uwagą przyjmuje się to, co przychodzi z Kancelarii Premiera niż z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nawet kierowanego przez wicepremiera.

Po drugie, zawsze przy okazji takich połączeń tworzy się organizacyjny bałagan, a to utrudnia pracę. Weźmy pod uwagę takie „drobiazgi” jak sprawy logistyczne: pracownicy będą musieli zdać dotychczasowe telefony, laptopy i pobrać nowe, wprowadzić do nich nowe hasła, zalogować się. Ileż to roboty – dla pracowników administracji, dla informatyków. Ile pieniędzy na to trzeba wydać... Tak funkcjonuje państwo – politycy coś na papierze postanawiają, a potem za to płacimy.

Jest i trzeci powód – trzeba będzie na nowo układać kierownictwo ministerstwa. To także nie jest proste. Bo wiceministrów ma być mniej, a doszedł nowy pion.

Teoretycznie mógłby nim kierować Marek Prawda, który w MSZ właśnie odpowiada za problematykę europejską. Choć w innej perspektywie niż UKIE. Ale zajmuje się tym teraz i nie wiąże się to z rekonstrukcją ministerstwa. Prawda jendak chce z MSZ odejść i o tym nasi urzędnicy też przy herbacie rozmawiali. Bo to wyrwał!

Marek Prawda, zawodowy dyplomata, w latach 2012-2016 był ambasadorem przy Unii Europejskiej. Później, w czasach PiS, został dyrektorem Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce i pełnił tę funkcję do 2021 r.

Bardzo to się PiS nie podobało. Dotkliwie Prawdę atakowano. Zarzucano mu wystugiwanie się Brukseli, brak patriotyzmu itd. A gdy został członkiem Konwentu Ambasadorów, czyli ciała gromadzącego byłych ambasadorów krytykujących politykę PiS, awansował do grona największych wrogów ekipy Kaczyńskiego. I lokowano go mniej więcej na poziomie Bogdana Klicha oraz Ryszarda Schnepfa.

U Radosława Sikorskiego został wiceministrem i – co oczywiste – powierzono mu sprawy unijne, prowadził tematy związane z naszą prezydencją. W zakres obowiązków minister wpisał mu także taki „drobiazg” jak odpowiedzialność za zatrudnianie obywateli polskich w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych, instytucjach i organizacjach międzynarodowych. To ważne – bo Polska, w stosunku i do potencjału, i do innych państw, ma uderzająco mało swoich obywateli w instytucjach unijnych. Owszem, można to naprawić, ale trzeba wiedzieć jak. Takie Marek Prawda miał zadania. A co dalej? Znów kadrowe puzzle mamy na stole.

Attaché

Targi produktów opartych na sztucznej inteligencji w Suzhou w chińskiej prowincji Jiangsu.





PROJEKT
ANGORA

PRZEMYSŁAW ROSATI,
PREZES NACZELNEJ RADY ADWOKACKIEJ

Waldemar Żurek jako prokurator generalny powinien zdynamizować i prowadzić konsekwentne działanie. Będzie to zapewne wymagało „przeformatowania” osób, które stoją na czele prokuratury. Prokurator generalny musi mieć blisko siebie tylko tych, którym może zaufać i z którymi chce współpracować. Kto wie, czy nie otworzy się przestrzeń do zmiany na stanowisku prokuratora krajowego. Trzeba mieć świadomość, że w wielu miejscach są osoby, którym nie zależy na prowadzeniu rozliczeń. Musi wreszcie nastąpić rozdzielenie funkcji prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości.

press

JAN WRÓBEL,
DZIENNIKARZ, PISARZ, NAUCZycIEL

Nie uważam, że wolność mówienia dowolnych bzdur jest wielką wartością. Obecnie wolność słowa oznacza, że każdy może bez konsekwencji opluć drugiego człowieka, więc chyba coś złego zrobiliśmy z tą naszą wolnością. (...) Jesteśmy w innej sytuacji poznawczej i musimy na nią zareagować inaczej niż powtarzaniem, że wolność słowa jest najświętsza. To jest świętość. Ale proszę wytłumaczyć to komuś, kto wypowiedział się gdzieś publicznie i zaraz potem musiał czytać o sobie, mamie i żonie stek anonimowych wyzwisk. Ja jestem zwolennikiem resetu. Wyglupię się bardziej niż Mentzen mówiący o swoim idealnym świecie, ale uważam, że internet trzeba zamknąć i otworzyć na nowych warunkach. Prawdopodobnie tego nie zrobimy, nie dlatego że ta propozycja jest zła, tylko ludzie, którzy chcą zarabiać codziennie miliardy w internecie, nam na to nie pozwolą. Internet trzeba zamknąć i otworzyć na nowo, na warunkach, które spowodują, że nie będzie wolno anonimowo napisać, co się żywnie podoba, o drugim człowieku.

zwierciadło **WILHELM SASNAL,**
MALARZ I FILMOWIEC

Twoja prababka zginęła w Auschwitz, miała 40 lat, osierociła pięcioro dzieci. Podejmowałeś próby artystyczne zmierzenia się z tą historią?

– Nie wiem, tyle lat... Była aryjką, chrześcijanką, więc w Auschwitz zrobiono jej zdjęcie, jak wszystkim, którzy nie byli przeznaczeni do pieca, choć bardzo szybko zmarła w obozie. Moja ciocia, jej córka, a siostra mojej babci, wywieziona na roboty, po wojnie została w Niemczech. Przyjechała w latach 60. z mężem, Niemcem. To ona wydobyła z obozowego archiwum zdjęcie swojej matki. Wysłała je, ale nie siostrze, czyli mojej babci, tylko mojej 17-letniej mamie, prosząc, żeby nie pokazywała mojej babci, bo to zbyt emocjonalne. Babcia odkryła je przez przypadek w szlafroku mamy, biorąc go do prania. Wyobraź sobie, nagle wyciągasz ze szlafroku córki zdjęcie swojej matki, i to zrobione w obozie... Mierzenie się z rzeczywistością jest dla mnie trudne. Potrzebuję czegoś, co mnie oddzieli od bólu. Dlatego biorę tematy, motywy, postaci z filmu Lanzmanna czy z komiksu „Maus” Arta Spiegelmana, bo już „odtworzą”. Dlatego na obrazie między mną a widokiem obozu jest rower.

STYL

MARIUSZ SZCZYGIEL,
REPORTER

Właśnie zaczynam się starzeć i uważam, że to fantastyczny okres pełen wygod. Wizytę u lekarza zamawiam przez aplikację, preparat do akwarium w sklepie internetowym (na starość mam hobby – ryby), filmy kinowe oglądam na własnej kanapie. Od 10 lat chodzę do siłowni, a mój trener mówi, że przygotowuje mnie do starości, i tłumaczy, że każde ćwiczenie kiedyś mi pomoże np. podnieść walizkę z podłogi albo sięgnąć po książkę na najwyższą półkę. Wiem jednak, że jestem w uprzywilejowanej sytuacji, bo... stać mnie na starość.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: FETA, KORT, MOST, LABA, STOPA, BRZEG, SZTAB, ULICA, DESZCZ, BLACHA, MUZYKA, SERWER



Aby język giętki...

PROF. PRZEMYSŁAW SADURA

O ELEKTORATACH

Mentzen i Braun mieli elektorat nawet bardziej wykształcony niż ten głoszący na Trzaskowskiego.

MAREK PALCZEWSKI O PiS

Dlaczego akceptujemy autorytarne działania PiS i nie dostrzegamy, że jest to partia rasistowska.

MARIUSZ JANICKI

O RAFALE TRZASKOWSKIM

Często kluczył, robił krok naprzód i pół kroku w tył, zniechęcał tym wykalkulowanym kunktatorstwem.

JULIUSZ MACHULSKI

O JACKU BROMSKIM

Czuję się po ludzku oszukany. Bo okazało się, że choć znamy się ponad 50 lat, tak naprawdę go nie znałem.

MAGDALENA ZAWADZKA

O TYM, CO JĄ WKURZA

Brak czułości, współczucia, wszechogarniający hałas, egoizm, chamstwo.

MARTA ŻMUDA TRZEBIATOWSKA

O DOŚWIADCZENIU

Złe role nauczyły mnie najwięcej. Dzięki nim dziś jestem, kim jestem, i wiem, czego chcę.

PIOTR PRĘGOWSKI O WNUKU

Chcę go chronić przed światem show biznesu, który jest pełen niebezpieczeństw i zdradzieckich, zwodniczych iluzji.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Łuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

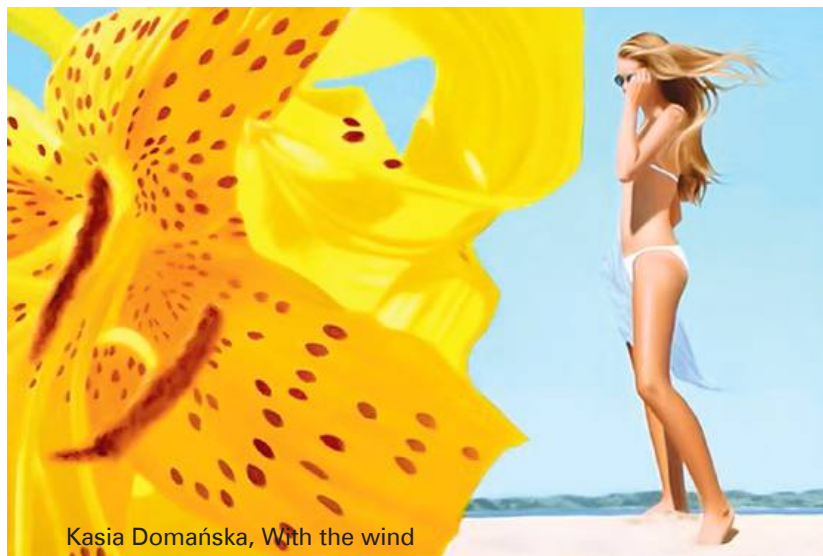
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Kasia Domańska, With the wind



Kasia Domańska, Wings



Kasia Domańska, Fly away

Wystawa trzech artystek: Magdaleny Daniec, Kasi Domańskiej i Sabiny Marii Grzyb, których malarstwo łączy wrażliwość, wyobraźnia i osobista narracja. Daniec tworzy abstrakcyjne obrazy pełne nostalgii i sugestii, unikając dosłowności. Domańska celebrytuje piękno życia i natury w świetlistych, symbolicznych kompozycjach. Grzyb kreuje oniryczne, metaforyczne pejzaże, balansujące między realizmem a fantazją. Każda z nich odsłania niepowtarzalny świat emocji i refleksji, zapraszając widza do zanurzenia się w przestrzeń malarskich marzeń i kobiecej wrażliwości.

Pałac Sztuki
Kraków, plac Szczepański 4
6-31 sierpnia

Marzycielki



Magdalena Daniec, Fatamorgana



Sabina Maria Grzyb, Venezia



DOMOWE ZASADY EKRAŃOWE

DLA DOBRA DZIECKA
I CAŁEJ RODZINY



poluzjanci

BADACH • GÓRNY • JABŁOŃSKI • LUTY • ŻACZEK • BELCYR

trasa koncertowa

16.10	ŁÓDŹ WYTWÓRNIĄ	24.10	KRAKÓW KWADRAT
17.10	WARSZAWA STODOŁA	25.10	KATOWICE P23
18.10	POZNAŃ TAMA	26.10	WROCŁAW A2
19.10	GDĄŃSK STARY MANEŻ		

JOHN PORTER

HELICOPTERS '45

11.11.2025
STARY MANEŻ
GDĄŃSK

26.11.2025
STODOŁA
WARSZAWA

KULT

24.10
Warszawa

15.11
Katowice

BILETY DOSTĘPNE NA: [TICKETCLUB.PL](https://ticketclub.pl) | [STODOŁA.PL](https://stodola.pl)

eprasa.pl 7f01f121d0